



Poetycka, wzruszająca,
zaskakująca.

ISABEL ALLENDE

Lloyd
Jones



PAN
PIP

Film wkrótce
w kinach.
W roli głównej
Hugh Laurie.

Wydawnictwo
ab
two

Lloyd Jones

Pan Pip

przełożył Jacek Konieczny



Wydano z pomocą finansową Creative New Zealand



Tytuł oryginału: *Mister Pip*

Copyright © 2006 by Lloyd Jones. By arrangement with the author. All rights reserved. First published by The Text Publishing Company Australia.

Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXIII

Copyright © for the Polish translation by Grupa Wydawnicza Foksal,

MMXIII

Wydanie I

Warszawa

Spis treści

- [Dedykacja](#)
- [Motto](#)
- [Pan Pip](#)
- [Podziękowania](#)
- [Przypisy](#)

Mojej rodzinie

Postacie wędrują.

Umberto Eco

Wszyscy mówili na niego Wytrzeszcz. Nawet w czasach gdy byłam szczupłą trzynastolatką, miałam poczucie, że o tym wie. Tyle że nic sobie z niego nie robił. Był zbyt zaabsorbowany poważniejszymi sprawami, aby zwracać uwagę na bosonogie dzieci.

Wyglądał na człowieka, który kiedyś był świadkiem wielkich cierpień lub ich doświadczył i nie potrafi o nich zapomnieć. Wielkie oczy osadzone w wielkiej głowie potrafił wybałuszyć bardziej niż ktokolwiek inny – wyglądały, jakby chciały wyskoczyć z twarzy. Przypominał człowieka niecierpliwie czekającego, aż wreszcie wyjdzie z domu.

Wytrzeszcz codziennie ubierał się w ten sam biały płócienny garnitur. W tropikalnym upale kościste kolana wypychały przepecone nogawki. Czasami zakładał nos klauna. Już jego prawdziwy nos był wielki, więc czerwona bulwa tylko nieznacznie go powiększała, ale z nieznanych nam powodów robił to w niektóre dni, być może w jakiś sposób dla niego szczególne. Nigdy nie widzieliśmy go uśmiechniętego, a kiedy zakładał nos klauna, ludzie odwracali wzrok, ponieważ nie znali bardziej zasmucającego widoku.

Na linie ciągnął wózek, na którym stała pani Wytrzeszczowa. Przypominała królową lodu. Niemal wszystkie kobiety na naszej wyspie miały rozwichrzone włosy – Grace swoje rozczesywała. Upięte na czubku głowy z powodzeniem zastępowały koronę. Wyglądała na niesamowicie dumną, jakby nie miała świadomości, że ma bose stopy. Kto spojrzał na jej wielki tyłek, zaczynał się obawiać o los deski klozetowej, myślał o jej matce, porodzie i tym podobnych rzeczach.

O drugiej trzydziści po południu papugi przysiadły w cieniu drzew i spoglądały na ludzki cień o jedną trzecią dłuższy niż jakikolwiek im znany. Pan Wytrzeszcz i pani Wytrzeszczowa, choć byli tylko we dwoje, starczali za całą procesję.

Młodsze dzieci nie zamierzały przegapić okazji i ruszały za nimi. Nasi rodzice na to nie patrzyli. Woleli śledzić poczynania kolonii mrówek buszujących na gnijącej papai. Niektórzy nieruchomieli z maczetami w dłoniach, czekając na koniec widowiska. Młodsze dzieci dostrzegały jedynie białego mężczyznę ciągnącego na wózku czarną kobietę. Widziały to samo, co papugi oraz psy, które przysiadły na wychudłych zadkach i kłapały pyskami, próbując złapać przelatujące moskity. Starsze dzieci, w tym ja, wyczuwały dodatkowy kontekst tej sytuacji. Czasami do naszych uszu docierały strzępki rozmów. Pani Watts była zła jak gąsior. Pan Watts najwyraźniej odprawiał pokutę za jakieś dawne przewinienie. A może po prostu przegrał zakład. Oboje wprowadzali odrobinę nieprzewidywalności do naszego pod każdym względem przewidywalnego świata.

Pani Wytrzeszczowa trzymała w dłoni niebieską parasolkę, którą chroniła się przed słońcem. Mówiono, że była to jedyna parasolka na całej wyspie. Nie próbowaliśmy się dowiedzieć, co w takim razie z tymi wszystkimi czarnymi parasolami, które widywaliśmy u innych ludzi, ani wyjaśnić różnicy między czarnymi parasolami a parasolką. Nie tyle obawialiśmy się wyjść na głupków, ile nie chcieliśmy sprowadzić tej osobliwości na szary, codzienny poziom. Uwielbialiśmy słowo „parasolka” i nie zamierzaliśmy go stracić przez jakieś kretyńskie pytania. Wiedzieliśmy też, że ktokolwiek je zada, dostanie w skórę i będzie miał za swoje.

Dzieci nie mieli. A jeśli mieli, musiały dorosnąć i zamieszkać gdzie indziej, może w Ameryce albo w Australii, albo w Wielkiej Brytanii. Mieli za to imiona. Ona miała na imię Grace i podobnie jak my była czarna. On

nazywał się Tom Christian Watts i był biały jak białka w oczach (takie chorowite).

Na przykościelnym cmentarzu można znaleźć kilka angielskich nazwisk. Lekarz mieszkający na drugiej stronie wyspy miał anglosaskie imię i nazwisko, choć był czarny jak my. Dlatego choć znaliśmy przezwisko Wytrzeszcz, mówiliśmy „pan Watts”, ponieważ było to jedyne podobnie brzmiące nazwisko w okolicy.

Mieszkali w starym budynku misji, niewidocznym z drogi. Według mamy w przeszłości otaczała go trawa, ale po śmierci pastora władze zostawiły misję odłogiem i kosiarka pokryła się rdzą. Nie minęło wiele czasu, a okolica zarosła krzakami i w ten sposób jeszcze przed moimi narodzinami państwo Wytrzeszczowie zniknęli z pola widzenia świata. Widywaliśmy ich tylko wtedy, kiedy Wytrzeszcz ciągnął żonę w wózku niczym stara zmordowana szkapą wyciągająca wodę ze studni. Wózek miał bambusowe barierki. Pani Wytrzeszczowa opierała na nich dłonie.

Do takich popisów potrzebna jest widownia, ale pani Wytrzeszczowa nie zwracała na nas uwagi. Nie byliśmy godni. Zupełnie jakbyśmy nie istnieli. Niespecjalnie się tym przejmowaliśmy. Bardziej interesował nas pan Watts.

Wytrzeszcz był jedynym białym człowiekiem w promieniu wielu kilometrów. Małe dzieciaki wpatrywały się w niego jak urzeczone, aż w czarnych dłoniach roztopiały im się kostki lodu. Starsze dzieci przełamywały lęk i pukały do drzwi, aby zapytać, czy mogą napisać o nim „wypracowanie”. Kiedy otwierał drzwi, niektóre nieruchomiały sparaliżowane strachem. Znałam jedną starszą dziewczynę, która została zaproszona do środka. Nie każdy dostępował tego zaszczytu. Cały dom wypełniały podobno książki. Poprosiła, żeby opowiedział jej o swoim życiu. Siedziała na krześle, położyła przed sobą notes. On nalał jej wodę do szklanki. Powiedział: „Moje dziecko, sporo tego było. I pewnie niejedno

mnie jeszcze czeka”. Zapisała to w notesie. Przyniosła go nawet do nas i pokazała mi i mojej mamie. W ten sposób się o tym dowiedziałam.

Kolor skóry nie był jedyną cechą, która czyniła Wytrzeszcza tajemniczą postacią, niemniej był potwierdzeniem pewnej prawdy, w którą święcie wierzyliśmy.

Dorastaliśmy w przekonaniu, że wszystkie rzeczy ważne są białe: lody, aspiryna, wstążka, księżyc, gwiazdy. Białe gwiazdy i księżyc w pełni były ważniejsze w czasach młodości mojego dziadka niż teraz, kiedy korzystamy z generatorów elektrycznych.

Kiedy nasi przodkowie zobaczyli pierwszych białych, pomyśleli, że patrzą na zjawy albo ludzi, których dotknęło nieszczęście. Psy przysiadły na tylnych łapach i otwierały pyski w oczekiwaniu na widowisko. Myślały, że trafiła im się prawdziwa gratka. Kto wie, może biali ludzie potrafią wywijać fikołki do tyłu albo robić salta nad drzewami. Może podziela się jedzeniem. Psy zawsze na to liczą.

Pierwszym białym, którego zobaczył mój dziadek, był rozbitek. Mężczyzna dopłynął do plaży i poprosił o kompas. Dziadek nie znał słowa „kompas”, ale wiedział, że nie jest właścicielem czegoś takiego. Wyobrażam go sobie, jak przyciska dłonie do boków i się uśmiecha. Nie chciał wyjść na głupka. Biały człowiek zapytał o mapę. Dziadek i tym razem nie wiedział, o co chodzi, więc tylko wskazał na rozciętą nogę mężczyzny. Dziwne, że rekiny przepuściły taką okazję. Biały człowiek zapytał, na jaki ląd wyrzuciło go morze. Tym razem dziadek mógł pomóc. Wyjaśnił rozbitkowi, że trafił na wyspę. Biały człowiek zapytał, czy ta wyspa ma jakąś nazwę. Dziadek wypowiedział słowo, które znaczy w naszym języku „wyspa”. Kiedy biały człowiek poprosił o wskazanie drogi do najbliższego sklepu, dziadek wybuchnął śmiechem. Wskazał na palmę kokosową, a potem na rozciągający się za mężczyzną potwornie wielki ocean pełen ryb. Lubiłam słuchać tej opowieści.

Poza Wytrzeszczem, czyli panem Wattsem, oraz górnikami z Australii widziałam na własne oczy tylko kilku innych białych. Zostali uwiecznieni na starym filmie. W szkole pokazano nam wizytę księcia czegoś tam, sprzed wielu lat przed tysiąc dziewięćset którymś rokiem. Z projektora nie wydobywał się żaden dźwięk. Obserwowaliśmy, jak książę je. On i pozostali biali mężczyźni mieli wąsy i białe spodnie. Byli ubrani w zapięte pod szyję garnitury. Siedzenie na ziemi nie szło im najlepiej i objali się o siebie łokciami. Śmialiśmy się – wszystkie dzieci – z tych białych, bo próbowali siedzieć na ziemi tak samo, jak na krześle. Podano im świńskie nóżki w liściach bananowca. Jeden z mężczyzn w hełmie o coś poprosił. Nie wiedzieliśmy o co, dopóki nie przyniesiono mu białej serwetki z materiału. Wycierał nią usta. Zarykiwaliśmy się ze śmiechu.

Ja wypatrywałam sceny, kiedy miał się pojawić dziadek. Był jednym z wychudzonych dzieciaków maszerujących boso w białych koszulach; drugim od góry dzieckiem w ludzkiej piramidzie uformowanej przed białymi mężczyznami w hełmach zajadającymi świńskie nóżki. W szkole kazano nam napisać wypracowanie o tym, co obejrzelśmy. Nie miałam pojęcia, o czym był film, więc napisałam o dziadku i przytoczyłam opowieść o rozbitku, którego znalazł wyrzuconego na plażę przy wiosce jak jakaś rozgwiezda. W tamtych czasach mieszkańcy nie mieli jeszcze prądu, bieżącej wody ani nie odróżniali Moskwy od rumu.

U źródeł historii, którą zamierzam opowiedzieć, leży, jak sądzę, nieznajomość świata zewnętrznego. Moja mama wiedziała tylko tyle, ile usłyszała od ostatniego pastora podczas kazań i rozmów. Znała tabliczkę mnożenia i nazwy stolic dalekich państw. Słyszała, że człowiek poleciał na Księżyc, choć raczej w to nie wierzyła. Nie lubiła chwaliپیئتów. Jeszcze mniej podobała jej się myśl, że może zostać przyłapana na niewiedzy albo zrobić z siebie idiotkę. Nigdy nie opuściła wyspy Bougainville. Pamiętam, że w moje ósme urodziny zapytałam ją, ile ma lat. Szybko odwróciła twarz, a ja po raz pierwszy w życiu zdałam sobie sprawę, że ją zawstydziłam.

Zrewanżowała się pytaniem.

– A jak sądzisz?

Kiedy miałam jedenaście lat, ojciec poleciał pracować w kopalni. Wcześniej kazano mu przyjść do naszej szkoły i obejrzeć filmy o kraju, do którego się udawał. Dowiedział się, jak parzyć herbatę. Do filiżanki nalewało się najpierw mleko, z kolei podczas przygotowywania płatków kukurydzianych mleko wlewało się na końcu. Mama wspominała, że w tej ostatniej sprawie skakali sobie z ojcem do oczu jak koguty.

Czasami widziałam, że wraca myślami do tych kłótni. Przerywała to, co akurat robiła, i mówiła: „Być może należało siedzieć cicho. Byłam zbyt silna. Co o tym myślisz, dziecko?”. Były to rzadkie chwile, gdy wyrażała autentyczne zainteresowanie tym, co mam do powiedzenia, a ja, podobnie jak w przypadku pytania o wiek, zawsze wiedziałam, jaka odpowiedź poprawi jej humor.

Ojcu pokazano też inne filmy. Zobaczył samochody, ciężarówki, samoloty. Entuzjazm wzbudził w nim widok autostrad, ale mina mu

zrzęda, gdy wyświetlono prezentację przejścia dla pieszych. Należało zaczekać, aż chłopiec w białej kurtce podniesie znak z napisem: „Wolno przechodzić”.

To wzbudziło w nim irytację. Na filmie widać mnóstwo dróg z wyraźnie wytyczonymi krawężnikami, tymczasem jakieś dzieciaki w białych kurtkach kontrolują ruch za pomocą znaków? Znowu zaczęli się kłócić. Mama stwierdziła, że u nas jest podobnie. Człowiek nie może chodzić, gdzie mu się podoba, bo może oberwać w ucho. Bo przecież, jak mówi Pismo Święte, nawet jeśli człowiek słyszał o niebie, nie przysługuje mu automatycznie prawo wstępu.

Przez jakiś czas przechowywaliśmy niczym skarb pocztówkę, którą ojciec przysłał z Townsville. Oto, co napisał. Dopóki samolot nie schował się w chmurach, miał okazję po raz pierwszy obejrzeć z góry miejsce, w którym mieszkaliśmy. Znad morza widać było łańcuch górskich szczytów. Nie mógł się nadziwić, że wyspa wydaje się nie większa od krowiego placka. Ale to wszystko mamy nie interesowało. Chciała wiedzieć, czy dostawał koperty z wypłatami.

Miesiąc później przysłała kolejna pocztówka. Napisał, że koperty z wypłatami wiszą na fabrycznych krokwiach niczym owoce drzewa chlebowego. To rozstrzygnęło sprawę. Mieliśmy do niego dołączyć, ale właśnie wtedy Francis Ona i jego rebelianci wypowiedzieli wojnę zarządcy kopalni miedzi, przez co (wtedy jeszcze tego nie rozumiałam) na naszej wyspie pojawili się czerwonoskórzy żołnierze z Port Moresby. Według Port Moresby tworzymy jedno państwo. Z naszej perspektywy wyglądało to tak, że my jesteśmy czarni jak noc, a ich żołnierze wyglądają, jakby zostali ulepiani z czerwonej gleby. Właśnie dlatego nazywaliśmy ich czerwonoskórzymi.

Wieści o przebiegu wojny rozchodzą się w postaci skrawków domysłów i pogłosek. Plotka jest jej ulubienicą. Plotka, w którą się wierzy lub którą

się ignoruje. Słyszeliśmy, że nikt nie może się dostać na wyspę ani się z niej wydostać. Mieliśmy wątpliwości, bo czy można odgrodzić całe państwo? Czym należałoby je obwiązać albo w co zawinąć? Nie wiedzieliśmy, w co wierzyć. Później przybyli czerwonoskórzy żołnierze i dowiedzieliśmy się o blokadzie.

Otaczało nas morze. Kanonierki czerwonoskórych patrolowały wybrzeże, w powietrzu latały ich helikoptery. Nie potrafiliśmy sobie wyrobić zdania o tych zdarzeniach, ponieważ brakowało nam gazet i radia. Byliśmy uzależnieni od wiadomości przekazywanych ustnie. Czerwonoskórzy chcieli spacyfikować wyspę i stłumić opór rebeliantów. A przynajmniej takie informacje do nas docierały. „A niech sobie tłumią”, stwierdziła mama. Zupełnie nas to nie obchodziło. Mieliśmy ryby. Mieliśmy nasze kurczaki. Mieliśmy nasze owoce. Mieliśmy wszystko to, co dawniej. Zwolennik rebeliantów mógłby jeszcze dodać: „Mieliśmy dumę”.

Pewnej nocy światła zgasły na dobre. Skończyło się paliwo do generatorów. Mówiono, że rebelianci włamali się do szpitala w nadmorskim mieście Arawa i zabrali cały sprzęt medyczny oraz lekarstwa. Wiadomość ta mocno zaniepokoiła nasze mamy. Wkrótce najmniejsze dzieci zachorowały na malarię, a my nie mogliśmy im w żaden sposób pomóc. Pochowaliśmy je i odciągnęliśmy łkające matki od maleńkich grobów.

Trzymaliśmy się blisko naszych mam. Pomagaliśmy w ogrodach. Bawiliśmy się w podchody między drzewami wznoszącymi się nawet na sto metrów w górę. Taplaliśmy się w strumieniach spływających kaskadami po stromych górskich zboczach. Odkrywaliśmy jeziora, w których mogliśmy zobaczyć nasze rozkołysane figlarne twarze. Kąpaliśmy się w morzu. Na słońcu nasza czarna skóra stawała się jeszcze bardziej czarna.

Przestaliśmy chodzić do szkoły, kiedy nasi nauczyciele odpłynęli ostatnim statkiem do Rabaul. Ostatnim statkiem. Na te słowa opadły nam

szczęki. Gdybyśmy chcieli wydostać się w wyspy, musielibyśmy nauczyć się chodzić po wodzie.

Ku powszechnemu zdumieniu Wytrzeszcz nie wyjechał. Pani Watts pochodziła co prawda z wyspy, ale mógłby zabrać ją ze sobą. Inni biali tak postąpili. Zabrali swoje żony i dziewczyny. Ale to oczywiście byli ludzie zatrudnieni na kontraktach.

Nikt nie wiedział, czym zajmował się Wytrzeszcz. Żyliśmy w przekonaniu, że nigdzie nie pracuje. Przez większość czasu pozostawał niewidzialny.

Nasze domy ciągnęły się wzdłuż plaży nierównym szeregiem; ze wszystkich rozciągał się widok na morze. Drzwi i okna zostawiano zawsze otwarte, więc często słyszało się rozmowy sąsiadów. Nikt nie wiedział, o czym rozmawiają ze sobą państwo Wattsonie, ponieważ stara misja, gdzie mieszkali, znajdowała się w znacznej odległości od pozostałych trzydziestu domów.

Czasami widywaliśmy pana Wattsa na końcu plaży, kiedy indziej migały nam w oddali jego plecy. Zastanawialiśmy się wtedy, skąd szedł i co robił. Dodatkową okazją były oczywiście te dziwne procesje. Wattsonie wyłaniali się z buszu nieopodal budynku szkoły, a kiedy docierali na skraj wioski, pomiędzy domów wychodziły im na spotkanie kury i koguty. Na drugim końcu szeregu domów pan Watts przeciągał wózek z żoną przez wyboisty płat trawy i mijał zagrody dla świń, kierując się w stronę zarośli. Siedzieliśmy na drzewach, czekając, aż przejadą pod naszymi dyndającymi nogami. Mieliśmy nadzieję, że pan Watts zrobi sobie przerwę i zamieni kilka słów z żoną; żadne z nas nie było nigdy świadkiem ich rozmowy. Podejrzewaliśmy, że aby przyciągnąć uwagę pani Watts, należało się posługiwać wielkimi, olbrzymimi słowami układającymi się w serię grzmotów.

Łatwo było uznać ją za wariatkę. Pan Watts był większą zagadką, ponieważ pochodził ze świata, którego w zasadzie nie znaliśmy. Mama twierdziła, że jego plemię o nim zapomniało. W przeciwnym razie nie zostawiliby na pastwę losu pracownika dużej firmy.

Nie zdawałam sobie sprawy z wpływu szkoły na nasze życie, dopóki nie została zamknięta. Rok szkolny wyznaczał nam upływ czasu – początek i koniec semestru oraz wciśnięte między nie wakacje. Odkąd mogliśmy cieszyć się wolnością, nie wiedzieliśmy, co ze sobą robić. Rano nie budziły nas uderzenia miotły po plecach ani krzyki naszych mam: „Rusze się! Rusze się, leniu!”.

Nadal budziliśmy się bladym świtem, ale mogliśmy leżeć, przysłuchując się powarkującym przez sen psom oraz bzyczeniu moskitów, których obawialiśmy się bardziej niż czerwonoskórych i rebeliantów.

Nauczyliśmy się podsłuchiwać rodziców, co więcej – udawało nam się zobaczyć rzeczy, które dawniej znaliśmy wyłącznie ze słyszenia. Byliśmy przyzwyczajeni do helikopterów czerwonoskórych, które krążyły w chmurach nad górskimi szczytami. Teraz przelatywały wprost nad naszymi głowami, zmierzając nad otwarte morze. Helikopter leciał po linii prostej, aż osiągnął pewien punkt, po czym zawracał, jakby czegoś zapomniał. Kiedy wykonywały zwrot, były drobnymi punkcikami na horyzoncie. Nie widzieliśmy ludzi, których, jak się mówiło, wyrzucano do morza. Czerwonoskórzy wypychali schwytych rebeliantów przez otwarte drzwi helikoptera; ludzie spadali do wody, wymachując rozpaczliwie rękami i nogami. Kiedy nasze mamy i ojcowie milkli na nasz widok, rozumieliśmy, że doszło do jakiejś nowej potworności, której szczegółów jeszcze nie znamy.

Mijały kolejne tygodnie. W końcu zrozumieliśmy, czemu ma służyć ten cały wolny czas. Mieliśmy go wykorzystać na czekanie. Czekaliśmy na czerwonoskórych żołnierzy albo na rebeliantów – nie wiedzieliśmy tylko,

którzy zjawia się pierwsi. A upłynęło naprawdę wiele czasu, zanim przybyli do naszej wioski. Potrafię nawet dokładnie określić, kiedy do tego doszło, ponieważ właśnie tym się wtedy zajmowałam – odmierzałam czas. Na trzy dni przed moimi czternastymi urodzinami czerwonoskórzy po raz pierwszy przyszli do naszej wioski. Cztery tygodnie później zjawili się rebelianci. Zanim jednak doszło do tych fatalnych w skutkach wydarzeń, w naszym życiu zagościł Wytrzeszcz i jego żona Grace.

– Ruszże się, Matyldo! – zawołała mama pewnego poranka. – Idziesz dziś do szkoły.

Musiało jej to sprawić radość. Samo wypowiedzenie tych słów wyraźnie poprawiło jej humor. Zupełnie jakbyśmy wróciły do dawnej, sprawdzonej rutyny. W odróżnieniu od mamy wiedziałam, że była akurat środa. Trzymałam pod matą ołówki, a na narożnym palu wisiał kalendarz. Od ostatniego dnia w szkole minęło osiemdziesiąt sześć dni.

Mama szurnęła mi miotłą koło głowy. Krzyknęła na koguta, który wleciał przez drzwi.

– Ale przecież nie mamy nauczycieli – zaprotestowałam.

Przez twarz mamy przebiegł uśmiech.

– Wyobraź sobie, że uczyć was będzie Wytrzeszcz.

Bougainville to jedno z najżyźniejszych miejsc na ziemi. Wystarczyło rzucić w glebę nasionko, a trzy miesiące później rosła w tym miejscu roślina z lśniącymi zielonymi liśćmi. Gdyby nie maczety, nie mielibyśmy nawet skrawka ziemi do życia. Busz spełzłby ze wzgórz i pogrzebał nasze wioski pod grubą warstwą kwiatów i pnączy.

Ktoś mógłby pomyśleć, że nigdy nie chodziliśmy do szkoły. Pnącza oploty gęsto dwa drzewa, pokrywając je fioletowymi i czerwonymi kwiatami, jakby chciały im osłodzić podbój. Z drzew przeskoczyły na dach szkoły, wdarły się przez okna i rozpełzły po suficie. Gdyby zostawić szkołę na kolejnych sześć miesięcy, zupełnie by zniknęła.

Do klasy przyszły dzieci w najróżniejszym wieku: od siedmiu do piętnastu lat. Naliczyłam dwadzieścioro uczniów, mniej więcej połowę

dawnej klasy. Dwóch starszych chłopaków uciekło w góry i przyłączyło się do rebeliantów. Trzy rodziny odpłynęły ostatnim statkiem do Rabaul. Przyczyny nieobecności pozostałych nie znałam. Może nie dotarła do nich wiadomość o otwarciu szkoły. W następnych tygodniach pojawiło się jeszcze kilku chłopców.

W klasie czekał na nas Wytrzeszcz. Panowały tam niemal zupełne ciemności, mimo to widzieliśmy wysoką, chudą sylwetkę białego mężczyzny ubranego w lniany garnitur. Stał na przodzie klasy i spoglądał w bok, jakby nieświadomy naszych lustrujących spojrzeń. Wszyscy byliśmy ciekawi, czy ma czerwony nos klauna. Nie miał. Jego wygląd zmienił się od czasu, gdy widziałam go po raz ostatni. Zapuścił długie, sięgające niemal ramion włosy. Wcześniej ścinał je na krótko, przez co nie wiedzieliśmy nic o rudych i siwych pasemkach. Długa broda sięgała klatki piersiowej.

Naszą ostatnią nauczycielką była pani Siau. Była drobną kobietą, niewiele większą od młodszych dzieci. Teraz Wytrzeszcz zajmował jej miejsce i wydawał się niedopasowany gabarytami do rozmiarów klasy. Białe dłonie oparł po bokach. Nie patrzył, jak wchodzimy przez drzwi, tylko stał ze wzrokiem utkwionym w jakimś punkcie z tyłu sali. Jego oczy były nieruchome – nie drgnęły nawet wtedy, kiedy w klasie pojawił się czarny pies merdający ogonem. To akurat podziałało na nas pokrzepiająco, ponieważ pani Siau klasnęłaby w dłonie i przegoniłaby zwierzę kopniakiem w zadek.

Choć wróciłam do szkoły, czułam się nieswojo, jakbym trafiła w inne miejsce. Być może dlatego, że próbowaliśmy dostosować się do dawnego życia, które przestało istnieć, a przynajmniej wyglądało inaczej, niż je zapamiętaliśmy. Wszyscy znaleźli swoje stare ławki, ale nawet one wydawały się inne. Znajomy był tylko chłodny dotyk gładkiej drewnianej belki, o którą opierałam tyły nóg. Nikt nie rozglądał się po klasie, wszyscy

siedzieli wpatrzeni w nowego, niespodziewanego nauczyciela. A jemu najwyraźniej to nie przeszkadzało. Dopiero kiedy wszystkie dzieci zajęły miejsca, Wytrzeszcz przebudził się z transu.

Spojrzał na nas, zatrzymując krótko wzrok na każdej twarzy. Chciał się zorientować, kto przyszedł. Na koniec skinął głową. Potem spojrzał na zielone pnącze zwisające z sufitu. Wyciągnął rękę, zerwał je i zgniół w dłoni, jakby to była kartka papieru.

Nigdy wcześniej nie słyszałam jego głosu i z tego co wiedziałam, nikt inny z klasy też go nie słyszał. Trudno mi określić, czego się spodziewałam, ale okazał się zaskakująco cichy. Wytrzeszcz był potężnie zbudowanym mężczyzną i gdyby krzyknął, jak to robiły nasze mamy, sufit zawałiłby nam się na głowę. Tymczasem on mówił tak, jakby zwracał się do każdego z nas z osobna.

– Chciałbym, aby ta klasa była miejscem oświecenia – powiedział. – Niezależnie od tego, co się zdarzy.

Przerwał, dając nam czas na przemyślenie tych słów. Kiedy nasi rodzice mówili o przyszłości, dawali do zrozumienia, że będzie czymś lepszym od życia, które znaliśmy. Po raz pierwszy usłyszeliśmy, że przyszłość jest niepewna, a że obwieścił nam to ktoś pochodzący spoza naszego świata, wizja ta wydawała się bardziej prawdopodobna. Wodził wzrokiem po klasie. Jeżeli szukał oznak sprzeciwu, nie dostrzegł żadnych.

– Musimy uporządkować to pomieszczenie i sprawić, aby nadawało się do nauki – oświadczył. – Niech wygląda jak nowe.

Jego wielkie oczy zwróciły się z powrotem w stronę otwartego, przysłoniętego zielenią okna, a ja dopiero wtedy zauważyłam, że ma pod szyją krawat – wąski, czarny, elegancki. Nie zaplął ostatniego guzika koszuli, ułatwiając sobie oddychanie. Uniósł delikatną białą dłoń i poprawił krawat. Zwrócił się znowu w naszą stronę i uniósł brew.

– Tak? – zapytał.

Spojrzeliśmy po sobie i skinęliśmy głowami.

– Tak, panie Watts – odezwał się ktoś przytomnie.

– Tak, panie Watts – powtórzyliśmy wszyscy chórem.

Uniósł palec, jakby właśnie przypomniał sobie o czymś ważnym.

– Wiem, że niektórzy z was mówią na mnie Wytrzeszcz. Nic w tym złego. Wytrzeszcz mi się podoba.

I wtedy po raz pierwszy, odkąd widywałam go ciągnącego wózek z panią Wytrzeszczową, uśmiechnął się. Później już nigdy nie nazywałam go Wytrzeszczem.

Zabraliśmy się do sprzątanía. Ściągnięcie z dachu rozkwitłego pnącza okazało się dość łatwe. Najwyraźniej rozumiało, jaki nieuchronny los je czeka, i dlatego nie stawiało zbytniego oporu. Odciągnęliśmy je od budynku i wrzuciliśmy do ogniska; paliło się, wydzielając gęsty, biały dym. Pan Watts wysłał kilkoro dzieci po miotły. Oczyszcziliśmy nimi klasę. Po południu nisko wiszące słońce podświetliło pajęczyny. Usunęliśmy je szybko rękami.

Pierwszy dzień szkoły sprawił nam wiele radości. Pan Watts miał nas cały czas na oku. Pozwalał nam się wyszaleć, ale kiedy zabierał głos, słuchaliśmy w milczeniu.

W końcu usiedliśmy z powrotem w ławkach, czekając, aż pozwoli nam się rozejść do domów. Przemówił tym samym cichym głosem, którym zaskoczył nas na początku dnia.

– Chciałbym, żebyście coś zrozumieli. Nie jestem nauczycielem, ale dam z siebie wszystko. To akurat mogę wam obiecać. Wierzę, że z pomocą waszych rodziców będziemy w stanie dokonać czegoś ważnego.

Przerwał, jakby do głowy przyszła mu niespodziewana myśl. Najwyraźniej tak się rzeczywiście stało, ponieważ kazał nam wyjść na środek klasy, stanąć w kręgu, a następnie chwycić się za dłonie albo wziąć pod rękę.

Ci z nas, którzy słyszeli kazania pastora i orientowali się w ceremoniach kościelnych, zamknęli oczy i opuścili nisko głowy. Ale pan Watts nie zaczął odmawiać modlitwy ani wygłaszać kazania, tylko podziękował nam wszystkim za obecność.

– Nie byłem pewien, czy przyjdziecie – przyznał. – Nie chcę was zwodzić. Nie posiadam żadnej mądrości, choćby najmniejszej. Prawda jest taka, że możemy liczyć wyłącznie na siebie. Och, no i oczywiście na pana Dickensa.

Kim był pan Dickens? I dlaczego nigdy wcześniej go nie spotkaliśmy w wiosce zamieszkaną przez niecałe sześćdziesiąt osób? Niektóre starsze dzieci próbowały udawać, że wiedzą, o kogo chodzi. Jeden chłopak stwierdził nawet, że pan Dickens był przyjacielem jego wujka, a widząc nasze zaintrygowane spojrzenia, dodał, że nawet go kiedyś poznał. Kolejne pytania pozwoliły szybko obalić to twierdzenie i chwalipełta zmył się jak niepyszny. Okazało się, że nikt nie zna pana Dickensa.

– Jutro poznamy pana Dickensa – obieściłam po powrocie do domu.

Mama przerwała zamyślenie.

– To nazwisko białego mężczyzny – stwierdziła po namyśle. Potrząsnęła głową i splunęła na zewnątrz przez drzwi. – Nie, Matyldo, musiałaś źle usłyszeć. Wytrzeszcz to ostatni biały człowiek na wyspie. Innego nie ma.

– Pan Watts twierdzi, że jest.

Słyszałam dokładnie słowa pana Wattsa, w tym obietnicę, że zawsze będzie z nami szczery. Skoro zatem zapowiedział, że poznamy pana Dickensa, byłam pewna, że tak się stanie. Nie mogłam się doczekać, kiedy zobaczę innego białego mężczyznę. Nie przyszło mi nawet do głowy, żeby zapytać, gdzie pan Dickens się ukrywa, ale nie miałam żadnych powodów, aby wątpić w słowa pana Wattsa.

Mama musiała zmienić zdanie w nocy, ponieważ następnego ranka przywołała mnie do siebie, kiedy wybiegałam do szkoły.

– Matylde, gdybyś miała okazję, zapytaj tego całego pana Dickensa, czy nie naprawiłby nam generatora.

Wszystkie pozostałe dzieci przyszły do szkoły z podobnymi zaleceniami. Miały poprosić pana Dickensa o pastylki na malarię, aspirynę, paliwo do generatorów, piwo, naftę, świecek woskowe. Usiedliśmy w ławkach z listami prośb i czekaliśmy, aż pan Watts przedstawi nam pana Dickensa. Ten ostatni jeszcze nie przyszedł. W szkole zastaliśmy tylko pana Wattsa, który podobnie jak dzień wcześniej stał na środku klasy. Uznałam, że nad czymś duma, ponieważ tylna ściana nie mogła kryć w sobie żadnych nowych tajemnic. My skierowaliśmy wzrok na okno. Nie zamierzaliśmy przegapić momentu, kiedy przejdzie za nim biały człowiek.

Na tle niebieskiego nieba odcinały się rosnące na plaży palmy. Turkusowe morze było tak spokojne, że pozostawało w zasadzie niewidoczne. W połowie horyzontu znajdowała się kanonierka czerwonoskórych. Przypominała szarą mysz morską – pełzła wzdłuż brzegu z działami wycelowanymi w naszą stronę. Z gór dobiegały od czasu do czasu odgłosy strzałów. Byliśmy do nich przyzwyczajeni. Rebelianci czasami testowali odrestaurowaną broń, zresztą nawet gdyby była to strzelanina, musiała mieć miejsce znacznie dalej, niż mogło się wydawać. Nauczyliśmy się, że woda wzmacnia siłę dźwięku. Odgłosy strzałów zlewały się z chórem chrząkających świń i skrzeczących ptaków.

Czekaliśmy, aż pan Watts przebudzi się z zamyślenia, a ja w tym czasie zlokalizowałam na suficie trzy żółtozielone gekony i jednego bladego. Ptak z rodziny kwiatówek wleciał przez otwarte okno i wyleciał z powrotem na dwór. Zdarzenie to przykuło naszą uwagę, bo gdybyśmy mieli pod ręką sieć, moglibyśmy go złapać i zjeść. Kiedy ptak wyleciał przez okno, pan Watts zaczął czytać.

Nikt nie czytał mi wcześniej po angielsku. Innym też. W domach nie mieliśmy książek, a przed wprowadzeniem blokady docierały do nas

wyłącznie książki z Moresby, a one były napisane w pidżyn. Kiedy pan Watts zaczął czytać, wszyscy umilkliśmy. W naszym świecie pojawił się nowy dźwięk. Czytał powoli, dzięki czemu słyszeliśmy kształt każdego słowa.

Nazwisko mojego ojca brzmiało Pirrip, a mnie dano imię Filip. Mój dziecienny język nie potrafił oddać wyraźnie tych dwu dźwięków i stapał je w krótkie miano Pip. Nazwałem więc sam siebie Pipem i wszyscy zaczęli mnie tak nazywać¹.

Tak bez ostrzeżenia. Pan Watts po prostu zaczął czytać. Siedziałam w ławce w przedostatnim rzędzie. Gilbert Masoi przede mną zasłaniał mi cały widok swoimi grubymi ramionami i wielką głową pokrytą wełnistą czupryną. Dlatego w pierwszej chwili sądziłam, że pan Watts opowiada o sobie. Że to on ma na imię Pip. Dopiero kiedy zaczął krążyć między ławkami, dostrzegłam w jego ręku książkę.

On czytał, a my słuchaliśmy. Minęło trochę czasu, zanim przerwał, ale kiedy na nas spojrział, nadal siedzieliśmy w milczeniu. Potok słów ustał. Powoli powróciliśmy do swoich ciał i żywotów.

Pan Watts zamknął książkę i unióś ją wysoko w górę, jakby był pastorem dzierżącym w dłoni Biblię. Z uśmiechem na ustach rozejrzał się po klasie.

– Przeczytałem wam pierwszy rozdział *Wielkich nadziei*, najlepszej powieści napisanej przez najwybitniejszego angielskiego pisarza dziewiętnastego wieku, Karola Dickensa.

Okazaliśmy się głupi jak nietoperze. Spodziewaliśmy się, że faktycznie poznamy człowieka o nazwisku Dickens. Pan Watts najwyraźniej domyślił się, o czym myślimy.

– Kiedy czytamy dzieło wielkiego pisarza – zauważył – to tak, jakbyśmy go osobiście poznawali. Możecie mówić, że poznaliście pana Dickensa na papierze, jeśli można się tak wyrazić. Ale jeszcze go nie znacie.

Jedna z młodszych dziewczynek, Mabel, podniosła rękę. W pierwszej chwili pomyśleliśmy, że pan Watts jej nie zauważył, bo dalej mówił, nie zważając na machającą w dole dłoń.

– Chcę, żebyście zadawali pytania, choć nie mogę obiecać, że zawsze będę umiał na nie odpowiedzieć. Pamiętajcie o tym – powiedział. – A kiedy podnosicie rękę, żeby mnie o coś zapytać, bądźcie tak mili i przedstawcie się.

Skinął głową w stronę Mabel. Ona najwyraźniej nie usłyszała tego, co właśnie powiedział, ponieważ zaczęła od razu zadawać pytanie. Pan Watts przerwał jej w pół zdania uniesieniem brwi, a my po raz pierwszy od dwudziestu czterech godzin przypomnieliśmy sobie o jego przezwisku.

– Mabel, panie Watts – wyjaśniła.

– Dobrze. Bardzo miło mi cię poznać, Mabel. Ładne imię – dodał.

Rozpromieniona Mabel poprawiła się na krześle.

– Kiedy będziemy mogli powiedzieć, że znamy pana Dickensa? – spytała.

Pan Watts podparł brodę dwoma palcami. Zastanawiał się przez chwilę.

– To bardzo trafne pytanie, Mabel. Najpierw pomyślałem, że nie ma na nie odpowiedzi. Mimo to zaryzykuję. Niektórzy z was będą znali pana Dickensa, kiedy skończymy czytać książkę. Liczy sobie ona pięćdziesiąt dziewięć rozdziałów. Jeżeli będę wam czytać jeden rozdział dziennie, zabierze nam to pięćdziesiąt dziewięć dni.

Wróciliśmy do domów z trudnymi do wyjaśnienia informacjami. Poznaliśmy pana Dickensa, ale jeszcze go nie znamy – to miało nastąpić dopiero za pięćdziesiąt osiem dni. Był 10 grudnia 1991 roku. Szybko policzyłam, że nie będziemy znać pana Dickensa do 6 lutego 1992 roku.

W tropikach noc zapada szybko. Wspomnienie o minionym dniu nie utrzymuje się długo. Jeszcze chwilę wcześniej człowiekowi kręciły się przed oczami wychudłe, parchate psy, a teraz pozostały po nich same czarne cienie. Kto nie ma pod ręką świecy czy lampy naftowej, w szybko zapadających ciemnościach może się poczuć jak wepchnięty do nieoświetlonej celi. Wolność przynosił dopiero świt.

W trakcie trwania blokady musieliśmy oszczędzać paliwo i świece. Rebelianci i czerwonoskórzy masakrowali się nawzajem, co dodatkowo skłaniało nas do korzystania z osłony nocy. Tymczasem pan Watts podarował nam nowy świat, w którym mogliśmy spędzać noc. Schronienie, do którego mogliśmy uciekać. Nie miało znaczenia, że była to wiktoriańska Anglia. Odkryliśmy, jak łatwo się do niej dostać. I tylko te pierońskie psy i pierońskie koguty próbowały nas zatrzymać na wyspie.

Kiedy pan Watts skończył czytać pierwszy rozdział, miałam poczucie, jakby przez ostatnich kilka chwil przemawiał do mnie Pip. Chłopiec, którego nie mogłam zobaczyć ani dotknąć, ale którego znałam ze słuchu. Znalazłam nowego przyjaciela.

Zaskakujące było to, gdzie go znalazłam – nie siedzącego na drzewie, nie dąsającego się w cieniu, nie pluskającego się w jednym z górskich potoków, lecz w książce. Nigdy wcześniej nikt nie powiedział nam, dzieciom, że możemy tam szukać przyjaciół. Albo że możemy wejść w skórę innej osoby, albo wyruszyć w podróż do krainy otoczonej bagnami, gdzie źli ludzie mówili językiem piratów. Myślę, że pan Watts czerpał przyjemność z czytania dialogów. Każdy bohater mówił własnym głosem. Była to kolejna umiejętność, którą nam zaimponował – w czasie czytania

wydawał się nieobecny. Zapominaliśmy, że w ogóle przebywa z nami w klasie. Kiedy Magwitch, zbiegły więzień, groził, że wyrwie Pipowi serce i wątrobę, jeśli chłopiec nie przyniesie mu jedzenia i pilnika do kajdan na nogach, nie słyszeliśmy pana Wattsa – słyszeliśmy Magwitcha i mieliśmy poczucie, jakby skazaniec znajdował się z nami w klasie. Wystarczyło zamknąć oczy.

Wielu rzeczy nie rozumiałam. W nocy leżałam na macie, rozmyślając, czym są bagna. A jeszcze te wiktuały i kajdany? Częściowo domyślałam się tego z brzmienia słów. Bagna. Czy były tym samym co ruchome piaski? Wiedziałam, co to są ruchome piaski, ponieważ jeden z górników został przez nie wciągnięty i tyle go widziano. Zdarzyło się to jakiś czas wcześniej, kiedy kopalnia wciąż działała, a biali ludzie panoszyli się w Pangunie jak mrówki na trupie.

Pan Watts podarował nam, dzieciom, skrawek innego świata. Odkryłam, że mogę się do niego przenosić, kiedy tylko miałam ochotę. Do tego mogłam wybrać dowolny fragment opowieści. A wtedy nie miałam przecież jeszcze pojęcia, że słuchamy opowieści. Najmniejszego. Sądziłam, że słucham relacji uczestników prawdziwych zdarzeń. Miałam wiele ulubionych fragmentów. Wysokie miejsce zajmowała scena, kiedy Pip znajduje się na cmentarzu między nagrobkami zmarłych rodziców i pięciu braci. Śmierć nie była dla nas obcym tematem – widzieliśmy dzieci chowane w grobach na zboczu góry. A z Pipem łączyło mnie coś jeszcze: miałam jedenaście lat i podobnie jak Pip nie znałam swojego ojca, który wyjechał z wioski.

Oczywiście go pamiętałam, ale tylko w ten sposób, w jaki dziecko zna swoich rodziców: jako przybliżony, jedno-, dwukolorowy zarys. Tata nigdy nie okazał przy mnie strachu ani nie płakał. Nigdy nie słyszałam, aby przyznał się do błędu. Nie miałam pojęcia, jakie były jego marzenia. Raz, kiedy mama na niego krzyczała, zobaczyłam na jego twarzy mieszaninę

uśmiechu i mroku. Odkąd wyjechał, pozostało po nim jedynie wyobrażenie – męskiego ciepła, wielkich ramion i głośnego śmiechu.

Z kształtu liter na nagrobkach Pip wywnioskował, że jego ojciec to był „krępy, kwadratowy mężczyzna o ciemnych wijących się włosach”².

Idąc za przykładem Pipa, próbowałam stworzyć sobie w umyśle obraz mojego taty. Znalazłam kilka próbek jego ręcznego pisma. Posługiwał się małymi drukowanymi literami. O czym to świadczyło? Chciał być dostrzegany, ale nie za bardzo? Należało rzecz jasna wziąć pod uwagę jego gromki śmiech. Tamtej nocy zapytałam mamę, czy tata był szczęśliwym człowiekiem.

– Nigdy w stosownym momencie – odparła – choć szczęśliwy czuł się zazwyczaj, jak się napił.

Zapytałam, czy według niej był „krępy męczyzną”. Usłyszałam, jak unosi się w ciemności, podpierając na łokciu.

– Krępy?!? A gdzieżeś ty usłyszała to słowo, dziewczyno?

– Od pana Wattsa.

– Wytrzeszcza. No proszę – powiedziała, kładąc się z powrotem.

– Było w książce.

– Jakiej, u licha, książce?

– W *Wielkich nadziejach*.

Udzieliłam trzech krótkich odpowiedzi. Najbardziej zaskakująca była ostatnia. Mamę zatkało. Czułam, że intensywnie się zastanawia. Poprawiła się na macie. Słyszałam jej zagniewany oddech. Nie miałam pojęcia, dlaczego ciągle się na mnie złościła. Ciszę zaczęły wypełniać odgłosy nocy. Warczące w ciemnościach psy, ocean ponawiający ataki na plażę. Leżałyśmy długo w milczeniu, wreszcie mama przemówiła.

– W takim razie, Matyldo, opowiedz mi o tej książce.

Po raz pierwszy to ja miałam się z nią podzielić wiedzą o świecie. Chodziło o miejsce, którego nie znała i o którym nigdy wcześniej nie

słyszała. Nie mogła nawet udawać, że je zna, więc tylko ode mnie zależało, jaki kształt przybierze. Nie pamiętałam dokładnie słów, które odczytywał dla nas pan Watts, nie sądziłam też, że mama zdołałaby podobnie jak my zagłębić się w świat, w życie Pipa i niektórych innych osób, na przykład skazańca. Opowiedziałam jej zatem własnymi słowami o Pipie, który nie miał mamy, taty ani braci.

– Chłopak jest zgubiony! – zawołała mama.

– Nie – odparłam. – Ma jeszcze siostrę, która wyszła za mężczyznę o imieniu Joe. To oni wychowują Pipa.

Opowiedziałam o skazańcu, który przydybał chłopaka na cmentarzu. Zagroził, że wyrwie mu serce i wątrobę, jeśli ten go nie posłucha. Kazał mu wrócić do domu po pilnik oraz jedzenie i przynieść je rano na cmentarz.

Nie potrafiłam oddać wszystkich elementów opowieści. W moich ustach straciła koloryt. Pozostały suche fakty.

– To wszystko, co na razie wiem – powiedziałam na zakończenie.

W oddali zawył pies. Coś zaskrzeczało. Z pobliskiego domu dobiegł wysoki głos.

– A co ty byś zrobiła? – zapytała mama. – Gdyby w dżungli ukrywał się jakiś mężczyzna i kazał ci mnie okraść. Posłuchałabyś go?

– Nie – odparłam i podziękowałam Bogu, że mama nie mogła dostrzec w ciemności kłamstwa wymalowanego na mojej twarzy.

– Wytrzeszcz powinien was uczyć, jak być porządnym – stwierdziła. – Chcę wiedzieć o wszystkim, co wydarzy się w tej książce. Słyszysz, Matyldo?

Kiedy nie czytaliśmy *Wielkich nadziei*, nauczyliśmy się innych rzeczy, na przykład ortografii i tabliczki mnożenia. Pan Watts kazał nam opanować nazwy państw od zaczynających się na A – Andora, Australia, do tych na Z – Zambia, Zimbabwe. Nie dysponowaliśmy podręcznikami, a jedynie

umysłami i pamięcią, ale zdaniem pana Wattsa nic więcej nie było nam potrzebne.

W jego wiedzy były luki. Spore luki, za które przeproszał. Znał słowo „chemia”, ale niewiele potrafił o niej opowiedzieć. Podał nam nazwiska sławnych ludzi: Darwina, Einsteina, Platona, Archimedes, Arystotelesa. Zastanawialiśmy się, czy ich nie zmyślił, ponieważ miał problem z wyjaśnieniem, dlaczego byli sławni i dlaczego powinniśmy ich znać. A jednak był naszym nauczycielem i nigdy się tego nie wyrzekł. Kiedy ocean wyrzucił na plażę jakąś nieznaną rybę, w pierwszym odruchu zawołaliśmy pana Wattsa i poprosiliśmy o zidentyfikowanie tajemniczego, węgorzopodobnego stworzenia. Nie przeszkadzało nam to, że stał nad nim z równie skonsternowaną miną, jak my.

Pan Watts mógł się czuć bezpiecznie, kiedy rozmawialiśmy o panu Dickensie. Cieszyliśmy się, że tak jest. Zawsze mówił „pan Dickens” – nigdy Dickens czy Karol. Dzięki temu wiedzieliśmy, jak sami powinniśmy się do niego odnosić. Opowiadaliśmy o panu Dickensie tak długo, aż stawał się równie realny, jak pan Watts. Po prostu jeszcze go nie znaleźliśmy.

Pan Watts opowiadał nam o Anglii, którą widział kiedyś na własne oczy. Z naszej perspektywy mógłby równie dobrze opowiadać o Księżycu. Mieliśmy wręcz kłopot z wymyślaniem pytań. Moja przyjaciółka Celia zainteresowała się, czy w Anglii żyją czarni ludzie. Pan Watts pośpiesznie przytaknął, a kiedy rozejrzał się po klasie, czekając na kolejne pytanie, Celia posłała mi ukradkiem spojrzenie spod swoich czarnych warkoczyków.

Wkrótce dowiedzieliśmy się, że istnieje wiele Anglii, a pan Watts był tylko w dwóch lub trzech. Anglie, które odwiedził, znacznie różniły się od tej, w której żył i pisał pan Dickens. Mieliśmy problem z przyswojeniem wszystkich informacji, ponieważ nigdy nie opuściliśmy naszej wyspy i sądziliśmy, że nasze życie niespecjalnie różni się od życia naszych

dziadków oraz ich dziadków; zwłaszcza od momentu wprowadzenia blokady.

Mama lubiła opowiadać o tym, jak mój dziadek po raz pierwszy popłynął parowcem do Rabaul. Szturchnął łokciem innego pasażera stojącego na pokładzie i zapytał: „Co to za świnię, które ruszają się za tamtymi drzewami?”. Nigdy wcześniej nie widział samochodu.

Kiedy pan Watts nie opowiadał o panu Dickensie lub Anglii, całkowicie się gubił. Kiedyś Gilbert podniósł rękę i zapytał, jak działa samochód. Pan Watts wyjąkał coś w odpowiedzi, ale zaraz umilkł. Podrapał się po głowie i zaczął od początku. Wszyscy już wcześniej słyszeliśmy o benzynie i kluczyku w stacyjce. Gilberta interesowała cała reszta. Usłyszeliśmy, że to skomplikowana sprawa. Pan Watts stwierdził, że łatwiej byłoby wyjaśnić ją na rysunku. Po raz kolejny poprosił nas o cierpliwość. Obiecał, że postara się coś wymyślić.

Miał świadomość luk w swojej wiedzy – nikt nie musiał mu tego uświadamiać – ponieważ niedługo po reaktywacji szkoły zaczął zapraszać do klasy nasze mamy, aby podzieliły się z nami tym, co same wiedzą o świecie.

Jako pierwsza przyszła mama Mabel. Pani Kabui stanęła w otwartych drzwiach otoczona blaskiem popołudniowego słońca. Pan Watts wyciągnął rękę na powitanie, a pani Kabui szybko do niego podeszła i powiedziała coś szeptem. Zauważyłam, że Mabel wierci się na brzeжку krzesła. Pan Watts skinął głową, czym wyraźnie uspokoił panią Kabui.

– Dzieci, mamy dziś prawdziwe szczęście – zwrócił się do nas pan Watts – ponieważ pani Kabui zgodziła się podzielić wspomnieniami ze swojego niezwykłego życia i czasów sercowego nasionka.

Mama Mabel uśmiechnęła się nieśmiało. Stała przed nami bosa, ubrana w białą bluzkę i czerwoną spódnicę. Jej uśmiech pozwalał zapomnieć o rozdartym ramiączku bluzki i śladach, które na materiale zostawiły brudne palce dziecka. Mówiła łagodnym głosem, bardzo starannie dobierając słowa.

– Dziękuję, panie Watts. Niezmiernie panu dziękuję. Przyszłam z nadzieją, że uda mi się was czymś zaskoczyć.

Rozejrzała się po klasie, sprawdzając, czy jesteśmy gotowi. Byliśmy.

– Uwierzylibyście, że niektóre ogrody rozpoczynają swój żywot w oceanach?

Ponownie rozejrzała się po klasie, omijając wzrokiem ławkę, w której siedziała jej córka. Jej uśmiech był skierowany do wszystkich.

– Chciałabym wam dziś opowiedzieć o sercowym nasionku.

Sercowe nasionko unosiło się na powierzchni wody i w końcu zostało wyrzucone na plażę. W ciągu następnego tygodnia morska bryza i słońce wysuszyły je tak bardzo, że stało się lekkie jak łupina. Turlane podmuchami wiatru po miesiącu opuściło plażę i zostało rzucone na ziemię. Trzy

miesiące później wyrosła z niego roślina, a po kolejnych dziewięciu miesiącach rozwinęły się kwiaty, które spojrzały na morze, skąd przybyło nasionko.

– Dlaczego wam o tym opowiadam, dzieci? Ponieważ ich pręciki spalają się żywym płomieniem i odpędzają moskity.

Pan Watts zamrugał, jak ktoś wybudzony ze snu. Domyślałam się, że oczekiwał dłuższej historii. Mama Mabel zaskoczyła go tak niespodziewanym zakończeniem.

– Znakomicie, pani Kabui. Znakomicie. Sercowe nasionko.

Skinięciem głowy dał nam sygnał, że przyszedł czas na powstanie z krzeseł i oklaski. Mabel najdłużej i najenergiczniej biła brawo. Jej matka skłoniła się w pasie, pochyliła głowę, po czym wyprostowała się rozpromieniona w uśmiechu. Wszyscy byli zadowoleni. Nikt nie zrobił niczego upokarzającego ani zawstydzającego.

Później przyszedł czas na *Wielkie nadzieje*. Wodziliśmy spojrzeniami za panem Wattsem. Widzieliśmy, co zamierza. Podniósł książkę ze swojego biurka. Mama Mabel również to wszystko widziała. Wyszepiała coś na ucho panu Wattsowi, zakrywając usta dłonią. On odpowiedział: „Tak, oczywiście. Oczywiście”. Wskazał na puste krzesło. Mama Mabel usiadła, aby posłuchać najwspanialszej powieści najwybitniejszego angielskiego pisarza dziewiętnastego wieku.

Choć byłam podekscytowana, musiałam słuchać bardzo uważnie, ponieważ wiedziałam, że później tego wieczoru mama każe mi opowiedzieć najnowszy fragment historii Pipa. Szczególną uwagę zwracałam na sposób, w jaki pan Watts wymawiał słowa. Chciałam zaskoczyć mamę kilkoma nowymi, nieznanymi jej wyrazami. Nie zdawałam sobie jeszcze wtedy sprawy, że każde z dzieci wracało do domu z nowym odcinkiem *Wielkich nadziei*.

Rozbrzmiewający w ciemnościach głos zdawał się wyrażać urazę i żal.

– A więc zabrał matce pasztet wieprzowy?

Pasztet wieprzowy. Wyszczrzyłam zęby. Nie potrafiła wymówić tych wyrazów identycznie jak pan Watts.

Zrozumiałam jednak, że jestem jej winna wyjaśnienie. Wyraźnie nie zdążyła oswoić się jeszcze ze śmiercią mamy i taty Pipa. Wspomniałam o tym poprzednio, ale postanowiłam, że wszystko jej powtórzę. Wyjaśniłam, że Pipa wychowała jego siostra i mężczyzna o imieniu Joe. Wychowała go „własnoręcznie”, dodałam, zastanawiając się nad tymi słowami i ich znaczeniem.

– A zatem zabrał siostrze pasztet wieprzowy.

– Tak – przyznałam.

– A w jaki sposób skomentował to Wytrzeszcz?

Pan Watts nic nie powiedział, ale miałam świadomość, że lepiej o tym nie wspominać.

– Pan Watts stwierdził, że należy się wstrzymać z osądem, dopóki nie pozna się wszystkich faktów.

Do dziś nie mogę wyjść z podziwu, że zdołałam wymyślić tę odpowiedź. Bez wątplenia powtórzyłam zasłyszane zdanie, ale okoliczności, w których do tego doszło, ulotniły mi się z pamięci.

Usłyszałam, jak mama zmienia pozycję na macie. Czekwała na ciąg dalszy opowieści. Ja z kolei powzięłam równie mocne postanowienie, że zaczekam, aż zapyta: „No i co było dalej?”. Uczyniła to kilka sekund później. Zmusiła się do wypowiedzenia tych słów, wyraźnie poirytowana.

„Oszroniony poranek” – to sformułowanie, o które bogatsza wróciłam tamtego dnia do domu. Użyłam go, aby odmalować okoliczności, w których Pip niósł pasztet wieprzowy i pilnik zbiegłemu skazańcowi Magwitchowi, czekającemu na niego na bagnach. „Był oszroniały poranek...”

Przerwałam i ze skrywanym w ciemnościach szelmowskim uśmiechem zapytałam matkę o znaczenie tego sformułowania. Ona zaczęła jedynie

oddychać z większą stanowczością, jakby przeniknęła moje myśli i odgadła, o co mi chodzi.

Wcześniej tamtego dnia po raz pierwszy podniosłam w klasie rękę. Nie machałam nią jak Mabel, tylko czekałam cierpliwie, aż pan Watts skinie przyzwalająco głową. Zaczęłam w typowy sposób.

– Mam na imię Matyllda.

– Tak, Matylldo – powiedział pan Watts.

– Co to jest oszroniony poranek?

– Oszroniony poranek to mroźny poranek. Nieczęsto słyszy się dziś to słowo – dodał i uśmiechnął się. – Matyllda to także ładne imię. Skąd wzięłaś tak ładne imię? – spytał.

– Od ojca.

– A on...?

Przewidziałam, że o to zapyta. Tata pracował w kopalni z Australijczykami. Oni dali mu imię Matyllda. Tata dał je mamie, a ona dała je mnie. Wyjaśniłam to panu Wattsowi.

– Czyli zupełnie jakbyś dostała używane imię – stwierdził, odwracając w zamyśleniu wzrok. Niespodziewanie sposepniał. Nie wiedzieliśmy dlaczego. Skierował spojrzenie z powrotem na książkę i zauważył, że nadal trzymam rękę w górze.

– Tak, Matylldo?

– Co to jest mroźny poranek?

Zawsze gdy pan Watts rozmyślał nad jakimś pytaniem, wodził wzrokiem po tylnej ścianie lub podchodził do otwartego okna, jakby miał nadzieję, że znajdzie za nim odpowiedź. Tym razem zadał to pytanie całej klasie.

– Czy ktoś wie, co to jest mroźny poranek?

Nikt nie wiedział. Byliśmy zdumieni, gdy poznaliśmy prawdę na temat oszronionego poranka. Nie potrafiliśmy sobie wyobrazić powietrza tak zimnego, że z ust wydobywałyby się biała para, a źdźbła trawy łamałyby się

w rękach. Nie potrafiliśmy sobie wyobrazić takiego świata. Żadne z nas nie miało w ustach nic zimnego od czasu, gdy przestał działać ostatni generator. Dla nas zimne było to, co zostawiło się w cieniu albo co nasiąkło nocnym powietrzem.

Oszroniony poranek. Czekałam, aż mama złapie przynętę. Tymczasem ona nie miała na to najmniejszej ochoty. Nie obchodziło jej, co to jest oszroniony poranek. A może nie chciała wyjść na głupią albo opóźnioną w rozwoju. W związku z tym zapoznałam ją z bardziej interesującymi wydarzeniami z najnowszego rozdziału *Wielkich nadziei*. Stary skazaniec w gryzający się w jedzenie, jakby był psem. Obawa Pipa, że po powrocie do domu zostanie w spiżarni żandarma. Zwłaszcza to ostatnie jej się spodobało. Usłyszałam, jak cmoka z zadowoleniem w ciemności.

Nigdy więcej nie poprosiła mnie o zrelacjonowanie wydarzeń z *Wielkich nadziei*. A wszystko chyba przez „oszroniony poranek”. Mimo że nie skomentowała tego ani słowem, wiedziałam, że jej zdaniem się popisywałam; że sformułowaniami w rodzaju „oszroniony poranek” próbowałam odgryźć większy kęs świata, niż byłam w stanie przetrawić. Nie zamierzała mnie do tego zachęcać dodatkowymi pytaniami. Nie chciała, abym jeszcze bardziej zagłębiła się w obcym świecie. Bała się, że straci swoją Matyldę na rzecz wiktoriańskiej Anglii.

O świcie usłyszeliśmy przelatujące nad wioską helikoptery czerwonoskórych. Po jakimś czasie wróciły i zawisły w powietrzu niczym wielkie ważki, spoglądając w dół na otwartą przestrzeń wokół wioski. Dostrzegły tylko rząd opuszczonych domów i pustą plażę, ponieważ zdążyliśmy się stamtąd ulotnić. Wszyscy. Starcy. Matki i ojcowie. Dzieci. Oraz te psy i kurczaki, które miały imiona. Ukryliśmy się w dżungli i czekaliśmy. W końcu usłyszeliśmy szum nad koronami drzew. Czuliśmy podmuchy wiatru wzbudzone przez łopatki wirników. Pamiętam, że patrzyłam na zbitych w grupki ludzi, rozmyślając, gdzie podziewają się pan Watts i Grace.

Kryjąc się pod drzewami, wróciliśmy ścieżką do wioski. Psy, które były zbyt stare lub wychudzone, aby ruszyć się z miejsca, uniosły pyski. Między domami paradowały koguty. Na ich widok poczuliśmy się ludźmi, ponieważ zwierzęta nie rozumiały niczego, co się działo wokół. Nie wiedziały o pistoletach i czerwonoskórych z Moresby. Nie wiedziały o kopalni, o polityce ani o naszych lękach. Koguty potrafiły jedynie być kogutami.

Helikoptery odleciały, ale strach pozostał. Nie wiedzieliśmy, jak sobie z tym poradzić. Kręciliśmy się między chatami. Staliśmy w drzwiach. Wpatrywaliśmy się w horyzont. Wreszcie wszyscy kolejno doszli do wniosku, że nie pozostaje nam nic innego, jak wrócić do codziennych zajęć. Czyli do szkoły.

Pan Watts czekał na nas w klasie. Kiedy wszystkie dzieci usadowiły się w ławkach, uniosłam rękę. Zapytałam, czy słyszał helikoptery, a jeśli tak, to

gdzie ukrył się z panią Watts. Było to pytanie, które wszystkim chodziło po głowie.

Nasze miny wyraźnie rozbawiły pana Watts. Podrzucał leżący na dłoni ołówki.

– Nie ukryliśmy się, Matyldo – wyjaśnił. – Pani Watts nie miała ochoty opuszczać domu tak wcześnie rano, a ja lubię poświęcać akurat tę godzinę na czytanie.

I tyle, jeśli chodzi o wyjaśnienia.

– Czy twoja mama zaszczyci nas dziś swoją obecnością, Matyldo? – spytał.

– Tak – powiedziałam, starając się ukryć niepokój.

Okazało się, że mama innego ucznia pomyliła dni i przysłała do klasy. Była to żona Wilsona Masoi, rybaka, a ich syn Gilbert przychodził na lekcje tylko wtedy, kiedy ojciec nie zabierał go na połów. Jego mama była monstrualną kobietą. Przez drzwi weszła bokiem. Siedzącym przede mną chłopakiem z wielką wehniastą czupryną był właśnie Gilbert. Tamtego dnia widziałam wszystko doskonale, ponieważ pochylił się nisko nad ławką zawstydzony obecnością matki.

Nie uszło to uwagi pana Watts. Spojrzał w naszą stronę, jakby czegoś zapomniał.

– Gilbert. Bądź tak miły i przedstaw wszystkim swoją mamę.

Gilbert wzdrygnął się i przygryzł policzki. Zaczął się gramolić, a kiedy wreszcie wstał z krzesła, brodę wciąż przyciskał do piersi i rozglądał się nerwowo dokoła spod półprzymkniętych powiek.

– To moja mama – wymruczał.

– Nie wygłupiaj się, Gilbert – zganił go pan Watts. – Twoja mama nie ma imienia?

– Pani Masoi.

– Pani Masoi. Dziękuję, Gilbertcie. Możesz usiąść.

Pan Watts zamienił kilka słów z mamą Gilberta, trzymając ją delikatnie za łokieć. Kobieta miała wielką głowę pokrytą czarnymi, wełnistymi włosami. Przyszła boso w brudnej, bezkształtnej białej sukience. Usłyszałam, jak pan Watts mówi: „Cudownie”.

– Pani Masoi podzieli się z wami kilkoma poradami kulinarnymi – oświadczył głośno.

Mama Gilberta odwróciła się przodem do klasy. Zamknęła oczy i wyrecytowała:

– Aby zabić ośmiornicę, trzeba ugryźć ją nad oczami. Gotując zółwia, wkłada się go do garnka skorupą na dół.

Zerknęła na pana Wattsa, który dał jej głową znak, aby kontynuowała. Ponownie zamknęła oczy.

– Aby zabić świnie, weź dwóch grubych wujków i każ im stanąć na desce położonej na gardle świni.

Otworzyła oczy i spojrzała na pana Wattsa. On próbował zazartować, pytając, jak grubi powinni być wujkowie.

– Grubi – odparła pani Masoi. – Grubi się nadają. Chudzi są do bani.

Biedny Gilbert. Wiercił się tuż przede mną, szurając wielką pupą po krześle.

Następnego ranka ponownie obudziły nas helikoptery. Mama pochylała się nade mną z twarzą wykrzywioną panicznym strachem. Krzyczała, że mam natychmiast wstać. Z zewnątrz dobiegały nawoływania ludzi i szum śmigieł. Przez otwarte okno wlatywał pył i kawałki liści. Mama narzuciła na mnie ubranie. Na dworze ludzie biegali we wszystkich kierunkach.

Po dotarciu na skraj dżungli mama wciągnęła mnie między drzewa. Wiedziałyśmy, że helikoptery wylądowały, ponieważ szum śmigieł zrobił się jednostajny. Wszędzie dokoła widziałam skrywające się w cieniu spocone twarze. Próbowaliśmy wtopić się w nieruchomą plamę lasu.

Niektórzy stali. Inni przykucnęli; głównie matki z małymi dziećmi. Wepchnęły im do ust sutki, żeby się uciszyły. Wszyscy milczeli. Czekaliśmy i czekaliśmy. Znieruchomiali, z twarzami ociekającymi potem. Czekaliśmy, aż szum helikopterów zaczął zanikać w oddali. Nawet wtedy czekaliśmy, dopóki nie pojawił się ojciec Gilberta i nie dał nam znaku, że jest bezpiecznie. Powoli zaczęliśmy wyłaniać się z dżungli i wracać do domów.

Słońce lało się z nieba na martwe zwierzęta. Kury i koguty spoczywały bezwładnie na wybrzuszonych częściach tułowia. Odcięte głowy leżały w pyłe i trudno było ustalić, do których tułowi uprzednio należały. Ciosy maczet, którymi je odcięto, skosiły przy okazji kije podtrzymujące sznury do suszenia bielizny i pale ogrodowe.

Staremu psu rozcięto brzuch. Wpatrywaliśmy się w niego i rozmyślaliśmy o opowieściach, z którymi ojciec Gilberta powrócił z dalszej części wybrzeża, gdzie rozgrywała się większość walk. Teraz wiedzieliśmy, jak musi wyglądać człowiek z rozciętym brzuchem. Nie musieliśmy już uruchamiać wyobraźni. Patrząc na tego psa, widzieliśmy swoją siostrę, brata, mamę lub tatę. Zrozumieliśmy, jak bezceremonialnie obeszłoby się z nimi słońce, jak bezrozumne były nadmorskie palmy, które szumiały wysoko nad naszymi głowami. Drzewa powinny się wstydzić tego, że brakuje im sumienia. Wpatrują się, i tyle.

Tata Mabel podniósł psa i zawołał jakiegoś chłopaka, żeby podszedł i pomógł mu wcisnąć wylatujące wnętrzności w powrotem na ich miejsce. Obaj poszli na skraj dżungli i cisnęli zwłoki w jej mrok. Pies wabił się Czarny.

Z wioski zniknęło cenne dla wszystkich zwierzę – koza. Gdyby została posiekana na kawałki, znaleźlibyśmy wnętrzności. Na poszukiwania udaliśmy się do dżungli. Jeden czy dwa obiecujące tropy kończyły się przy

wodospadach i nieprzebytej ścianie drzew. Czerwonoskórzy musieli zabrać ją ze sobą. Wyobraziliśmy sobie, jak to się musiało odbyć.

Musieli obwiązać zwierzę liną albo najlepiej dwiema – jedną z przodu, drugą przy zadzie. Kozę uniesiono w powietrze. W jej wielkich oczach zagościło zdumienie na widok koron drzew, których nigdy nie widziała, a które niespodziewanie pojawiły się pod nią. Próbowaliśmy sobie wyobrazić, jak to jest być kozą i czuć prąd powietrza muskający kopyta.

Blokada wyspy rozpoczęła się w pierwszej połowie 1990 roku. Sądziliśmy, że jest tylko kwestią czasu, gdy świat zewnętrzny przybędzie nam z pomocą. Ludzie powtarzali szeptem: „Cierpliwości”. No i co? Żli ludzie znaleźli naszą wioskę.

Nie przejmowaliśmy się specjalnie kurami i kogutami. Mogliśmy się żywić rybami, a drzewa uginały się od owoców. Nasze myśli koncentrowały się na Czarnym i jego wnętrznościach wystawionych na działanie prażącego słońca.

Później tego samego dnia do klasy przysłała moja mama. Nie ostrzegła mnie, że wygłosi tego dnia pogadankę. Nie miałam pojęcia, o czym zamierza mówić. Całą wiedzę o świecie czerpała przecież z Biblii.

Podobnie jak podczas wizyty mamy Gilberta pan Watts odnalazł mnie w klasie swoimi wielkimi, żywymi oczami.

– Matylodo, bądź tak miła...

Wstałam i obwieściłam to, co i tak wszyscy wiedzieli.

– To jest moja mama.

– A twoja mama ma jakieś imię?

– Dolores – powiedziałam i osunęłam się na krzesło. – Dolores Laimo.

Mama posłała mi uśmiech. Przysłała w zielonej chustce, którą tata przysłał jej w ostatniej paczce. Zawięzała ją sobie mocno, w identyczny sposób, w jaki rebelianci nosili swoje przepaski. Włosy spięła z tyłu głowy

w mocno naciągnięty kok, przez co wyglądała wyzywająco. Usta miała zaciśnięte, nozdrza rozszerzone. Mój ojciec mawiał, że w żyłach matki płynie krew prawości. Jego zdaniem powinna była zostać kapłanką, ponieważ potrzeba przekonywania innych nie była zwykłą intelektualną rozrywką. Jakość argumentów nie miała większego znaczenia. Liczyła się tylko intensywność wiary. A każdy aspekt jej wyglądu – od białek oczu do umięśnionych łydek – przemawiał za tym, że miała rację.

Mama zbyt rzadko się uśmiechała, a jeśli już, to najczęściej zwycięsko. Uśmiechała się też po zapadnięciu zmroku, kiedy wydawało się jej, że nikt jej nie widzi. Kiedy się nad czymś zastanawiała, wyglądała na zagniewaną, zupełnie jakby myślenie było potencjalnie wyniszczającą czynnością, która w najgorszym razie może się skończyć jej upokorzeniem. Marszczyła brwi nawet wtedy, kiedy się koncentrowała. W sumie gniewny wyraz twarzy miała przez większą część dnia. Przez jakiś czas podejrzewałam, że powodem były wspomnienia o tacie, ale nie mogła przecież myśleć o nim bez przerwy.

Znała doskonale treść, jak się wyrażała, Dobrej Nowiny. I często o tej treści rozmyślała. Nie sądzę, aby jakikolwiek fragment Pisma Świętego wzbudzał w niej gniew, niemniej na taką właśnie wyglądała i dlatego wiele dzieci się jej bało.

Musiała się tego domyślać, ponieważ przemówiła do nas swoim łagodniejszym głosem – tym, którym zwracała się do mnie, dopóki nie poróżniły nas *Wielkie nadzieje*.

– Przyszłam opowiedzieć wam o wierze – zaczęła. – Musicie w coś wierzyć. Tak, musicie. Nawet palmy wierzą w powietrze. A ryby w morze.

Rozejrzała się szybko po sali i zaczęła dzielić się przemyśleniami na jedyny temat, w którym czuła się pewnie, który znała i na którym jej zależało.

– Kiedy przybyli misjonarze, nauczyli nas wiary w Boga. Kiedy jednak powiedzieliśmy, że chcemy zobaczyć Boga, misjonarze nie zgodzili się nam go przedstawić. Wielu starych wolało wytrwać przy mądrości krabów i jednorożka mającego kształt Gwiazdy Południowej, ponieważ wystarczy zanurzyć głowę pod wodą, a można pokonać drogę między wyspami, płynąc za jednorożkami. Co o tym myślicie, dzieci?

Nachyliła się do przodu. Pana Wattsa równie dobrze mogłoby nie być w klasie.

– Lepiej mieć za towarzysza jednorożka, nieprawdaż? Wtedy moglibyście powiedzieć, że wasze przetrwanie jest po prostu kwestią wiary. Kiedy byłam małą dziewczynką, to właśnie powiedział mojemu ojcu pewien stary rybak wyratowany z tonącego kanoe. W nocy określał swoje położenie na podstawie gwiazd. W dzień zanurzał twarz w wodzie i płynął za jednorożkiem. Tak było naprawdę.

Nikt nie zamierzał oponować. Inne dzieci siedziały zeszywniałe w ławkach. Poczułam się nieco zażenowana emanującym z nich strachem.

Mama mruknęła z zadowoleniem. Ustawiła sobie nas dokładnie tak, jak chciała. Byliśmy ławicą sparaliżowanych ze strachu ryb, wokół której krąży rekin. Wyprostowała się z wielką ostrożnością, jakby za nic nie chciała rozproszyć naszej uwagi.

– A teraz posłuchajcie. Wiara jest jak tlen. Ani na chwilę nie pozwoli wam utonąć. Czasami jej nie potrzebujecie, czasami potrzebujecie, ale kiedy to już nastąpi, lepiej mieć wprawę w wierzeniu, bo inaczej nie zadziała. Właśnie dlatego misjonarze pobudowali te wszystkie kościoły. Wcześniej byliśmy w niedostatecznym stopniu wprawieni w wierze. Do tego, moje dzieci, służą modlitwy – do wprawiania się. Do wprawiania się. A oto kilka słów, których macie się nauczyć na pamięć: *Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię. A ziemia była zupełnym pustkowiem, ciemność zalegała głębię wód, a tchnienie Boże unosiło się nad wodami.* – Twarz

mojej mamy rozjaśnił rzadko widywany uśmiech. Odszukała mnie wzrokiem w tylnej części klasy i spojrzała mi prosto w oczy:

– *I rzekł Bóg: Niech powstanie światło! I światło powstało*³. Nie usłyszycie nigdy piękniejszego zdania.

Zdawałam sobie sprawę, że kilka osób odwróciło głowy w moją stronę, jakby w oczekiwaniu, że zaoponuję. Na szczęście wyratowała mnie Violet. Podniosła rękę i poprosiła moją mamę, aby powiedziała coś na temat mądrości krabów. Mama wreszcie zwróciła się do pana Wattsa.

– Ależ proszę – powiedział pan Watts.

– Kraby – powtórzyła i wzniosła oczy ku gekonom na suficie. Akurat w tej chwili żadnego nie dostrzegają, bowiem jej umysł pochłonęły w całości kraby, a szczególnie możliwość przepowiedzenia pogody na podstawie ich zachowań. – Wiatr i deszcz nadciągają, jeśli krab wkopuje się prosto w dół i zasypuje otwór piaskiem, zostawiając promieniste ślady. Możemy się spodziewać silnych wiatrów, ale bezdeszczowej pogody, jeśli krab zostawia obok kryjówki stożek z piasku i nie zasypuje otworu. Jeśli krab zasypuje otwór, ale nie wyrównuje stożka piasku, nadciąga deszcz, ale bez wiatru. Kiedy krab zostawia górkę z piasku i nie zasypuje otworu, należy się spodziewać ładnej pogody. Nigdy nie należy ufać białym, kiedy mówią: „W radiu zapowiedzieli deszcz”. Przede wszystkim należy ufać krabom.

Mama zerknęła na pana Wattsa, który roześmiał się, aby pokazać, z jaką radością współuczestniczy w wykładzie.

Żałowałam, że ona nie potrafi zdobyć się na to samo. Zamiast tego niechętnie skinęła w jego stronę głową na znak, że skończyła, po czym opuściła dostojnym krokiem klasę. Było upalne popołudnie; ptaki pokrzykiwały, zapomniawszy o martwym psie i posiekanych kogutach, które widziały wcześniej tego dnia.

Po szkole część z nas poszła na plażę, aby obejrzeć kraby i sprawdzić, czy mama mówiła prawdę. Znaleźliśmy kilka niezasypanych dziur, co całkowicie usatysfakcjonowało chłopaków. A przecież wystarczyło spojrzeć na czyste, błękitne niebo, aby poznać pogodę. Mnie akurat kraby niespecjalnie interesowały.

Podniosłam patyk i napisałam na piasku wielkimi literami PIP. Wybrałam miejsce powyżej granicy przyływu, a w rowek tworzący litery powtykałam białe sercowe nasionka.

Problem z *Wielkimi nadziejami* polega na tym, że jest to rozmowa jednostronna. Nie można odpowiedzieć. Gdyby było inaczej, zwierzyłabym się Pipowi, że moja mama przyszła wystąpić przed klasą, a kiedy patrzyłam na nią wtedy z oddali – choć siedziałam zaledwie w drugim rzędzie od końca – wydawała się jakaś inna. Bardziej wroga.

Kiedy nieznośnym sprzeciwu głosem wygłosiła swoją tezę, fizyczny aspekt jej postaci uwydatnił się natychmiast na powierzchni jej skóry. Można było odnieść wrażenie, jakby powietrze stawiało silny opór przy każdym jej geście. Kroczyła powoli niczym wielki wzdęty żagiel. Żałowałam, że zrezygnowała z uśmiechu; wiedziałam, jaki jest piękny. W niektóre noce księżycowa poświata zahaczała o czubki jej zębów, a ja domyślałam się wtedy, że mama leży w ciemności i się uśmiecha. Z pomocą tego uśmiechu przenosiła się do innego świata, do którego nie miałam dostępu – świata dorosłych, a za jego pośrednictwem do osobistego świata, w którym to ona znała samą siebie lepiej niż ktokolwiek inny, do świata całkowicie niedostępnego dla innych, nawet jeśli widzieli jej piękne, oświetlone blaskiem księżycy zęby.

Miałam świadomość, że Pip nie usłyszałby niczego, co opowiedziałabym mu o mamie. Mogłam jedynie śledzić jego losy w dziwnym kraju, w którym występowały bagna, pasztety wieprzowe i ludzie przemawiający długimi, zagmatwanymi zdaniami. Czasami kiedy

pan Watts docierał do końca rozdziału, mieliśmy poczucie, że nie dowiedzieliśmy się niczego nowego, nie rozumieliśmy bowiem znaczenia bardziej skomplikowanych zdań. A może po prostu poświęciliśmy już wtedy zbyt wiele uwagi gekonom na suficie? Kiedy opowieść ponownie koncentrowała się na Pipie i jego relacji, odzyskiwaliśmy poczucie więzi z książką.

W miarę lektury kolejnych rozdziałów zaszła we mnie jakaś przemiana. W pewnym momencie poczułam, że zagłębiam się w opowieść. Nie przydzielono mi wcale żadnej roli – nie istniałam na kartach powieści jako wyróżniona postać, ale bez wątpienia się tam znajdowałam. Znałam to osieroczone białe dziecko, rozumiałam wąską, kruchą przestrzeń między jego paskudną siostrą a uroczym Joem Gargerym, w którą Pip musiał się wcisnąć, ponieważ identyczna przestrzeń wytworzyła się między panem Wattsem a moją mamą. A ja wiedziałam, że będę musiała dokonać między nimi wyboru.

Wizyta czerwonoskórych zmieniła nasze życie na różne sposoby. Niektórzy zaczęli ukrywać zapasy jedzenia w dżungli. Inni sporządzili plany ucieczki. Znaleźli miejsce, w które udaliby się w razie niebezpieczeństwa, i obmyślili plan działania. Moja mama zaczęła mnie z kolei karmić historią rodziny; chciała przekazać mi całą wiedzę, jaką sama zgromadziła.

W jej opowieści o kompletnie nieznanym mi istotach występowali morscy bogowie i żółwie. Ich imiona wpadały mi jednym uchem i wylatywały drugim. Było ich zbyt wiele. W końcu mama dojrzała do końca – a przynajmniej tak mi się zdawało. Przerwała. Spojrzałam w ciemność i dostrzegłam biel jej zębów.

– Wytrzeszcz to potomek kukułeczki jarzębatej – powiedziała.

Słyszałam już wcześniej o lśniących kukułkach. Zawsze o tej samej porze roku widzieliśmy je, kiedy opuszczały nasze niebo i kierowały się ku gniazdom innych ptaków na południu. Tam wyrzucały z nich jaja właścicieli, składały własne i odlatywały. Pisklę lśniącej kukułki nigdy nie ma okazji poznać matki.

Usłyszałam, jak w ciemności mama oblizuje z zadowoleniem zęby. Uważała, że tym jednym zdaniem podsumowała pana Wattsa. Nie potrafiła w nim dostrzec tego, co widzieliśmy my, dzieci – dobrego człowieka. Dla niej był tylko białym człowiekiem. A biały człowiek ukradł jej męża i ojca. Biały człowiek ponosił odpowiedzialność za istnienie kopalni i za wprowadzenie blokady. Biały człowiek nadał nazwę naszej wyspie. Biały człowiek nadał mi imię. Wtedy mieliśmy też już świadomość, że świat białych ludzi zdążył także o nas zapomnieć.

Tuż przed Bożym Narodzeniem dwoje dzieci zmarło na malarię. Pochowaliśmy je i oznaczyliśmy groby białymi muszlami oraz kamieniami przyniesionymi z plaży. Przez całą noc słuchaliśmy zawodzenia matek.

Żale kobiet skierowały nasze myśli z powrotem ku konfliktowi. Mało które dziecko rozumiało jego istotę. Wiedzieliśmy o skażeniu rzeki i o fatalnych skutkach zalewania hałd miedzi przez obfite deszcze. Rybacy opowiadali o czerwonej plamie, która rozciągała się teraz daleko poza rafę i wykraczała na otwarte morze. Wystarczyło nienawidzić tej plamy, aby nienawidzić kopalni. Inne sprawy pojęłam dopiero wiele lat później: nędzne kwoty płacone najemcom przez firmę będącą właścicielem kopalni; czerwonoskórych wyznających zasadę braterstwa *wantok*, którzy przybyli licznie na naszą wyspę do pracy i wykorzystywali swoją pozycję do zdobywania stanowisk i awansu kosztem lokalnych pracowników.

Niektórzy mieszkańcy wioski popierali rebeliantów – między innymi mama. Podejrzewam, że dopingowała ją do tego myśl o moim ojcu wiodącym, jak się wyrażała, „rozpustne życie” w Townsville. Wszyscy pozostali marzyli, aby walki się zakończyły, a na wyspę przybyli ponownie biali ludzie i otworzyli kopalnię. Ludzie ci tęsknili do czasów, kiedy mogli sobie kupować różne rzeczy. Tęsknili do czasów, kiedy mieli pieniądze, za które mogli sobie te rzeczy kupować. Ciastka, ryż, ryby w puszkach, wołowinę w puszkach, cukier. Teraz musieliśmy wrócić do odżywiania się tym, co jedli nasi dziadkowie – słodkimi ziemniakami, rybami, kurczakami, mango, guajawami, maniokami, orzechami i błotnistymi krabami.

Mężczyźni tęsknili za piwem. Niektórzy produkowali biber. W nocy słyszeliśmy ich pijackie porykiwania. Obawialiśmy się nawet, że usłyszą je

czerwonoskórzy. Mama powtarzała, że będą się smażyć w piekle za używanie wulgarного języka. Bimber naprawdę uderzał im do głowy. Zachowywali się tak, jakby nie obchodziło ich to, że świat może się skończyć następnego dnia; po prostu gorszyli wszystkich swoimi bluzgami.

Pewnej nocy usłyszeliśmy nowy dźwięk – głos rozsądku. Dzikie pijackie porykiwania zostały przytłumione przez spokojną wypowiedź. Rozpoznałam jej autora. Był to głos taty Mabel, opanowanego człowieka z płaskim nosem i spokojnymi, wyrażającymi ciekawość oczami. Kiedy tylko widział Mabel, roześmiany ciągnął ją za warkoczyk. Szczęśliwy człowiek. Najwyraźniej nie brakowało mu również siły, ponieważ usłyszeliśmy, że w środku nocy rozmawia z pijakami. Nie podniósł głosu, więc nie rozróżnialiśmy poszczególnych słów, a do naszych uszu docierał tylko spokojny szmer, ale ku naszemu zdumieniu po chwili jeden z pijaków zaczął szlochać. Tak po prostu. Tata Mabel za pomocą słów zamienił nietrzeźwego szaleńca w szlochające dziecko.

Na co liczyłam? Na samą nadzieję, choć była to nadzieja szczególnego rodzaju. Wiedziałam, że sytuacja może się zmienić, ponieważ zmieniła się w życiu Pipa.

Najpierw został zaproszony do domu bogatej miss Havisham, gdzie grał w karty z jej adoptowaną córką Estellą. Jakoś nigdy nie przekonałam się do Estelli. Teraz rozumiem, że byłam o nią zazdrosna. Nie lubiłam też Sary Pocket, innej dziewczyny, która dokuczała Pipowi. Zawsze cieszyłam się, gdy opuszczał dom miss Havisham.

Wielkie nadzieje uczą nas, że życie może się zmienić w zupełnie nieoczekiwanym momencie. Pip od czterech lat terminował u Joego Gargery'ego, a więc wcześniej ode mnie rozpoczął edukację. Ale to nie miało znaczenia. Pod innymi względami pozostał moim przyjacielem, towarzyszem, o którego się martwiłam i o którym często rozmyślałam.

Wszystko wskazywało na to, że zostanie kowalem. Kowalem. Kolejne słowo, o które zapytaliśmy. Pan Watts wyjaśnił, że to coś więcej niż praca. Pisząc o kowalu, pan Dickens nie miał na myśli samego wykuwania końskich podków. Pip przyzwyczajał się do kowalskiego życia, między innymi nocy spędzanych przy kominku wspólnie z Joem Gargerym i innymi mężczyznami w oberży o śmiesznej nazwie Pod Trzema Wesołymi Przewoźnikami, gdzie pili piwo i słuchali głupot opowiadanych przez innych.

Pewnej nocy do oberży wszedł nieznajomy i poprosił, aby mu wskazano niejakiego Pipa. Był to pan Jagers, prawnik z Londynu. Na nas, dzieciach, sprawił wrażenie odważnego człowieka, który nie boi się podejść do grupy nieznajomych i wymachiwać im przed nosem palcem. Mężczyzna chciał porozmawiać z Pipem na osobności. Joe i Pip zaprowadzili go do siebie do domu, gdzie pan Jagers wyjawiał cel swojej wizyty. Miał coś do zakomunikowania Pipowi. Życie chłopca miało się wkrótce zmienić.

Pan Watts musiał kilkakrotnie przerwać lekturę tego fragmentu i wyjaśnić, kim jest prawnik i „dobroczyńca”, a to z kolei doprowadziło nas do terminu „beneficjent”. O tym właśnie poinformował Pipa prawnik. Chłopiec otrzymał dużą sumę pieniędzy, którą przeznaczyła dla niego osoba pragnąca zachować anonimowość. Pieniądze miały zostać wykorzystane na uczenie z Pipa dżentelmena. A zatem chłopiec miał się zamienić w coś.

Kiedy o tym usłyszałam, nie mogłam się uspokoić do końca rozdziału. Chciałam zobaczyć, w co zamieni się Pip i czy będziemy mogli pozostać przyjaciółmi. Nie chciałam, aby się zmieniał.

Pan Watts wyjaśnił, co to znaczy być dżentelmenem. Choć na tę postawę składało się wiele czynników, jego zdaniem słowo „dżentelmen” najlepiej opisywało sposób, w jaki człowiek powinien funkcjonować w świecie.

– Dżentelmen to ktoś, kto nigdy, niezależnie od okoliczności, nie zapomina o dobrym wychowaniu. Choćby znalazł się w wyjątkowo

paskudnej lub trudnej sytuacji.

Christopher Nutua podniósł rękę.

– Czy biedak może być dżentelmenem? – zapytał.

– Biedak bez wątpienia może być dżentelmenem – odparł pan Watts. Zazwyczaj nie przeszkadzały mu nasze pytania, nawet te najgłupsze, ale to go wyraźnie zirytowało. – Pieniądze i pozycja społeczna nie mają tu nic do rzeczy. Rozmawiamy o przymiotach. A te przymioty daje się łatwo zidentyfikować. Dżentelmen zawsze postępuje w taki sposób, jak należy.

Rozumieliśmy sens tych słów i że było to osobiste przekonanie pana Watta. Rozejrzał się po klasie. Ponieważ nie mieliśmy innych pytań, wrócił do lektury, a ja słuchałam uważnie.

Pieniądze oznaczały, że Pip będzie musiał opuścić znany mu świat – bagna, podłą siostrę, kochanego, choć niezbyt rozgarniętego Joego, kuźnię – i udać się do wielkiego, obcego mu miasta Londynu.

Rozumiałam już wtedy, jak znaczącą rolę kuźnia odgrywała w książce. Była domem: zawierała w sobie wszystko, co nadawało życiu kształt. Dla mnie tę funkcję pełniły ścieżki w buszu, piętrzące się nad naszymi głowami góry, morze, które czasami od nas uciekało, surowy zapach krwi, który uparcie tkwił w moim nosie, odkąd zobaczyłam Czarnego z rozbebeszonym brzuchem. Domem był słoneczny skwar. Owoce, ryby i orzechy, którymi się pożywialiśmy. Odgłosy, które słyszeliśmy w nocy. Ziemisty zapach prowizorycznych latryn. Oraz wysokie drzewa, które, jak nam się niekiedy zdawało, podobnie jak morze chciały od nas uciec. Domem była dżungla i rozbudzane w nas przez nią nieustannie poczucie znikomości, nieistotności w porównaniu z wielkimi drzewami i zachłanną walką ich koron o światło słoneczne. Był nim śmiech kobiet piorących ubrania w strumieniach. Ich żarty, przekomarzanie się z dziewczyną, którą nakryto na praniu swoich łaszków. Były nim strach i poczucie straty.

Po wyjściu z klasy zaczęłam się zastanawiać nad życiem, jakie wiódł tata, nad tym, czym się stał. Byłam ciekawa, czy został dżentelmenem i czy zapomniał o wszystkim, z czego się uprzednio składał. Zastanawiałam się, czy o mnie pamięta i czy kiedykolwiek myśli o mamie. Byłam ciekawa, czy wspomnienia nie pozwalają mu zasnąć, tak jak myśl o nim nie pozwalała zasnąć mamie.

Przyglądałam się, jak pierze nasze ubrania w górskim strumieniu. Rozkruszała brud na gładkim kamieniu, zamaczała tkaninę w wodzie, potrząsała nią i zostawiała unoszącą się na powierzchni.

Trzymałam się w pewnej odległości. Karałam ją za nieuprzejmość wobec pana Wattsa. W końcu wymyśliłam inny sposób, aby jej dopiec. Skierowałam wzrok na tył jej głowy i spytałam, czy tęskni za tatą. Ku mojemu zaskoczeniu nie posłała mi zagniewanego spojrzenia przez ramię. Stało się coś innego. Jej dłonie zaczęły wykonywać pracę ze zdwojoną siłą. Podobnie jej ramiona.

– Dlaczego o to pytasz, dziewczyno?

Wzruszyłam ramionami, czego oczywiście nie widziała. Jeszcze chwila, a między nami miała się rozewrzeć kolejna płaszczyzna milczenia.

– Czasami... – zaczęła. – Czasami ponoszę wzrok, spoglądam na jakiś fragment dżungli i widzę tam twojego ojca, Matylde. Idzie w moim kierunku.

– W moim też?

Odłożyła pranie i odwróciła się.

– W twoim też. Tak. Twój ojciec idzie w naszym kierunku. Wtedy natchodzą mnie wspomnienia.

– Jakie?

– Diabła warte – stwierdziła. – Tak właśnie. Ale skoro już pytasz, pamiętam, jak za czasów funkcjonowania kopalni twój ojciec trafił przed

sąd pod zarzutem zakłócania porządku publicznego.

Pierwszy raz o tym słyszałam, ale z tonu jej głosu wynikało, że występki ojca nie były poważniejsze od sytuacji, kiedy zapominał przywieźć czegoś z Arawy. Wizyta w sądzie nie była bardziej karygodna od zwykłego zapominalstwa. Wbrew zapewnieniom mamy nie wierzyłam w to. Było mi przykro, że nigdy mi o tym nie opowiedziała. Ale ona jeszcze nie skończyła.

– Pamiętam, jak delikatną i czerwoną miał wtedy skórę – podjęła. – W taki przeprasający, „klnę się na Boga, że jest mi przykro” sposób. Pamiętam, jak wygląda przez okno sądu. Na niebie samolot kreślił białą linię i w tym samym momencie zobaczyłam spadający z palmy kokos. Przez moment nie wiedziałam, na co skierować wzrok. Ech... na to, co wlatuje, czy na to, co spada.

Odepchnęła się od ziemi kolanami i wstała, aby na mnie spojrzeć.

– Jeżeli naprawdę musisz wiedzieć, Matyldo, nie wiedziałam, czy patrzę na niedobrego człowieka, czy na mężczyznę, który mnie kocha.

Usłyszałam więcej, niż pragnęłam. Opowiadała mi o sprawach zastrzeżonych dla dorosłych. Obserwowała mnie uważnie, więc wiedziałam, że dostrzega moją reakcję.

– Brakuje mi też koników morskich – stwierdziła pogodniejszym tonem. – Żadne zwierzę nie ma mądrzejszego spojrzenia od konika morskiego. Taka jest prawda. Odkryłam to, kiedy byłam młodsza od ciebie. Odkryłam też coś na temat papugoryb. Wgapiają się w ciebie setkami i naprawdę pamiętają cię następnego i jeszcze kolejnego dnia.

– Bzdura – zaśmiałam się.

– Wcale nie – odparła. – To prawda.

Wstrzymała oddech, ja podobnie. Pierwsza wybuchła śmiechem.

Odkąd poznałam miss Havisham i dowiedziałam się więcej na temat jej nieszczęśliwej przeszłości, zmieniłam zdanie i nie uważałam mamy za

osobę podobną do siostry Pipa. Więcej łączyło ją z miss Havisham, która nie potrafiła zapomnieć o najbardziej rozczarującym dniu swojego życia. Zegar wciąż wskazywał godzinę, o której nie zjawił się jej narzeczony. Weselne przyjęcie leżało nietknięte, a upływ czasu wskazywały jedynie pokrywające wszystko pajęczyny.

Miss Havisham wciąż miała na sobie suknię ślubną, którą założyła na dawno minioną okazję. Doszłam do wniosku, że mama również tkwiła w podobnym stanie zawieszenia, tyle że w jej przypadku chodziło o kłótnię z tatą. Zdradzały ją zmarszczone brwi. Zmarszczone brwi, które swój początek miały właśnie w tamtym momencie. Słowa, które wypowiedział wtedy tata, wciąż musiały rozbrzmiewać w jej uszach.

Trudno sobie wyobrazić, aby ktoś znajdował się w większym potrzasku niż biały człowiek żyjący samotnie pośród czarnych ludzi. Za kogoś takiego uważałam pana Watta. Podarował nam Pipa i po jakimś czasie chłopiec ten wydawał mi się kimś tak prawdziwym, że czułam jego oddech na policzku. Nauczyłam się zagłębiać w duszę innego człowieka. Teraz próbowałam zrobić to samo z panem Wattsem.

Obserwowałam jego twarz, wsłuchiwałam się w jego głos, próbowałam interpretować odgłosy trybików obracających się w jego mózgu, odgadnąć jego myśli. Co pan Watts sądził o naszych matkach i ojcach, naszych wujkach i ciotkach, starszych braciach i siostrach, którzy przychodzili do szkoły podzielić się nami wiedzą o świecie. Zazwyczaj stawał z boku, podczas gdy nasz gość wygłaszał opowieść, dykteryjkę lub teorię.

Zawsze wypatrywaliśmy na twarzy pana Watta oznak świadczących o tym, że nasz gość opowiada głupoty, ale ani razu nie dostrzegliśmy nic podobnego. Jego mina wyrażała pełne szacunku zainteresowanie; nawet wtedy, kiedy przed klasą stanęła babcia Daniela, przygarbiona i wsparta na lasce, wpatrzona w nas swymi niedowidzącymi oczami.

– Istnieje miejsce zwane Egipcem – powiedziała. – Nic o nim nie wiem. Żałuję, że nie mogę wam opowiedzieć o Egipcie. Wybaczcie dzieci, ale nie wiem nic więcej. Ale jeśli zechcecie mnie wysłuchać, powiem wam wszystko, co wiem na temat koloru niebieskiego.

Tak więc usłyszeliśmy o kolorze niebieskim.

– Niebieski to kolor Pacyfiku. Niebieskie jest powietrze, którym oddychamy. Niebieska jest przerwa między dowolnymi dwoma rzeczami, na przykład palmami albo metalowym dachem. Gdyby nie niebieski, nie

dostrzegalibyśmy nietoperzy żywiących się owocami. Dziękujemy ci, Boże, za to, że obdarzyłeś nas kolorem niebieskim. Zaskakujące, w jak różnych miejscach można się natknąć na kolor niebieski – ciągnęła babcia Daniela. – Szukajcie, a znajdziecie. Niebieski wypatrzycie spod przymrużonych powiek przez szpary w kei w Kieta. A rozumiecie, jakie ma zamiary? Próbuje dobrać się do cuchnących rybich flaków i zabrać je z powrotem do domu. Gdyby niebieski był zwierzęciem, rośliną czy ptakiem, byłby mewą. Mewa wszędzie wsadzi swój lepki dziób. Kolor niebieski jest również obdarzony magicznymi właściwościami – powiedziała. – Kto widział rafę, wie, że nie kłamie. Niebieski wpada na rafę, a jaki kolor pojawia się po drugiej stronie? Biały! Jak to się niby dzieje?

Skierowaliśmy wzrok na pana Watta, szukając wyjaśnienia, ale on udawał, że nie dostrzega naszych pytających spojrzeń. Przysiadł na krawędzi biurka z rękami skrzyżowanymi na piersi. Całym sobą wydawał się skoncentrowany na słowach babci Daniela. W tej sytuacji przenieśliśmy uwagę z powrotem na drobną starowinkę z ustami wytrawionymi betelem.

– Jeszcze jedna rzecz, dzieci, i dam wam spokój. Niebieski należy do nieba i nie można go podwędzić. Właśnie dlatego misjonarze upchali niebieskim okna pierwszych kościołów, które zbudowali na naszej wyspie.

Pan Watts zachował się w typowy dla siebie sposób, czyli otworzył szeroko oczy, jakby przebudził się ze snu. Podeszedł do babci Daniela z wyciągniętą ręką. Staruszka podała mu dłoń, którą uścisnął.

– Spotkało nas dziś wielkie szczęście – zwrócił się do klasy. – Wielkie szczęście. Przypomniano nam, że nawet jeśli nie wiemy wszystkiego o świecie, możemy stworzyć go na nowo, jeśli tylko starczy nam mądrości. Możemy go wymyślić, korzystając z rzeczy znajdujących się w naszym otoczeniu. Trzeba tylko umieć patrzeć i być obdarzonym równie wielką wyobraźnią, jak babcia Daniela.

Położył dłoń na ramieniu staruszki.

– Dziękuję – powiedział. – Bardzo pani dziękuję.

Babcia Daniela posłała klasie szeroki uśmiech, a my zobaczyliśmy, że zostało jej niewiele zębów. Szpary między kilkoma ocalałymi tłumaczyły, skąd brał się świst towarzyszący jej słowom.

Pan Watts musiał przekonywać niektóre z odwiedzających nas osób, aby podzieliły się z nami swoją niekiedy wyjątkowo skromną wiedzą.

Kobieta, do której należał pies o imieniu Czarny, stała ze skromnie opuszczonymi oczami. Kiedy z kolei przemawiała Giselle, pan Watts musiał nachylić się, aby usłyszeć jej wypowiedź na temat wiatru.

– Na niektórych wyspach używa się pięknych nazw wiatrów. Moje ulubione określenie na wiatr to „delikatny jak kobieta”.

Wujek Gilberta, chłop okrągły jak beczka oliwy i ogorzały niczym marynarz spędzający całe życie na morzu, przyszedł opowiedzieć o „zawiedzionych nadziejach”. Jego zdaniem zawiedzione nadzieje najłatwiej było napotkać na nadbrzeżu.

– Przyjrzyjcie się wszystkim martwym rybom z szeroko otwartymi oczami i pyskami. Nie mogą uwierzyć, że zostały wyjęte z morza i nigdy więcej do niego nie powrócą.

Przerwał i spojrzał na pana Wattsa, jakby chciał zapytać, czy właśnie o tego rodzaju informacje chodzi. Pan Watts skinął głową i wujek Gilberta podjął opowieść.

– Nocą pierońskie psy i koguty uganiają się za marzeniami, ale te cały czas im się wyślizgują i roztrzaskują o ziemię. Jedyna korzyść z tego jest taka, że można podnieść kawałki i próbować dalej. Tak na marginesie, ryby idą do nieba. Nie wiercie w żadne inne pierdoły, które usłyszycie.

Przeniósł ciężar ciała z jednej bosej stopy na drugą, rzucił nerwowe spojrzenie na pana Wattsa, po czym spojrzał ponownie na nas.

– Tyle przygotowałem na dziś – oświadczył.

Dowiedzieliśmy się o wyspie, gdzie dzieci siedzą w kamiennym kanoe i uczą się na pamięć świętych pieśni morskich. Powiedziano nam, że odśpiewanie pewnej piosenki powoduje, że wyrasta drzewko pomarańczowe. Usłyszeliśmy o pieśniach obdarzonych działaniem leczniczym. Jedna podobno pozwalała pozbyć się czkawki. Inne usuwały bóle i czyraki.

Nauczyliśmy się o takich lekarstwach, jak liście białej lilii, które kładzie się na obolałych miejscach. Z kolei liście pewnej karłowatej rośliny są dobre na ból ucha, a sok z jeszcze innych leczy biegunkę. Ze skorupy jeża morskiego ugotuje się zupę zatrzymującą krwawienie u kobiety, która urodziła pierwsze dziecko.

Niektóre opowieści pomagają znaleźć szczęście i prawdę. Inne zawierają konkretne wskazówki i uczą, jak nie popełnić dwukrotnie tego samego błędu. Zajrzyjcie na przykład do Dobrej Nowiny.

Kobieta o imieniu May opowiedziała o fregacie, która dostarczyła jej urodzinową pocztówkę z sąsiedniej wyspy. Karta była zwinięta i włożona do starej tubki po paście do zębów, którą przywiązano pod skrzydłem ptaka. May skończyła właśnie osiem lat, a duży ptak wydawał się to wiedzieć, ponieważ jak wspominała, razem z jej mamą i tatą obserwował, jak ona odczytuje wiadomość. Kiedy doszła do słów: „Wszystkiego najlepszego, May”, ludzie zaczęli klaskać, a ptak się uśmiechnął.

– Następnego dnia zjedliśmy go na obiad wydany z okazji moich urodzin.

Pan Watts odchylił się do tyłu, opuszczając bezwładnie ramiona. Wyglądał na zbulwersowanego. May chyba tego nie zauważyła, ponieważ dodała:

– Ptak oczywiście nie wiedział o tej ostatniej części.

Wszyscy czuliśmy się zakłopotani, ponieważ pan Watts wyglądał na zakłopotanego.

Pewna staruszka stanęła przed nami i zawołała:

– Wstańcie z miejsc, łamagi! Ruszcie tyłki i pobiegnijcie za morskimi ptakami na tereny łowieckie.

Był to wstęp do jednej z ludowych opowieści.

Inna kobieta uczęszczająca na spotkania modlitewne mojej mamy przysłała, aby opowiedzieć o dobrych manierach.

– Wskaźnikiem dobrych manier jest cisza – oświadczyła. – Kiedy byłam dzieckiem, cisza wypełniała te skrawki dnia, kiedy świat nie znajdował się pod panowaniem piekielnych psów i piekielnych kogutów czy generatorów. Czasami cisza myliła nam się z nudą. Ale cisza korzystnie wpływa na wiele rzeczy – sen, jedność z Bogiem, rozmyślenia o Dobrej Nowinie. Poza tym – dodała, wymachując palcem w stronę dziewczynek – trzymajcie się z daleka od chłopaków, którzy nie potrafią uszanować ciszy. Krzykliwi chłopcy mają zabłocone dusze. Mężczyzna, który zna się na wietrze i żeglowaniu, wie sporo o ciszy i prawdopodobnie okaże większą wrażliwość w obecności Boga. Pomijając tę kwestię, nie chciałabym wam, dziewczynki, radzić, za kim macie się oglądać.

Agnes Haripa zaczęła wystąpienie na temat seksu od uśmiechu. Nie rozpoczęła przemowy, dopóki nie zobaczyła uśmiechu na twarzy każdego z nas. Gilbert długo nie reagował, mimo że ona cierpliwie czekała, aż w końcu pan Watts musiał zainterweniować i poprosił Gilberta o pójście w ślady pozostałych. Aby mu pomóc, sam się uśmiechnął.

– A tak... – bąknął Gilbert, a pani Haripa mogła rozpocząć zajęcia.

– Dziś chciałabym opowiedzieć wam, czego nas uczy owoc liczi – powiedziała. – Słodczy nigdy nie znajdziecie na powierzchni.

Uniosła porowatą kulkę i zaprezentowała ją, jakbyśmy nigdy wcześniej nie widzieli tego owocu. Doskonale wiedzieliśmy, że ma ciekłą, twardą łupinę. Po jej obraniu zanurzało się zęby w migdałowym miększym o konsystencji kremu.

– Podobnie jak w przypadku liczi – ciągnęła Agnes – słodki uśmiech człowieka nie mówi nam nic o jego sercu. Uśmiech może być sztuczką. Kto chce utrzymać słodycz, powinien mieć się na baczności. Dziewczynki, musicie chronić swoją słodycz przed chłopcami. Przyjrzyjcie się owocowi liczi. Czy byłby tak słodki, gdyby miąższ był wystawiony na działanie promieni słonecznych, deszczu, a wygłodniałe psy mogłyby się do niego łatwo dostać?

Zrozumieliśmy, co chce nam powiedzieć.

– Nie, pani Haripa – odpowiedzieliśmy chórem.

– Nie – powtórzyła. – Owoce by wyschły. Straciłyby słodycz. Właśnie dlatego słodka część liczi znajduje się pod twardą łupiną. Wszyscy wiedzą, że tak jest, ale mało kto zadaje sobie pytanie dlaczego. Teraz już wiecie.

Po raz kolejny zlustrowała nasze twarze. Szukała kogoś, kto mógłby sprawić jej kłopot, zadając niewłaściwe pytanie. Pytania były dopuszczalne, pod warunkiem że u ich źródła leżały szczerze intencje. Czy pytanie było autentyczną próbą poszerzenia wiedzy, czy podłożenia nogi? Pani Haripa była przyjaciółką mojej mamy. Należały do tego samego kółka modlitewnego.

– Chyba nie ma pytań, pani Haripo – oświadczył pan Watts, a my odetchnęliśmy z ulgą. – Jeśli wolno mi zauważyć, pani wykład na temat niewinności uważam za niezwykle poruszający.

Pani Haripa obrzuciła go piorunującym spojrzeniem. Nie była pewna, czy przypadkiem nie stroi sobie z niej żartów. Co kryło się za jego uśmiechem? Przebiegłość białego człowieka? Dzieci lepiej znały te jego maski. Dlaczego teraz wszystkie zaczęły się dziwnie uśmiechać? Być może powinna raczej opowiedzieć o manioku lub wielorakich zastosowaniach kurzych piór.

Jej zmieszanie rozbawiło mnie do tego stopnia, że niemal przegapiłam uniesione brwi pana Watta, który dawał mi znak, abym powstała

i podziękowała pani Haripie za jej prezentację.

W klasie rozległy się uprzejme brawa, a pani Haripa, uradowana, skinęła głową. Cieszyliśmy się, że sprawiliśmy jej tym przyjemność. Chcieliśmy, aby nasze matki i babki dzieliły się nami wiedzą. Nie zamierzaliśmy doprowadzić do sytuacji, aby obawiali się przychodzić do klasy. Mieliśmy wszakże świadomość, że wstyd i lęk przed zrobieniem z siebie głupka zawsze czaił się gdzieś pod powierzchnią. Niektórzy nie potrafili się przełamać. Przepętnieni obawami docierali do polany, na której stał budynek szkoły. Tam ich serca ogarniały wątpliwości. Sparaliżowani, nie byli w stanie podejść bliżej, rozważając w myślach, czy ich opowieść o gekonie jest na tyle istotna, że warto się nią dzielić. Czasami podnosiliśmy wzrok na tyle wcześnie, aby dostrzec plecy jakiejś osoby uciekającej w stronę drzew.

Ciotka Mabel przyszła z wyplecioną matą. Przyszła, aby opowiedzieć nam o „kierunkach i szczęściu”.

– Sploty mogą was niejednego nauczyć – powiedziała. – Moja babka uplotła mi tę matę, na wypadek gdybym zagubiła się kiedyś we śnie. Gdyby do tego doszło, miałam się przewracać z boku na bok tak długo, dopóki nie poczuję podwyższonego szwu. Ten szew niczym morski prąd miał mnie doprowadzić do domu. Opowiedziała mi również o młodej kobiecie, która we wnętrzu swego ciała przechowywała wiedzę o przyptywach i prądach morskich. Ułożyła pieśń o różnych kierunkach, które może obrać człowiek. Moja siostrzenica otrzymała taką samą matę jak ta, którą trzymam w rękach. Miała wyśpiewać drogę powrotną z lotniska do domu swojej ciotki w Brisbane. Dowiedziałam się później, że zapomniała pieśni i zostawiła matę w toalecie. Na szczęście jej ciotka i kuzynki przyjechały na lotnisko.

Moja mama przyszła drugi raz, aby opowiedzieć o sprawach, których nie mówiła wcześniej nawet mnie. Pan Watts zajął miejsce za jej plecami.

Uznałam, że wygląda na zdenerwowanego. Wiercił się i nieustannie błędził gdzieś wzrokiem.

– Kobietom nigdy nie pozwolono wypływać w morze. Nigdy! – ryknęła mama. – A niby dlaczego? Powiem wam dlaczego, mimo że nawet ślepy dostrzegłby prawdę. Kobiety są zbyt cenne – oto dlaczego. Dlatego w morze wypływali faceci. Pomyślcie, jakim ryzykiem byłaby wyprawa kobiety – zabrakłoby dzieci, jedzenia na stole i już nikt nie usłyszałby odgłosu miotły. Poza tym cała wyspa zagłodziłaby się na śmierć. A moja ciotka Josephine twierdziła, że jeśli mimo wszystko czasami widywano młodą kobietę stojącą na rafie i podążającą za jakimś morskim ptakiem, było wiadome, że straciła dziewictwo i postanowiła wyruszyć do najbliższego miasta zamieszkanego przez białych. Jeśli zatem, dziewczęta, chcecie sobie pooglądać morskie ptaki, lepiej róbcie to z plaży albo, do cholery, uważajcie na siebie!

Powrót do *Wielkich nadziei* zawsze witaliśmy z ulgą. Książka zawierała świat, który w odróżnieniu od naszego był pełnowymiarowy i sensowny. Czy jeśli przynosił ulgę nam, to również panu Wattswi? Mam pewność, że czuł się pewniej w świecie pana Dickensa niż w naszym, wypełnionym czarnymi twarzami, pełnym przesądów i mitycznych latających ryb. *Wielkie nadzieje* pozwalały mu ponownie znaleźć się pośród swoich braci.

Czasami podczas lektury uśmiechał się do siebie, a nam pozostawały domysły, dlaczego uczynił to akurat przy tym fragmencie. Ostatecznie dochodziliśmy zawsze do wniosku, że o pewnych aspektach osoby pana Wattsa po prostu nie mamy pojęcia, ponieważ nie znamy jego świata ani nie potrafimy sobie wyobrazić, co musiał poświęcić, aby zamieszkać z Grace na naszej wyspie.

Kiedykolwiek przechodziłam obok biurka pana Wattsa, starałam się powstrzymać od zbyt ostentacyjnych spojrzeń na leżącą na blacie książkę. Pragnęłam wziąć ją do ręki i odszukać imię Pipa na którejś ze stron. Nie chciałam jednak się z tym zdradzać. Nie chciałam ujawnić tej części siebie, którą uważałam za prywatną, a może nawet wstydliwą. Cały czas miałam w pamięci nauki pani Haripy na temat owocu liczi.

Pana Wattsa widywaliśmy częściej niż dawniej również poza szkołą. Zdarzało się, że spacerował między drzewami z koszem na owoce. Rodzice niektórych z nas dawali państwu Watts jedzenie w podzięcie za codzienny trud napełniania naszych pustych łepetyn. Ojciec Gilberta zawsze odkładał dla pana Wattsa jedną rybę.

Biały lniany garnitur wkładał tylko do szkoły i właśnie w takim stroju „dzentelmena” widywaliśmy go najczęściej. Kiedy pojawiał się na plaży

w starych, luźnych szortach i z plastikowym koszykiem w ręku, nie mogliśmy się nadziwić, gdzie podział się pan Watts, którego znaleźliśmy z klasy. Dostrzegaliśmy wtedy, jak bardzo schudł; no chyba, że już wcześniej taki był. Miałam poczucie, że dokonałam odkrycia – nie byłam tylko pewna jakiego. Pan Watts wyglądał jak chuda biała winorośl. Kiedy widzieliśmy go w pochylonej pozycji, uświadamialiśmy sobie, że elegancki wygląd i wyprostowana postawa w klasie wymagały od niego wysiłku. Na plaży upodabniał się do nas. Chodził z pochyloną głową, uważnie wypatrując skarbów wyrzuconych na brzeg. Nosił starą białą koszulę – co dla niego nietypowe, rozpiętą. Dopiero kiedy podszedł bliżej, zauważyłam, że wszystkie guziki po prostu poodpadały.

Zebrałam kosz muszli monetek i akurat rozkładałam je obok sercowych nasionek, aby uczynić napis PIP jeszcze lepiej widocznym, kiedy pan Watts podniósł wzrok, odrywając się od przeczesywania plaży. Dostrzegł mnie i ruszył w moim kierunku, oddalając się od linii wody.

– Ołtarzyk z muszelek – powiedział z aprobatą. – Pip na Pacyfiku. – Podumał przez chwilę. – Chociaż kto go tam wie. Mógł przecież tu dotrzeć. *Wielkie nadzieje* nie opowiadają całego życia Pipa. Książka kończy się...

Przerwał, widząc, że zakrywam sobie uszy.

Nie chciałam w ten sposób poznać zakończenia. Wolałam usłyszeć je podczas lektury książki; poznawać historię w wyznaczonym przez nią tempie. Nie zależało mi na przeskoczeniu do przodu.

– Masz słuszość, Matyldo. Wszystko w swoim czasie...

Zamierzał powiedzieć coś jeszcze, ale zmarszczył brwi. Wydawało mi się, że zaklął. Jeśli tak, wymruczał przekleństwo pod nosem, a ja nie byłam pewna, czy naprawdę je usłyszałam i czy rumieniec nie wstąpił na moje policzki bezpodstawnie. Starając się utrzymać równowagę, podniósł prawą stopę w pobliże krocza i uważnie ją obejrzał. Przyczyną kłopotów był

naderwany paznokieć dużego palca. Pan Watts uniósł go w górę na zawiasach ze skóry.

– Wkrótce powinien się uwolnić – stwierdził. Oboje wpatrywaliśmy się w różową skórę pod paznokciem. – Człowiek nie przypuszcza, że może stracić pewne części ciała. Sądzi, że zawsze będą stanowiły jego część. Nawet jeśli chodzi tylko o paznokieć u nogi.

– Paznokieć dużego palca u nogi.

– Zgadza się – przytaknął. – Nie byle jaki paznokieć.

– Co się stanie, kiedy odpadnie?

– Przypuszczam, że wyrośnie nowy.

– A więc wszystko będzie w porządku – powiedziałam. – Nic nie zostanie utracone.

– Poza tym konkretnym paznokciem – zauważył. – To samo można by powiedzieć o domu lub nawet całym państwie. Żadne dwa nie są identyczne. Zyskując, tracimy, a tracąc, zyskujemy.

Patrzył przed siebie nieobecny wzrokiem, jakby wszystko, z czym się rozstał, unosiło się na powierzchni morza i ciągnęło po horyzont. Telewizja. Kina. Samochody. Przyjaciele. Rodzina. Jedzenie w puszkach. Sklepy.

Nadarzyła się okazja, aby zapytać, czy tęskni do białego świata i dlaczego zrezygnował z możliwości opuszczenia wyspy. Czy teraz tego żałował?

Oczywiście nie starczyło mi odwagi. Po raz pierwszy miałam okazję porozmawiać z panem Wattsem w cztery oczy, ale w pełni zdawałam sobie sprawę z jego statusu człowieka dorosłego, a do tego białego. Poza tym naszym ulubionym tematem był pan Dickens, a nie my sami, dlatego pośpiesznie zmieniałam temat rozmowy z paznokcia (i zaskakujących skojarzeń, jakie budził) na *Wielkie nadzieje*. Chciałam wyjaśnić z panem Wattsem kilka kwestii.

Niepokoili mnie zmiana osobowosci Pipa, jaka zaszla, odkad przebywal w Londynie. Nie lubilam jego nowych przyjaciol. Nie przypadl mi do gustu wspollokator Herbert Pocket i nie potrafilam zrozumiec, dlaczego Pip palal do niego sympatia. Niepokoilo mnie, ze zostawia mnie sama. Nie potrafilam takze zrozumiec, dlaczego zmienil imie na Handel.

Pan Watts klapnal na piasku obok mnie. Oparl sie na wyciagnietych za plecy rekach i spogladal spod przymruzonych powiek na polyskujace w sloncu morze.

– Sprubuję ci to wyjasnic, Matyldo. A przynajmniej tak jak to sam rozumiem, bo moja odpowiedz wcale nie jest jedyna, jakiej mozna udzielic. Pip jest sierota. Przypomina emigranta. W tej chwili podrozuje z jednego poziomu spoleczestwa na inny. Zmiana imienia jest rownie skutecznym sposobem osiagniecia tego celu, co zmiana ubrania. Pip chce sobie w ten sposob pomoc w tej migracji.

Spokoju nie dawalo mi slowo „emigrant”, ale zapytanie pana Wattsa o jego znaczenie byloby ryzykowne. Pan Watts rozmawial ze mna tak, jakby uwazal nas za osoby dysponujace jednakowym poziomem inteligencji. Pochlebialo mi to, ale jednoczesnie oniesmielalo. Nie chcialam zawiesc pana Wattsa. Nie chcialam powiedziec nic, co mogloby zachwiac jego wiarą we mnie. Poruszylam zatem kolejna dręczaca mnie sprawe – sposob, w jaki Pip traktuje Joego Gargery’ego.

Wpierw jego zaizenowanie, kiedy Joe sklada mu niezapowiedziana wizyte w Londynie. Pip odnosi sie z wyzszością do starego, lojalnego przyjaciela. Później podczas wizyty w rodzinnych stronach za wszelka cene stara sie unikac towarzystwa Joego. Przyjechal tylko po to, by odwiedzić Estellę. Nie ma ochoty zawracac sobie wiecej glowy Joem.

Zachęcona przez pana Wattsa mowilam swobodnie i cieszyła mnie myśl, ze moje spostrzezenia byly wartosciowe, nawet jesli pan Watts wygladal na znuzonego.

– Trudno być doskonałym, Matylde – zauważył. – Pip jest tylko człowiekiem. Dostał możliwość przekształcenia się w taką osobę, jaką tylko zapragnie. Może dokonać dowolnego wyboru. Może nawet dokonać złego wyboru.

– Jak Estella – powiedziałam.

– Och, a więc nie lubisz Estelli?

– Jest wredna.

– Owszem – przytaknął – ale w swoim czasie dowiemy się dlaczego.

Już myślałam, że i tym razem się wygada, ale pan Watts się zreflektował i odwrócił wzrok. Pośpiech nie miał sensu. Mieliśmy przed sobą całą wieczność. W razie wątpliwości wystarczyło spojrzeć w morze.

Pan Watts zaczął się podnosić. Kiedy w końcu stanął na nogach, na jego twarz wstąpiła irytacja – zorientował się, że zapomniał koszyka. Przez chwilę tylko mu się przyglądał. Mogłam mu go podać, ale byłam zbyt zafascynowana poirytowaniem pana Wattsa. Jakież to kłopot sięgnąć po plastikowy koszyk?

Wolną rękę oparł na biodrze i schylił się po koszyk. Twarz poczerwieniała mu z wysiłku. Na chwilę zamienił się z powrotem w Wytrzeszcza, a gdy się wyprostował, stał się znów panem Wattsem, którego znaliśmy z klasy. Roztarł obolały krzyż i odwrócił głowę w stronę plaży.

– Coś mi się zdaje, że pani Watts mnie woła – stwierdził.

Zaczął się oddalać z plastikowym koszykiem w dłoni. Zdałam sobie sprawę, że wygląda na znacznie starszego, niż sądziłam. Pod lnianym garniturem i opanowaniem, które prezentował w klasie, skrywał się słaby człowiek. Przystanął i obejrzał się przez ramię, jakby zmagął się z wątpliwościami dotyczącymi mojej osoby.

– Matylde, a potrafisz dochować tajemnicy? – zawołał.

– Tak – odpowiedziałam szybko.

– Zapytałaś, dlaczego Pip zmienił imię na Handel.

– Tak – przytaknęłam.

Pan Watts zawrócił i podszedł do mnie. Osłonił dłońmi oczy i spojrzał najpierw w jedną stronę plaży, a później w drugą. Kiedy przeniósł z powrotem wzrok na mnie, poczułam, że jest zły na siebie. Ale było już za późno, żeby się wycofać.

– Chcę, żebyś mnie dobrze zrozumiała. To będzie nasza tajemnica.

– Obiecuję – zapewniłam.

– Moja żona wcale nie ma na imię Grace – powiedział. – Wszyscy znają ją tu oczywiście jako Grace, ale ona zmieniła imię i teraz nazywa się Saba. Doszło do tego wiele lat temu, jeszcze przed twoim urodzeniem. Uczyniła to ze względu na pewne wydarzenia, tak to określimy, poza tym w tamtym czasie musiała dokonać jakichś zmian w swoim życiu. Dlatego właśnie przybrała imię Saba. Ze względu na trudności, z jakimi przyszło jej się zmagać, sądziłem, czy miałem nadzieję, że przyzwyczai się do nowego imienia. Jak to się dzieje w przypadku innych istot. Kiedy już poznasz nazwę tej zabawnej wodno-lądowej istoty w hełmie, nie potrafisz o niej myśleć inaczej niż jak o żółwiu. Kot jest kotem. Nie sposób myśleć o psie jako czymś innym niż pies. Miałam nadzieję, że Saba w końcu utożsami się ze swoim imieniem.

Patrzył na mnie z uwagą. Domyślałam się, że zastanawia się, czy będę potrafiła dochować tajemnicy, którą mi właśnie powierzył. Niepotrzebnie się przejmował. Na razie myślałam o imieniu Saba. Jeżeli pies oznaczał psa i mógł być wyłącznie psem, a żółw był żółwiem, jakie znaczenie miało imię Saba?

– No to tyle, Matyldo. Teraz wiesz coś, czego nie wie nikt inny na całej wyspie.

Czekał, jakby spodziewał się czegoś w zamian. Ale ja nie miałam żadnego sekretu, którym mogłabym się z nim podzielić.

– W takim razie do zobaczenia – powiedział. Puścił do mnie oko i sobie poszedł.

Najbliższa wioska leżała nad brzegiem morza w odległości ośmiu kilometrów, ale wieści docierały do nas z terenu całej wyspy. Przenoszono je szlakami przez dżunglę i przez górskie przełęcze. Wieści zawsze były złe. A nawet gorzej. Słyszeliśmy o samych potwornościach. O rzeczach, w które trudno było uwierzyć.

Mówiono, że czerwonoskórzy brali odwet na wioskach, które współpracowały z rebeliantami. Małe dzieci kolportowały opowieści o ludziach wyrzucanych z helikopterów na korony drzew. One uważały, że to dobra zabawa, w której warto byłoby wziąć udział. Był to efekt rozluźnienia czujności naszych rodziców. Nawet jeśli nie opowiadali nam o najbardziej makabrycznych zdarzeniach, potrafiliśmy wiele wyczytać z niepokoju malującego się na ich twarzach. A wtedy natychmiast przypominał nam się pies Czarny z rozprutym brzuchem.

Spotkania modlitewne mamy przyciągały coraz więcej uczestników. Bóg nam pomoże. Musimy się tylko żarliwiej modlić. Modlitwa miała działać jak łaskotki. Prędzej czy później Bóg spojrzy w dół, żeby sprawdzić, kto też go tam gilga po zadku.

Nocą mama zachowywała przepęlnione niepokojem milczenie. Usuwała ze świadomości wszystkie złe wieści, aby zrobić miejsce dla Boga. Kiedyś zapytała, czy Wytrzeszcz kiedykolwiek opowiedział nam o Dobrym Pasterzu.

– Pan Watts nie używa Biblii – powiedziałam.

Pozwoliła tym słowom wybrzmieć, zupełnie jakby były świadectwem zagrożenia naszego bezpieczeństwa. Po chwili wróciła do sprawdzania

mojej znajomości imion krewnych oraz ryb i ptaków należących do naszej rodziny.

Wykazałam się całkowitą niewiedzą. Nie rozumiałam sensu zapamiętywania ich wszystkich. Znałam za to imię każdej postaci z *Wielkich nadziei*, ponieważ słyszałam, jak mówią. Dzieliły się ze mną przemyśleniami, a kiedy pan Watts czytał na głos książkę, niekiedy widziałam nawet ich twarze. Pip, miss Havisham i Joe Gargery byli dla mnie ważniejsi niż zmarli krewni czy nawet pozostali mieszkańcy wioski.

Ale mama nie zniechęcała się moimi niepowodzeniami. Twierdziła, że powinnam odetkać sobie uszy. Mówiła, że współczuje mojemu sercu. Jej zdaniem nie miało ono wielkiego wyboru w kwestii doboru towarzystwa. A ona zamierzała podejmować kolejne próby wyegzekwowania tego, czego kazała mi się nauczyć. Niestrudzenie sprawdzała moją wiedzę – wciąż bezskutecznie. W końcu zmieniła strategię. Musiała zobaczyć imię PIP na plaży, ponieważ pewnej nocy, kiedy po raz kolejny zawiodłam jej nadzieje, poleciła mi napisać imiona naszych przodków na piasku.

Następnego dnia spełniłam jej polecenie, a ona przyszła na plażę sprawdzić, jak sobie radzę. Mocno się zezłościła, kiedy zobaczyła imię Pip wśród naszych krewnych. Maznęła mnie w głowę.

Co ja sobie wyobrażałam? Dlaczego udawałam głupszą, niż byłam? Co chciałam osiągnąć, umieszczając imię fikcyjnej postaci wśród naszych krewnych?

Wiedziałam, co chciałam osiągnąć. Wiedziałam doskonale, dlaczego to robiłam. Ale czy miałam odwagę, aby stanąć w obronie swoich przekonań? Z doświadczenia wiedziałam, że nawet jeśli znałabym cztery piąte odpowiedzi, mama wytknęłaby mi tę błędną jedną piątą. W końcu decyzję podjęły za mnie moje usta. Język mi się rozwiązał i sama byłam zdumiona, że wypowiedziałam takie słowa:

– Jaki sens, zapytałam, ma znajomość kilku przypadkowych i niepotwierdzonych strzępków informacji o zmarłych krewnych, skoro można osiąść całą wiedzę o wymyślonej postaci takiej jak Pip?

Spojrzała na mnie z nieskrywaną nienawiścią. W pierwszej chwili nie odezwała się ani słowem. Być może obawiała się, że jeśli pośpiesznie otworzy usta, wyleje się z nich sam nieskrywany gniew. Byłam pewna, że mnie spoliczkuje. Zamiast tego rozkopała piasek przy napisie PIP, a następnie machnęła nogą w powietrzu nad imieniem.

– On nie jest twoim krewnym, do jasnej cholery! – wrzasnęła.

– Owszem, Pip nie jest moim krewnym – wyjaśniłam – ale identyfikuję się z nim bardziej niż z imionami obcych ludzi, które kazała mi napisać na piasku. Nie taką odpowiedź chciała usłyszeć i wiedziała, kogo winić. Podniosła wzrok i spojrzała w kierunku budynku dawnej misji.

Następnego dnia Mabel podniosła rękę i zapytała pana Wattsa, czy wierzy w Boga.

On wzniosł oczy ku sufitowi i zaczął wodzić po nim spojrzeniem.

– To jedno z tych trudnych pytań, przed którymi was ostrzegałem – powiedział. Przewracał strony *Wielkich nadziei*. Próbował znaleźć miejsce, gdzie ostatnio skończyliśmy, ale myślami przeniósł się gdzie indziej.

– A w diabła? – zapytał Gilbert.

Zobaczyliśmy, jak na twarz pana Wattsa powoli wkrada się uśmiech. Zrobiło mi się wstyd za wszystkie inne dzieci i samego pana Wattsa, ponieważ wiedziałam, że on domyślił się właśnie, kto naprawdę stał za tymi pytaniami.

– Nie – odparł. – Nie wierzę w diabła.

Nie zamierzałam powtórzyć tej deklaracji mamie. Głupia nie byłam. Niemniej jakieś inne dziecko musiało wypaplać, a pogańskie poglądy pana Wattsa stały się przedmiotem dyskusji na wieczornych spotkaniach modlitewnych.

Następnego dnia pan Watts miał właśnie przystąpić do lektury *Wielkich nadziei*, kiedy do klasy wparowała mama. Na głowie miała tę samą chustkę, co podczas poprzednich wizyt. Teraz zrozumiałam dlaczego. Tkanina nadawała jej władczy i przerażający wygląd.

Uniosła ciężkie powieki i obrzuciła pana Wattsa wrogim spojrzeniem. Dostrzegła w jego rękach książkę i aż się wzdrygnęła. Sądziłam, że lada chwila spróbuje mu ją wyrwać i przebić okładkę kołkiem, ale ona wzięła głęboki oddech i oznajmiła panu Wattswi, że chciałaby się podzielić z klasą pewnymi informacjami (zawsze używała terminu „informacje”).

Pan Watts grzecznie zamknął *Wielkie nadzieje*. Jak zwykle kierował się wrodzoną uprzejmością. Wskazał mamie miejsce na środku klasy.

– Niektórzy biali nie wierzą w diabła ani w Boga – zaczęła – ponieważ sądzą, że nie muszą. Wiem, że to się nie mieści w głowie, ale niektórzy biali, widząc za oknem ładną pogodę, potrafią wyjechać na wakacje bez płaszcza przeciwdeszczowego. Biały dopilnuje, żeby zabrać do łodzi kamizelkę ratunkową i mieć w baku dość paliwa na długą podróż morską, ale nie podejmuje takich samych środków ostrożności i nie zaopatrzy się w wiarę chroniącą go przed zawieruchą dnia codziennego.

Kiwała się na boki. Nigdy wcześniej nie emanowała taką pewnością siebie.

– Obecny tu pan Watts sądzi, że jest przygotowany na każdą ewentualność. Gdyby to jednak była prawda, mężczyzna zastrzelony przez czerwonoskórego musiałby się dziwić, dlaczego nie dostrzegł z odpowiednim wyprzedzeniem helikoptera. Ale to jego sprawa. Jeśli chodzi o nas pozostałych, w tym moją słodką Matyldę, powinniśmy czerpać siłę z nauk zawartych w *Dobrej Nowinie*. Być może w ten sposób zdołacie, dzieci, uratować pana Wattsa. Ja nie zamierzam się tym zajmować.

Jak jeden mąż zwróciliśmy spojrzenia na pana Wattsa. Ku naszemu zadowoleniu uśmiechał się do nas zza pleców mamy. Kiedy ona zobaczyła,

że my również się uśmiechnęliśmy, zezłościła się jeszcze bardziej. Już wtedy byłam zawstydzona jej przemówieniem, choć rozumiałam, że jej gniew niekoniecznie ma cokolwiek wspólnego z przekonaniami religijnymi pana Wattsa czy ich brakiem. Jej irytację wzbudzał biały chłopiec o imieniu Pip i rola, jaką odgrywał w moim życiu. Uważała, że osobistą odpowiedzialność za to ponosi pan Watts.

Jeżeli mama przysłała do klasy z zamiarem obrażenia pana Wattsa i narobienia mu wstydu, poniosła porażkę – a przynajmniej taki wniosek można było wyciągnąć z jego uśmiechu.

– Po raz kolejny, Dolores, dałaś nam do myślenia – powiedział.

Mama posłała mu podejrzliwe spojrzenie. Wiedziałam, że nie znała wyrażenia „dać do myślenia” i będzie się zastanawiać, czy biały człowiek przypadkiem nie obraził jej w zawoalowany sposób. A to oznaczałoby, że w oczach dzieci wyszła na idiotkę.

– Jeszcze nie skończyłam – rzuciła.

Pan Watts uprzejmie dał znak, aby kontynuowała. Skuliłam się jeszcze bardziej za biurkiem.

– Chciałabym powiedzieć wam o warkoczach – oznajmiła i ku mojemu przerażeniu zaczęła kierować kolejne uwagi do mnie.

– Matyldo, twoja babcia jako młoda kobieta zaplatała włosy w warkocze, a warkocze te były grube jak lina i tak wytrzymałe, że jako dzieci się na nich huściliśmy.

Kilka osób się roześmiało, a mama przeniosła spojrzenie na resztę klasy.

– Tak naprawdę było. Podczas przyływu trzymaliśmy się końców warkoczy na wypadek, gdybyśmy nadepnęli na koral. Warkocze mojej mamy były tak pierońsko długie, że jako dzieci siadaliśmy na wózku wujka i się za nie łapaliśmy, tymczasem mama unosiła swój wielki zadek ponad siodełko roweru. Krzyczeliśmy z radości na widok jej wielkiego tyłka. Wyliśmy jak spite bimbrem psy.

Tym razem nawet pan Watts wybuchnął śmiechem razem z resztą klasy.

– Warkocze służą do odpędzania much i przeganiania chłopców, którzy pchają się z łapami tam, gdzie nie powinni. Dziewczyna, która nosi warkocze, odróżnia dobro od zła – i nie robi tego dla żadnego cholernego szpanu!

Biedna mama. Najpierw zdobyła życzliwość klasy, aby błyskawicznie ją stracić. Nie rozumiała nawet dlaczego. Zupełnie jakby nie słyszała tego, co mówi.

Kiedy doszła do podsumowania, siedzieliśmy z rękami skrzyżowanymi na piersiach i sztucznym wyrazem zainteresowania przyklepionym do twarzy.

– Kiedy złączycie dwa pasma włosów i spleciecie je w linę, pojmiecie ideę partnerstwa... i zrozumiecie, w jaki sposób Bóg i diabeł znajdują się nawzajem.

Mama pragnęła z całego serca podzielić się swoją wiedzą, ale nie potrafiła nam jej zaszczepić. Sądziła, że zmusi nas do przyjęcia jej argumentów za pomocą strachu. Nie zdawała sobie sprawy, że kiedy tylko poruszała temat Boga i diabła, dzieciom natychmiast rzedły miny. Woleliśmy słuchać o psach spitych bimbrem.

Kiedy wyszła, pan Watts doskonale wiedział, co należy zrobić. Wziął do ręki *Wielkie nadzieje* i zaczął czytać. Natychmiast podnieśliśmy wzrok z ławek.

Boże Narodzenie. Padało, później zza chmur przebiło się słońce i oświetliło promieniami świeżo powstałe kałuże. Słuchaliśmy rechotania żab. Mały brat Celi, Virgil, minął nas z żabą zatkniętą na końcu patyka. Dawniej poprosiłabym go, żeby przyniósł jedną dla mnie, ale takie sprawy przestały mnie interesować.

Tego dnia nie było szkoły, więc nie dowiedzieliśmy się, co nowego wydarzyło się w życiu Pipa. Musieliśmy się także obejść bez uroczystego świątecznego posiłku. Akurat tego dnia nasi rodzice uznali, że gotowanie byłoby zbyt ryzykowne. Dym rzekomo zdradziłby lokalizację wioski. Zupełnie jakby nie groziło nam to w pozostałe dni. A nawet jeśli, co by to zmieniło? Czerwonoskórzy znali położenie naszej wioski. Podobnie rambosi, jak od pewnego czasu nazywano bosonogich rebeliantów w bandanach. Do tego czasu niemal wszyscy młodzi mężczyźni z wioski zdążyli dołączyć do rebeliantów, więc ich akurat się nie obawialiśmy. Ale z nerwowych i pełnych napięcia spojrzeń rodziców wywnioskowaliśmy, że sytuacja ulegała zmianie, a życie w wiosce mogło wywrócić się do góry nogami w każdej chwili.

Skończyła się dawna beztroska. Rozglądaliśmy się nerwowo dokoła przy każdym nietypowym dźwięku. Kiedy słyszałam helikopter, na własnej skórze mogłam się przekonać, co znaczy powiedzenie, że człowiekowi serce staje.

Niektórzy starsi ludzie znali magiczne zaklęcia. Mieszkańcy wioski prosili ich o mikstury dające niewidzialność na wypadek przybycia czerwonoskórych. Inni, jak moja mama i większość matek dzieci chodzących do szkoły, pogrążyli się w modlitwie.

Na drzewie, pod którym modliły się kobiety, wisały setki nietoperzy. Wyglądało to tak, jakby między skrzydłami trzymały małe modlitewniki. Pewnego wieczora, kiedy trwało jedno z takich spotkań, tuż po zapadnięciu zmroku z dżungli wyłonił się Sam, starszy brat Wiktorii. Na głowie miał rebeliancką bandanę; w dłoni trzymał stary karabin. Szedł boso, w poszarpanym ubraniu. Powłóczył ranną nogą.

Zgromadzeni pod drzewem podnieśli wzrok, a Sam najwyraźniej zorientował się, że dotarł do domu, i upadł na ziemię. Jedno z nas posłano

po pana Wattsa. Ten chyba nie zrozumiał powagi sytuacji, ponieważ przybył, zjadając banana.

Kiedy zobaczył Sama, podał mi resztę banana i ukląkł przy chłopaku. Dał się napić Samowi z małej butelki (później usłyszałam, że znajdował się w niej alkohol), następnie ułożył jego głowę na ziemi, włożył mu między zęby patyk i skinął na ojca Gilberta. Ten za pomocą noża rybackiego wyłuskał z nogi Sama trzy pociski czerwonoskórych. Położył je na trawie, a my stłoczyliśmy się dokoła, podziwiając je, jakby to były złowione ryby rozłożone na piasku. Kule były odkształcone i lekko czerwonawe.

Powrót brata Wiktorii do wioski wcale nas nie ucieszył. Obawialiśmy się, że czerwonoskórzy odkryją jego obecność i uznają nas za sympatyków rebeliantów. Wiedzieliśmy, jaki los spotyka wioski sprzyjające rebeliantom. Były doszczętnie palone i działały się w nich jeszcze inne rzeczy, o których nie mówiono na głos przy dzieciach. Wtedy po raz ostatni widziałam Sama. Zaniesiono go do buszu. Matka siedziała z nim dzień i noc, karmiąc go specjalnymi korzeniami i pojąc wodą.

Dwa tygodnie później ojciec Gilberta wypłynął z Samem swoją łodzią na morze. Była noc i w ciemności słyszeliśmy chlupot wiosel. Łódź ojca Gilberta była wyposażona w motor, ale mężczyzna nie chciał zużywać zaoszczędzonych resztek paliwa. Nie było go przez dwa dni. Spaliśmy, kiedy trzeciej nocy wyciągnął łódź na brzeg. Zobaczyłam go dopiero następnego dnia. Zaszła w nim jakaś zmiana.

Nigdy więcej nie zobaczyliśmy Sama.

Leżący przy bagnach dom Pipa dzieliło od Londynu około pięciu godzin jazdy. Nie potrzebowaliśmy dodatkowych wyjaśnień, aby wiedzieć, że pięć godzin jazdy to duża odległość. W tysiąc osiemset pięćdziesiątym którymś roku z pewnością taka była. Dziś pięć godzin to bliżej niż było półtora wieku wcześniej i o wiele bliżej niż pół świata dalej. Dowiedzieliśmy się, że Pip wystraszył się „ogromu” Londynu. Ogromu?

Wpatrywaliśmy się w pana Wattsa, czekając na wyjaśnienie. „Wielka liczba ludzi, tłumy, oszołomienie przytłaczającą skalą...” Pan Watts trzymał książkę w ręku, ale myślami wyraźnie powrócił do własnych wspomnień z Londynu. Zaczął opowiadać o ekscytacji, jaka ogarnęła go podczas pierwszej wizyty. Z twarzy zniknął mu uśmiech. Oczami wyobraźni zobaczył zapewne młodego mężczyznę, którym kiedyś był. Wyjaśnił, że Londyn wydał mu się w pewnym sensie znajomy, ponieważ wcześniej po mieście oprowadził go dokładnie pan Dickens.

Był biedny. Mimo to dał jakiejś żebraczce resztę swoich pieniędzy, po czym udał się do parku, rozgrzany świadomością, że spełnił dobry uczynek. Nadciągnął chłód i zaczął padać nieprzyjemny deszcz. Pan Watts wybiegł z parku. Stał na chodniku, czekając, aż będzie mógł przejść przez zatłoczoną ulicę. Spojrzał na rozświetloną szybę kawiarni, żałując, że nie może sobie niczego kupić, i wtedy zobaczył starą jędzę, której wcześniej wszystko oddał. Smarowała sobie masłem ciastko. W pewnej chwili podniosła wzrok i, jak zapewniał nas pan Watts, spojrzała na niego w taki sposób, jakby widziała go po raz pierwszy.

Zawyliśmy jak psy, śmiejąc się z naszego głupiego nauczyciela. Pan Watts pokiwał głową. Wiedział.

Chętnie uczynił samego siebie przedmiotem żartu, ale ledwie otworzył *Wielkie nadzieje*, zamknęliśmy buzie. Minęła chwila, a on wciąż milczał. Domyśliliśmy się, że jest z powrotem w Londynie i razem z młodym panem Wattsem patrzy na oświetloną szybę kawiarni. Właśnie w takich chwilach uświadamialiśmy sobie, że pan Watts jest ostatnim białym na wyspie. Stał przed nami, jedyny w swoim rodzaju, wspominając miejsce, którego żadne z nas nigdy nie widziało na oczy. Mogliśmy je sobie wyobrazić wyłącznie dzięki opisom dostarczonym przez pana Dickensa.

Kiedy słyszeliśmy słowa „metropolia” i „Londyn”, w naszych umysłach pojawiała się pustka. Panu Wattsowi nie udało się znaleźć żadnych lokalnych odpowiedników. Zaprowadził nas na plażę. Wykopał kanał w piasku; fale wlewały w niego wodę. To była Tamiza. Znalazł kilka szarych kamieni i rozrzucił je na jednym miejscu. Miały przedstawiać budynki. Padały terminy w rodzaju „świetlik”, „woźnica”, „końskie włosie”, ale przestaliśmy prosić o wyjaśnienia. Nauczyliśmy się odróżniać informacje istotne od błahych.

Ledwie poznaliśmy pana Wemmicka, odrażającego asystenta pana Jaggersa, w klasie pojawiła się moja mama w towarzystwie innej kobiety ze spotkań modlitewnych. Była to pani Siep. Trzej synowie pani Siep dołączyli do rebeliantów, a sądzono, że również jej mąż walczy po ich stronie. Chyba że leżał gdzieś martwy. Pani Siep nie wypowiadała się na ten temat.

Pan Watts zwolnił miejsce pośrodku klasy, a mama delikatnie popchnęła panią Siep do przodu i ją przedstawiła. Pani Siep zapytała, czy stoi we właściwym miejscu. Mama wykonała niewielki gest i pani Siep uczyniła krok do tyłu.

– Mam dla was, dzieci, dwie informacje – oznajmiła pani Siep. – Pierwsza dotyczy przynęty na ryby. Jeżeli chcecie złapać dużą rybę, musicie zacząć od schwywania remory. Później przywiązuje się sznurek do

ogona remory, a ona załatwia całą resztę. To najprawdziwsza prawda, bo widziałam to na własne oczy. Remora ma przyssawkę na czubku głowy i przyczepi się do rekina, żółwia lub jakiejś dużej ryby. A jeśli złapiecie samogłowa, odetnijcie linkę, bo jest trujący.

Pani Siep pochyliła głowę i zrobiła krok do tyłu. Zaczęliśmy bić brawo. Nigdy wcześniej się tak nie zachowaliśmy, a fakt, że pan Watts nie musiał nas do tego zachęcać, w równym stopniu świadczy o dżentelmeńskich zachowaniach, jakie zaczęliśmy przejawiać pod jego wpływem, co o godności emanującej z pani Siep. Miała w sobie ten wewnętrzny spokój, którego nie potrafiła odnaleźć moja mama.

Pani Siep z uśmiechem podniosła głowę i brawa ucichły. Ponownie uczyniła krok do przodu.

– Zacznę od pytania. Co byście zrobili, gdybyście znaleźli się zupełnie sami na morzu? To druga informacja, jaką chcę wam przekazać – powiedziała. – Jeżeli odczuwacie samotność, znajdźcie sobie rogatnicę. Bóg wymieszał dusze psów i rogatnic, ponieważ podobnie jak pies rogatnica przewróci się na bok i spojrzy na was tęsknym wzrokiem.

Pani Siep pochyliła głowę i ponownie rozległy się oklaski. Tym razem przyłączyła się do nich mama. Zamieniła szeptem kilka słów z panią Siep, która zrobiła dla niej miejsce.

Atmosfera w klasie natychmiast się zmieniła. Przygotowaliśmy się na najgorsze.

– Wiem, że pan Watts opowiada wam pewną historię, konkretną historię – zaczęła. – Chciałabym jednak, żebyście wiedzieli jedno. Historie mają do wykonania określoną robotę. Nie mogą leżeć beczynnym jak leniwe psy. Muszą was czegoś nauczyć. Gdybyście znali na przykład odpowiednie słowa, moglibyście zaśpiewać piosenkę, dzięki której ryba nadzieje się na wasz haczyk. Istnieją pieśni pozwalające się pozbyć wysypki i odpędzić koszmary senne. Chciałabym jednak opowiedzieć wam o diable, którego

spotkałam, kiedy byłam w waszym wieku. W tamtych czasach wciąż mieliśmy tu kościół, a misjonarze mieszkali w wiosce. Wioska była znacznie większa niż dziś, a przy brzegu była keja. Właśnie wtedy po raz pierwszy spotkałam diabła. Mówię to, na wypadek gdyby przeszła mnie kula czerwonoskórych, ponieważ musicie wiedzieć, czego się strzec. Tymczasem akurat o tej konkretnej sprawie pan Watts nie ma chyba zielonego pojęcia.

Posłała mu krótki uśmiech, jakby dawała do zrozumienia, że żartowała. Tylko ja wiedziałam, że mówiła serio.

– Pewna kobieta, która mieszkała samotnie – podjęła wątek – zauważyła kiedyś, że kręcimy się w pobliżu jej domu. Podeszła i zaczęła krzyczeć: „Hej! Jeśli zwędzicie pieniądze z kościoła, powyrywam wam rzęsy z oczu! Ludzie zobaczą oskubane kurczaki i będą wiedzieli, coście zrobiły. Będą wiedzieli, że wy, zasmarkane bachory, ukradliście pieniądze z kościoła”. Baliśmy się jej. Mówiono, że potrafi rzucać czary. Kiedyś zamieniła białego mężczyznę w marmoladę i posmarowała sobie nim grzanekę.

Cała klasa spojrzała na pana Wattsa. Wreszcie padły słowa, którym zapewne mógłby zaprzeczyć. Kobieta zamieniająca białego mężczyznę w marmoladę i rozsmarowująca go na grzance? Mimo tak niedorzecznej przechwałki pan Watts pozostawał niewzruszony. Stał, jak zwykle podczas występów mojej mamy, z przymkniętymi oczami i skupioną twarzą.

– Więc kiedy później zapytała, czy ukradliśmy pieniądze z kościoła, odpowiedzieliśmy, że nie. Zorientowaliśmy się, że co innego chciała usłyszeć, bo się skrzywiła. Zaczęła się namyślać i nie byliśmy pewni, czy może nie straciła ochoty na rozmowę. Postanowiliśmy sobie pójść, ale ona wtedy powiedziała: „A co gdybym was poprosiła, żebyście ukradli pieniądze z kościoła?”. Żadne z nas, chłopiec czy dziewczynka, nie ośmieliło się spojrzeć innym w oczy. Wolelibyśmy umrzeć, niż ukraść pieniądze z kościoła. Zresztą wtedy i tak przyplacilibyśmy to życiem. Nie

zamierzaliśmy ukraść pieniądze z kościoła. W żadnym razie. Kobieta diabeł odczytała nasze myśli, ponieważ powiedziała: „Posłuchajcie mnie uważnie. Jeżeli każę wam ukraść pieniądze z kościoła, to ukradniecie pieniądze z kościoła. A wiecie dlaczego?”. Nie mieliśmy pojęcia ani nie wiedzieliśmy, co odpowiedzieć. „Tak właśnie myślałam – stwierdziła. – Głupie, bezużyteczne bachory. Spójrzcie na to!”

Mama przerwała i wszyscy skupili na niej wzrok. Nawet pan Watts słuchał z uwagą.

– Postaram się opisać to, co zdarzyło się później – powiedziała. – Spod naszych nóg wzleciała kula ciemności, która nie przypominała dymu. Zakryliśmy oczy, a kiedy odważyliśmy się spojrzeć, zobaczyliśmy przed sobą czarnego ptaka. Żadne z nas nigdy wcześniej nie widziało podobnego stworzenia. Miało groźnie wyglądającą głowę, tułów gołębia i ostre szpony, w których trzymało dwa mniejsze ptaki, po jednym w każdym szponie. Ptaszysko otworzył szeroko dziób i cały czas wpatrywało się w nas jednym okiem. Zrozumieliśmy, że mamy przed sobą diabła. A kiedy zahipnotyzował nas swoim spojrzeniem, wsadził sobie jedno z ptasząt do dzioba, leniwie je rozgniółł i przełknął. Drugie ptaszę pożarł w ten sam sposób. Czarny ptak zamienił się w czerń, która rozlała się wokół naszych stóp. W mgnieniu oka brzydka kobieta pojawiła się ponownie. Z ust wystawały jej pióra. „A teraz – powiedziała – przyniesiecie mi pieniądze zebrane na tacy w przyszłą niedzielę, bo jak nie, to pożałujecie. Tylko nie mówcie nikomu. Będę wiedziała, jeśli to zrobicie, a wtedy przyjdę, kiedy zaśniecie na swoich matach, wydłubię wam oczy i nakarmię nimi ryby”. Nie powiedzieliśmy rodzicom, ponieważ nie chcieliśmy stracić oczu. Kto chciałby zostać ślepcem? Mieliśmy wszakże świadomość, że szykujemy się do popełnienia dwóch przestępstw. Po pierwsze ukradniemy pieniądze z kościoła, a po drugie popełnimy ten czyn ze świadomością, że robimy coś złego. W ten sposób dopuścimy się dwóch złych uczynków. Ciemność,

która nas ogarnie, będzie ciemniejsza od ciemności zapadającej wieczorem i uniemożliwi nam zobaczenie czegokolwiek. Nie zrobiliśmy więc nic. Pozwoliliśmy, aby pieniądze zebrane na tacę przeszły nam koło nosa, ponieważ uznaliśmy, że z dwojga złego wolimy mniejszą ciemność. Niech kobieta diabeł wydlubie nam w nocy oczy i nakarmi nimi ryby.

Czekaliśmy całą niedzielę na przybycie kobiety diabła. Następnego dnia przypuszczaliśmy, że wpłynie przez otwarte okno szkoły. Postanowiliśmy opowiedzieć o wszystkim pastorowi. On uznał, że przechytrzyliśmy diabła. Według niego diabeł został przysłany, aby nas sprawdzić. Na tym polega jego rola. Na testowaniu przekonań ludzi. Gdybyśmy ukradli pieniądze z kościoła, kobieta bez wątpienia by powróciła i miała by nas w swej diabelskiej garści. „Dobra robota, dzieci”, oświadczył pastor i dał nam po cukierku.

Skończywszy opowieść, mama zerknęła na pana Watta i przez chwilę wpatrywali się w siebie. W końcu przypomnieli sobie o nas. Gdyby nie ich zachowanie, uznalibyśmy, że była to opowieść o diable, i nawet nie przeszłoby nam przez myśl, aby skojarzyć ją z czerwonoskórymi.

Mama nigdy nie zapytała mnie wprost, jak oceniam jej wizyty w szkole. Chciała się dowiedzieć, co o nich myślę, ale zawsze zabierała się do tego naokoło. Tamtej nocy zapytała, czy wierzę w diabła. Jak głupia odpowiedziałam, że nie. Zapytała dlaczego – po wszystkim, co usłyszałam na jego temat. Wyrecytowałam słowa, które wcześniej wypowiedział pan Watts. Diabeł jest tylko symbolem. Nie ma cielesnej postaci.

– Tak samo jak Pip – zauważyła.

I na to miałam gotową odpowiedź.

– Nie można usłyszeć głosu diabła. A głos Pupa można.

Tym razem zamilkła. Czekałam i czekałam, aż usłyszałam ciche chrapanie.

Kiedy następnego ranka pojawiła się w klasie, było jasne, że nie zamierza rozmawiać z nami. Chciała się rozprawić z panem Wattsem.

– Moja córka, moja droga Matyllda – zaczęła – twierdzi, że nie wierzy w diabła. Wierzy za to w Pipa.

Przerwała, dając panu Wattswowi okazję do przemyślenia tych słów i ich skomentowania. On, jak zwykle, sprawiał wrażenie, jakby jej słowa w najmniejszym stopniu go nie zaskoczyły.

– No cóż, Dolores – stwierdził spokojnie – a co, gdybyśmy powiedzieli, że formalnie rzecz biorąc, Pip i diabeł mają identyczny status?

Teraz to on zamilkł. Wiedziałam, że mama go nie zrozumiała.

– Rozważmy tę kwestię – podjął. – Pip jest sierotą, chłopcem, który otrzymuje szansę, aby stworzyć się na nowo i wybrać swój los. Doświadczenie Pipa przypomina nam ponadto doświadczenie emigranta. Obaj opuszczają miejsce, w którym się wychowali. Obaj biorą los we własne ręce. Obaj mają możliwość stworzenia się na nowo. Obaj mogą również popełnić błędy...

W tamtym momencie mama dostrzegła, jak jej się zdawało, słaby punkt w rozumowaniu pana Wattsa.

Przerwała mu, unosząc rękę.

– Skąd jednak będzie wiedział, czy popełnił błąd? – spytała.

Wielkie nadzieje skończyliśmy czytać 10 lutego. Pomyliłam się w przewidywaniach o cztery dni ze względu na Boże Narodzenie i trzy dni wolnego, w czasie których pan Watts leczył przeziębienie.

Zakończenie wprowadziło mnie w zdumienie. Nie pojmowałam, dlaczego Pip nadal pragnie Estelli. Zwłaszcza odkąd zrozumiałam jej rolę w fabule. Miss Havisham wprowadziła dziewczynie kamień w miejsce serca, z kolei Estella używała go niczym kowadła, na którym rozbijała męskie serca. W ten sposób miss Havisham odpłacała mężczyznom za wszystko, co przydarzyło jej się w dniu ślubu. Tę część akurat rozumiałam – wiedzieliśmy, czym jest zemsta. A co do zbiegłego skazańca Magwitcha, który wzbogacił się w Australii, to choć podziwiałam jego pragnienie udzielenia pomocy w ucieczce z bagien chłopcu, który jemu samemu pomógł uciec z bagien, nie rozumiałam, dlaczego powrócił do Anglii. Mając świadomość, że może zostać ponownie wtrącony do więzienia, przybywa, aby na własne oczy obejrzeć postępy w przerabianiu Pipa na dżentelmena. Później Pip i jego nowy przyjaciel Herbert Pocket pomagają Magwitchowi w ponownej ucieczce. To akurat mi się podobało. Dostrzegałam analogie.

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła – wyjaśnił pan Watts. – Gdyby wszystkie nasze poczynania dało się logicznie wyjaśnić, świat wyglądałby zupełnie inaczej. A życie byłoby mniej interesujące. Nie sądzicie?

A zatem pan Watts również nie rozumiał wszystkiego. Kiedy przeczytał ostatnie rozdziały, ogarnęły mnie wątpliwości, czy słuchałam ich z dostateczną uwagą. Zakończenie wydawało mi się niesatysfakcjonujące.

Magwitch okazuje się ojcem Estelli. Dlaczego tak długo trwało wyjawienie tego faktu? Po pięćdziesięciu dziewięciu dniach lektury cała klasa miała przed oczami niejednorodną pajęczynę zbudowaną z fragmentów opowieści, między którymi występowały najróżniejsze powiązania. A jeśli wzór, który dostrzegalam, był błędny?

Z tymi pytaniami musiałam poczekać na odpowiedni moment. Nie chciałam wyjść na głupka. Wszyscy wiedzieli, że książka wywarła na mnie magiczny wpływ i pan Watts często prosił mnie o omówienie jakiegoś aspektu fabuły. Aby zatem nie stracić resztek pewności siebie, postanowiłam stulić dziób.

Przez kilka dni po zakończeniu czytania *Wielkich nadziei* w szkole panował marazm. Zniknęło poczucie celowości. Opowieść dobiegła końca, podobnie jak nasza podróż po tamtym świecie. Wróciliśmy do własnego świata, a ponieważ nie mogliśmy liczyć na żadną formę ucieczki, straciliśmy poczucie sensu. Mieliśmy nadzieję, że pan Watts wymyśli coś nowego i zapełni wyrwę, jaka powstała w naszym życiu.

Jego odpowiedzią na nasze posępne miny była decyzja o ponownej lekturze *Wielkich nadziei*. Tym razem sami mieliśmy uczestniczyć w odczytywaniu tekstu na głos. Pan Watts uznał, że podciągniemy się w ten sposób w angielskim. Może miał rację. Tyle że podczas ponownej lektury wszystko miało pozostać po staremu. Historia się nie zmieni. Pip rozczaruje Joego Gragery'ego, ale Joe, jak to Joe, zdobędzie się na wybaczenie. Pip i tym razem będzie uganiał się za Estellą – kiepski wybór, ale przecież był na niego skazany na wieczność. Przeczytanie książki drugi, trzeci czy czwarty raz – jak to uczyniliśmy – nie mogło zmienić tych wydarzeń. Jedyną pociechą była możliwość ucieczki do innego stulecia. Dzięki temu nie postradaliśmy zmysłów.

Pewnego dnia pana Watts podszedł do biurka i wziął do ręki egzemplarz *Wielkich nadziei*. Czekaliśmy, komu przypadnie zadanie rozpoczęcia

lektury. Kiedy odwrócił się w naszą stronę z książką otwartą na scenie na cmentarzu, Daniel podniósł rękę.

– Tak, Danielu? – spytał pan Watts.

– Jak to jest być białym?

Daniel natychmiast odwrócił się w ławce i spojrzał na mnie. Pan Watts również skierował wzrok w tę samą stronę. A zatem wiedział, kto wymyślił to pytanie. A ja wiedziałam, że on wie. Mimo to odpowiedź skierował do Daniela.

– Jak to jest być białym? Jak to jest być białym na tej wyspie? Podejrzewam, że podobnie czuł się ostatni mamut. Samotny – czasami.

Mamut? Nie mieliśmy pojęcia, co to takiego. Udawaliśmy obojętność, chociaż pytanie Daniela poruszało kwestię, która nas bardzo interesowała. Nie mieliśmy ochoty przyłączać się do tych podchodów, więc dodatkowe pytania zachowaliśmy dla siebie. Tak się jednak składało, że to pan Watts postanowił nas o coś zapytać.

– Jak to jest być czarnym?

Skierował te słowa do Daniela, ale patrzył na całą klasę.

– Normalnie – odpowiedział w imieniu wszystkich Daniel.

Wydawało mi się, że pan Watts wybuchnie śmiechem, ale nawet jeśli tak było, zmienił zdanie i opuścił wzrok.

– Rozumiem – stwierdził.

Lepszą odpowiedź na pytanie Daniela uzyskaliśmy tydzień później, kiedy do wioski zawitali ponownie czerwonoskórzy.

Przybyli przed świtem. Helikoptery wylądowały na plaży przy rzece. Nie dostaliśmy ostrzeżenia równie wcześnie, jak poprzednio. Tym razem obudziły nas głosy i głośne gwizdy.

Spodziewaliśmy się, że taka chwila nadejdzie. Trudno w to uwierzyć, ale w istocie czekaliśmy na nią z utęsknieniem.

W niektóre dni wilgotność stopniowo wzrasta, powietrze robi się coraz cięższe, aż w końcu wszystko eksploduje. Przychodzi ulewa i potem znów można oddychać. Podobnie było z napięciem narastającym przez kilka poprzednich tygodni. Kiedy człowiek czeka tak długo, w końcu chce, żeby czerwonoskórzy wreszcie przybyli i zakończyli to oczekiwanie.

Opuściliśmy domy, jakbyśmy realizowali przećwiczoną procedurę. To zabawne, że nikt nie musiał nam mówić, co mamy robić. Czerwonoskórzy stali tam z twarzami pomalowanymi na czarno. Widzieliśmy tylko poruszające się gałki oczne. Obyło się bez krzyków. Nie musieli nas popędzać. Wszyscy znali swoje role. I żołnierze, i my. Wiedzieliśmy, czego możemy od siebie oczekiwać.

Dowódca czerwonoskórych zaczął mówić, a my ucieszyliśmy się, że ma sympatyczny głos; wcześniej sądziliśmy, że będzie się na nas wydzierać. Przedstawił bardzo proste żądania. Mieliśmy podać nazwiska wszystkich mieszkańców wioski. Wyjaśnił, że potrzebuje ich ze względów bezpieczeństwa i nie musimy się niczego obawiać. Poradził, abyśmy nie robili problemów, tylko spokojnie podali nazwiska i wiek. Ani razu nie podniósł głosu. Polecenie było proste. Podanie nazwisk niczym nie groziło – nie mogły wybuchnąć ani nie zawierały ukrytych haczyków.

Dwóch żołnierzy przeszło wzdłuż szeregu. W jednym czy dwóch przypadkach mieszkańcy brali długopis, aby pomóc w poprawnym zapisaniu nazwiska. W trakcie całej procedury pozostawaliśmy uśmiechnięci. Byliśmy skorzy do pomocy, zwłaszcza przy poprawnym zapisie nazwisk. Sporządzenie listy nie zajęło wiele czasu.

Oficerowi wręczono dwie kartki papieru, a on przejrzał listę. Wyraźnie szukał konkretnego nazwiska, być może mieszkańca wioski, który wstąpił do rebeliantów.

Kiedy podniósł głowę znad kartki, było jasne, że nie interesują go dzieci. Przyglądał się wyłącznie twarzom dorosłych. Każdej z osobna.

Kiedy któreś z naszych rodziców opuszczało wzrok, oficer poczytywał to sobie za zwycięstwo. W końcu zmusił w ten sposób do uległości wszystkich dorosłych. Oświadczył, że zada nam jedno pytanie. Pytanie miało być łatwe, każdy z nas miał znać odpowiedź. Uśmiechnął się, mówiąc te słowa. Zapytał, dlaczego w wiosce nie ma żadnych młodych mężczyzn. Były młode dziewczyny, ale nie było chłopców.

Skrzyżował ramiona na piersi, zrobił surową minę i wbił wzrok w ziemię, jakby próbował razem z nami zgłębić tę frapującą zagadkę. Domyśliłam się, że zna odpowiedź, ale nie po nią przybył do wioski. Chciał usłyszeć nasze wyznanie. My z kolei rozumieliśmy, że jeśli powiemy prawdę, którą on i tak zna, przyznamy się do winy. Czuliśmy się jak smakowity krab odziobywany przez morskiego ptaka. Oficer miał wszystkie potrzebne informacje w małym palcu. Ale mu to nie wystarczało. Chciał czegoś więcej.

Chwilę potem zostaliśmy niespodziewanie wybawieni z kłopotów. Z plaży nadbiegł młody żołnierz. Zamienił kilka słów z oficerem. Staliśmy w zbyt dużej odległości, aby cokolwiek usłyszeć, ale dostrzegliśmy reakcję oficera – wykrzywiony kącik ust i irytację, z jaką uderzył się dłonią w udo. Udał się z żołnierzem na plażę, a kiedy wrócił kilka minut później, lekko drwiące nastawienie sprzed kilku chwil zniknęło.

Przeszedł wzdłuż szeregu, przyglądając się naszym twarzom. Zawrócił, stanął przed nami, kołysząc się na piętach z rękoma złączonymi z tyłu.

– Kto to jest Pip? – zapytał.

Nikt nie odpowiedział.

– Kazałem podać wszystkie nazwiska – powiedział. – Tego brakuje. Dlaczego?

Odpowiedź znali ci spośród nas, którzy uczęszczali na zajęcia do pana Wattsa. Oraz moja mama. Tyle że ona stała z zamkniętymi oczami i nie reagowała na słowa oficera. Zapewne się modliła. Nie zauważyła

porozumiewawczych spojrzeń, jakie wymienialiśmy. Ani twarzy dziecka spragnionego udzielić odpowiedzi.

– Pip należy do pana Dickensa, proszę pana – wypalił Daniel.

Oficer podszedł do niego.

– A kim jest ten cały pan Dickens? – zapytał.

Daniel, który wyglądał na niesamowicie dumnego, że potrafi udzielić odpowiedzi, wyciągnął rękę w kierunku szkoły. Wszyscy wiedzieliśmy, na co tak naprawdę wskazywał – nie na budynek szkoły, ale na starą misję ukrytą za bujną roślinnością.

Oficer rzucił coś w pidżyn do żołnierzy. Oni spojrzeli jednocześnie w kierunku wskazanym przez Daniela. Oficer nie zapomniał o chłopcu. Pstryknął palcami, nakazując mu wystąpienie przed szereg. Daniel błyskawicznie dołączył do żołnierzy. Oficer spojrział na niego krzywo, a ja pomyślałam, że uderzy Daniela za tak bezczelne zachowanie. On jednak położył dłoń na ramieniu chłopca i kazał mu udać się z żołnierzami po pana Dickensa.

Przyzwyczailiśmy się do widoku pana Wattsa w garniturze. Przyzwyczailiśmy się do jego oczu, które wyraźnie chciały wyskoczyć mu z twarzy. Przyzwyczailiśmy się do szczupłej sylwetki, na której wisiały jego ubrania. Zapomnieliśmy tylko, jak wstrząsające wrażenie robił jego biały strój w naszym parnym, zielonym świecie. Przypomnieliśmy sobie o tym, kiedy pan Watts i jego żona zostali przyprowadzeni do wioski przez żołnierzy.

Oficer stał odwrócony do nas plecami, a na widok niecodziennej procesji nadciągającej od strony budynku szkoły skrzyżował ręce na piersi. Prowadził ich Daniel. Z niesamowicie dumną miną kroczył, wymachując rękami jak w marszu. W tamtej chwili spojrzałam na pana Wattsa oczami czerwonoskórego. Dostrzegłam ponownie wszystko to, do czego my zdążyliśmy się przyzwyczaić. Pan Watts górował nad żołnierzami. Mrugał,

mimo że o tak wczesnej porze dnia słońce nie było jeszcze specjalnie mocne. Wątpię jednak, aby mruganie miało jakikolwiek związek ze światłem słonecznym. Pan Watts zachowywał się w ten sposób za każdym razem, gdy moja mama mówiła coś, co go osobiście urażało. Podejrzywałam, że starał się stłumić poczucie krzywdy.

Mogłam się jednak mylić, ponieważ kiedy się zbliżył, zauważyłam, że mruganie służy mu do unikania kontaktu wzrokowego. Starał się nie patrzeć w naszą stronę – na znajome twarze i znajomych ludzi. Ktoś nieprzychylnie nastawiony mógłby powiedzieć, że wyglądał jak ten zadufany w sobie, egoistyczny biały człowiek z filmu, przed którym mój dziadek wraz z innymi chłopcami ustawił się w ludzką piramidę. Wyglądał, jakby zamierzał coś powiedzieć i jedynie czekał na pozwolenie.

Dostrzegłam kilka innych drobnych zmian. Minęło sporo czasu, odkąd po raz ostatni widzieliśmy go w krawacie. Lewą ręką nieustannie poprawiał węzeł pod szyją. Założył koszulę ze wszystkimi guzikami. Na nogach miał buty. Przypominał człowieka, który śpieszy się na samolot.

Żołnierze czerwonoskórych zachowywali się tak, jakby o nas zapomnieli. Ich spojrzenia były całkowicie zafiksowane na postaci pana Wattsa. Po raz kolejny uświadomiliśmy sobie, jaką to osobliwą rybę morze wyrzuciło na nasz brzeg.

Białych musieli już widzieć wcześniej. W Moresby jest ich pełno. Podobnie w Lae i Rabaul. Przed rozpoczęciem starć przez wiele lat biali Australijczycy prowadzili kopalnię. Widywaliśmy ich helikoptery i małe samoloty oraz statki wycieczkowe daleko na morzu. Gdybym była starsza, podobnie jak mama zauważyłabym, że kiedy nasi mężczyźni wracali ze świata białych, wydawali się w jakiś sposób odmienieni.

Oficer podszedł do pana Wattsa. Zatrzymał się pół kroku bliżej, niż było to potrzebne, i spojrzał mu uważnie w oczy.

– Ty jesteś pan Dickens.

Pan Watts mógł wtedy udzielić oczywistej odpowiedzi. Oczekiwałam, że bez większych ceregieli wyjaśni nieporozumienie związane z Pipem; kto wie, może nawet Grace się odezwie. Ona jednak, podobnie jak moja mama, miała zamknięte oczy i do tego stopnia odcięła się od świata, że była obecna ciałem, ale nie umysłem.

Cokolwiek pan Watts zamierzał powiedzieć, zmienił zdanie, z chwilą gdy jego wzrok padł na rozpromienionego Daniela, stojącego krok za oficerem. Zapewne właśnie wtedy pojawił się źródło nieporozumienia, a to całkowicie zmieniało sytuację.

– Tak, to ja – odpowiedział.

Każde z nas, dzieci, mogło skorygować to kłamstwo. Zrozumiałam, wszyscy zrozumieliśmy, jak wielkim zaufaniem nas wtedy obdarzył. Jedynym dzieckiem nieświadomym powagi sytuacji był Daniel. Albo nie pojmował, co się stało, albo najzwyczajniej w świecie nie usłyszał, że pan Watts wcielił się w postać najwybitniejszego angielskiego pisarza dziewiętnastego wieku.

Również moja mama dostała szansę na ostateczne pokonanie swojego wroga. Nie odezwała się ani słowem. Stała z zamkniętymi oczami. Dorośli, którzy mogliby wyjaśnić nieporozumienie, bali się wyróżnić z tłumu. Między nami a panem Wattsem, między jego białością a naszą czarnością, otworzyła się jakaś wyrwa i nikt nie chciał przeskakiwać na stronę stojącego samotnie pana Wattsa.

– Gdzie jest mister Pip? – spytał oficer.

Inny biały człowiek mógłby wybuchnąć śmiechem, ale pan Watts potraktował to pytanie z pełną powagą.

– Chciałbym coś wyjaśnić, proszę pana. Pip jest wytworem wyobraźni. Jest postacią w książce.

Oficer wyglądał na zagniewanego. Przesłuchanie wymykało mu się spod kontroli. Mógłby zapytać, jaką postacią i z jakiej książki, ale w ten sposób

wykazałby się niewiedzą. Widziałam, że te pytania kotłują mu się w głowie.

– Rozumiem, skąd wzięło się całe zamieszanie – dodał pan Watts. – Jeśli pan pozwoli, mogę zaprezentować książkę, a wtedy przekona się pan, że Pip to bohater *Wielkich nadziei*.

Wtedy pan Watts po raz pierwszy spojrzał w naszą stronę. Odszukał mnie wzrokiem.

– Będziesz tak miła, Matyldo? Książka leży na biurku.

Nie poruszyłam się, dopóki oficer nie skinął lekko głową.

Sądziłam, że wyśle ze mną jakąś eskortę, ale tego nie zrobił. Jeden z żołnierzy z karabinem opartym o ramię odwrócił się i obserwował, jak biegnę w stronę budynku szkoły. Przez cały krótki odcinek, który musiałam pokonać, ani na moment nie zapomniałam o jego przekrwionych oczach ani o karabinie. Wiedziłam, na czym polega moje zadanie. Musiałam je wykonać możliwie szybko i starannie.

Wbiegłam do pustej klasy. *Wielkich nadziei* nie było w miejscu, o którym wspomniał pan Watts. Przeszłam między ławkami. Przejrzałam wszystkie blaty. Przykucnęłam, aby sprawdzić, czy książka nie spadła na podłogę. Spojrzałam nawet na sufit. Rodzina bladych gekonów zamarła w bezruchu, w chwili gdy moje białe stopy wkroczyły do klasy. Czarne oczy, którymi wielokrotnie obserwowały mnie w przeszłości, były nieruchome i obojętne. Jaszczurki nie zamierzały mi pomóc, nawet gdyby wiedziały, gdzie podziała się książka.

Po raz pierwszy zrozumiałam, co czuł Pip, kiedy Magwitch zagroził, że wyrwie mu serce i wątrobę, jeśli chłopiec nie przyniesie następnego dnia rano jedzenia i pilnika. Miałam wrażenie, jakby cała ciemność, która ogarnęła nasze życie, skupiła się na mnie. Wyszłam z budynku szkoły i zobaczyłam mieszkańców wioski, żołnierzy, oficera i pana Wattsa – wszyscy patrzyli w moją stronę. Przebiegłam obok żołnierza z przekrwionymi oczami. Jakby nie zauważając obecności oficera,

zwróciłam się od razu do pana Wattsa. Mało brakowało, a przez nieostrożność użyłabym jego prawdziwego nazwiska.

– Książki nie ma, proszę pana – powiedziałam.

Jeżeli pan Watts zamierzał kiedykolwiek okazać strach, trudno było o lepszą okazję.

– Jesteś pewna, Matyldo?

– Nie ma jej na biurku, proszę pana.

Pan Watts wyglądał na umiarkowanie zaskoczony. Skierował wzrok na pobliskie drzewa, rozważając, gdzie mogła się podziać książka.

Oficer spojrzał na mnie zagniewany.

– Nie ma książki?

– Książka istnieje, proszę pana. Tylko nie mogę jej znaleźć.

– Bzdura. Zostałem okłamany. Książka nie istnieje.

Oficer rozkazał głośno żołnierzom, aby przeszukali każdy dom. Pan Watts próbował coś powiedzieć, ale czerwonoskóry nie dopuścił go do głosu.

– Nie! – zawołał, dźgając pana Wattsa palcem w pierś. – Ty zostajesz. Wszyscy zostają.

Wybrał dwóch żołnierzy, aby trzymali nas na muszce, następnie razem z pozostałymi rozpoczął poszukiwania Pipa.

Widzieliśmy, jak wchodzi do naszych domów. Słyszeliśmy, jak rozbijają różne rzeczy. Wyciągali na zewnątrz maty, ubrania, czasami jakieś cenne przedmioty. Usypali z nich wielki stos. Kiedy skończyli, oficer wydał rozkaz dwóm żołnierzom, aby nas przyprowadzili.

Na jego twarzy malował się nowy, groźny wyraz. Gniew zniknął, a jego miejsce zajęło opanowanie i wyrachowanie. Zamierzał osiągnąć cel, nie bacząc na środki. Ukarze nas za brak współpracy.

Kiedy zgromadziliśmy się przy stercie (dołączyli do nas pan Watts i Grace), oficer zapalił zapalkę. Uniósł ją do góry, aby była widoczna dla

wszystkich.

– Dam wam jeszcze jedną szansę. Przyprowadźcie mi tego całego Pipa albo spalę wasz dobytek.

Nikt nie odezwał się ani słowem. Staliśmy ze wzrokiem wbitym w ziemię. Wtedy usłyszałam, że pan Watts odkaszlnął. Zналиśmy wszyscy ten dźwięk. Podnieśliśmy wzrok. Pan Watts podszedł do oficera.

– Mogę to wyjaśnić, proszę pana. Człowiek, którego pan szuka, jest wytworem wyobraźni, wymyśloną postacią. Pochodzi z powieści...

Tu normalnie powiedziałyby *będącej dziełem najwybitniejszego angielskiego pisarza dziewiętnastego wieku. Nazywa się on Karol Dickens*, ale dosłownie wtedy dostrzegłam na jego twarzy nagły przypływ świadomości, że Daniel wskazał już jego jako pana Dickensa. A on przyjął tę tożsamość, aby uchronić chłopca przed karą. Gdyby teraz oświadczył, że nie jest panem Dickensem, tylko pogorszyłby sytuację.

Po raz pierwszy zobaczyłam wtedy niepokój na twarzy pana Wattsa. Jakie słowa mogłyby przekonać czerwonoskórego? Powiedzenie prawdy sprawiłoby jedynie, że oficer wyszedłby na durnia przed podwładnymi. Z twarzy pana Wattsa można było wyczytać, że doskonale rozumie wszystkie te okoliczności. Tymczasem czerwonoskóry uznał wahanie pana Wattsa za objaw nieszczerości.

– Dlaczego miałbym ci wierzyć? Każesz mi uznać prawdziwość tego człowieka z książki. Kiedy żądam jej okazania, książka znika.

Pan Watts mógł odeprzeć ten argument, ale kiedy otworzył usta, oficer uniósł dłoń.

– Nie. Będziesz mówił, kiedy pozwolę ci mówić. Nie interesują mnie twoje kłamstwa.

Zwrócił się do nas.

– Ukrywacie człowieka znanego pod imieniem Pip. Daję wam ostatnią szansę, aby go wydać. Jeżeli tego nie zrobicie, uznam, że ukrywacie

rebelianta. To wasza ostatnia szansa. Gdzie jest ten człowiek? No, słucham!

Gdyby to było możliwe, wydalibyśmy mu Pipa, ale nie mogliśmy oddać czegoś, czego nie posiadaliśmy – a przynajmniej w takim sensie, jaki potrafiłby zrozumieć oficer czerwonoskórych.

Zapalił drugą zapałkę i uniósł ją do góry, aby wszyscy ją zobaczyli. Tym razem nikt nie patrzył w ziemię. Obserwowaliśmy, jak płomień trawi drewno i dociera do palców oficera. Daniel dostrzegł w stercie rzeczy coś, co należało do niego, i jakby od niechcienia zaczął się do niej przybliżać. Chciał zabrać plastikową piłkę, zupełnie jakby ktoś umieścił ją tam wyłącznie przez nieuwagę. Jeden z żołnierzy zagroził mu drogę karabinem i odprowadził go do szeregu.

Odwróciłam głowę i spojrzałam na mamę. Udawała, że w dłoń wbiła jej się drzazga. Potrząsała ręką i mruzczała coś pod nosem. Pochyliła się, przysunęła nadgarstek do oczu i zaczęła oglądać ranę, która istniała wyłącznie w jej wyobraźni.

Oficer wykrzyknął rozkaz. Dwóch żołnierzy polało naftą nasze maty i ubrania. On zapalił kolejną zapałkę i rzucił ją na stos. Buchnęły płomienie i rozbiegły się wzdłuż śladów nafty. Ogień widać było wtedy wyłącznie na powierzchni. Pojawił się dym, a chwilę później płomienie objęły cały stos. Nasze rzeczy skwierczały i strzelały jak świński tłuszcz. Nie minęło pięć minut, a ogień strawił nasz cały dobytek. Pozostały nam jedynie ubrania, które mieliśmy na sobie.

Oficer nie wyglądał na uradowanego ani spragnionego zemsty. Sprawiał raczej wrażenie człowieka, który musi ze smutkiem pogodzić się z taką formą załatwiania interesów.

Opadły mu ramiona. Wyglądało, jakby zapadł się w sobie – czy może w jakiś mroczny zakamarek duszy. Wszyscy wydawali się rozumieć dramatyzm sytuacji.

– Postąpiliście głupio – oświadczył oficer poważnym tonem, który wcześniej słyszałam u pastora. – Nie pokonacie mnie za pomocą kłamstw. Daję wam dwa tygodnie na podjęcie decyzji. Kiedy tu wrócę, oczekuję, że wydacie mi Pipa.

Po raz ostatni obrzucił nas spojrzeniem, następnie wrócił na plażę. Żołnierze podążyli za nim niczym sfora psów za swoim panem.

Staliśmy nad zwęglonym stosem. Wszyscy milczeli. Miałam wrażenie, że jakaś kobieta pociągnęła nosem, tłumiąc łzy wywołane utratą dobytku. Tata Gilberta grzebał w stosie patykiem. Znalazł kołowrotek i wyciągnął go z pogorzelska. Kołowrotek był wykonany z plastiku i częściowo się stopił. Większość rzeczy była w podobnym stanie. Zachowały częściowo dawną istotę, ale uległy bezpowrotnemu zniszczeniu. Po matach, na których spaliśmy, nie został najmniejszy ślad.

Ludzie, którzy nie mieli dzieci, nie wiedzieli nic o *Wielkich nadziejach*. Nie mieli pojęcia, kim jest Pip ani co było powodem całego zamieszania. Uznali, że czerwonoskórzy się pomylili. Albo że ów człowiek mieszkał w dalszej części wybrzeża. Słyszałam rozmowy tej treści, a nawet pyszałkowe zapewnienia o znajomości faktycznego miejsca pobytu owego Pipa. Ci, którzy posyłali dzieci na zajęcia u pana Wattsa, wiedzieli, kogo winić za całe nieszczęście. Właśnie do nich zwrócił się pan Watts. Nie pamiętam, by kiedykolwiek przemawiał tak smutnym i przepełnionym żalem głosem, pomijając lekturę pięćdziesiątego szóstego rozdziału *Wielkich nadziei*, w którym stary i schorowany Magwitch, ponownie aresztowany, leży w więzieniu, czekając na proces. Ton głosu pana Wattsa nie pozostawiał wątpliwości, komu powinniśmy współczuć.

Musiał sprostać niewykonalnemu zadaniu przyjęcia na siebie odpowiedzialności za ogień i utracony dobytek mieszkańców wioski. Ludzie wciąż rozgrzebywali dymiące pogorzelsko, wiedzeni szaloną nadzieją odzyskania jakiegoś drobnego przedmiotu w rodzaju spinki. Pan Watts powoli do nich podszedł. Była to jedna z tych chwil, gdy niepotrzebne są jakiegokolwiek wyjaśnienia, a ludzie łatwo wcielają się w role

pokrzywdzonych. Pan Watts nie próbował uchylać się od odpowiedzialności, niemniej przeprosiny rozpoczął od nieoczekiwanego stwierdzenia. Później zastanawiałam się, czy specjalnie nie skonstruował przemowy w ten sposób, aby załagodzić gniew, którego spodziewał się doświadczyć z ich strony.

– Wczoraj minęło dziesięć lat, odkąd przybyliśmy z Grace do wioski. Przez ten czas nazbierało się mnóstwo wspomnień, wiele cudownych doświadczeń. Nie mam pojęcia, co doprowadziło do wydarzeń dzisiejszego dnia. Nie mam pojęcia, co mógłbym wam powiedzieć, ponieważ żadne słowa nie przywrócą rzeczy, które utraciliście. Błagam jednak, uwierzcie, że nie zdołałem w porę dostrzec zagrożenia, jakie niesło nieporozumienie związane z Pipem. Tak mi przykro.

Niektórzy nie potrafili spojrzeć mu w oczy. Ci, którzy to uczynili, tak jak moja mama, nie zaszczycili go nawet odpowiedzią, pozwalając białemu mężczyźnie smażyć się w palącym słońcu.

Niektórzy rozeszli się do pustych domów. Inni nadal przetrząsali pogorzeliśko na wypadek, gdyby coś przeoczyli. Kilka osób z uśmiechem wpatrywało się w jakiś przedmiot, który trzymali w dłoniach. Inni wzięli maczety i poszli do dżungli naciąć podłużnych kłaczy na nowe maty.

Pan Watts czekał na reakcję – jakąkolwiek reakcję. Nie doczekał się. Grace w końcu chwyciła go za nadgarstek i zaprowadziła z powrotem do starego budynku misji. Patrzyłam, jak się oddalają – jedno białe i chude, drugie czarne i szerokie w biodrach.

Chciałam za nimi pobiec i powiedzieć coś, co poprawiłoby samopoczucie panu Wattswi. Chciałam, ale tego nie zrobiłam.

Wróciłam do domu, żeby sprawdzić, czy żołnierze czegoś nie przeoczyli. I rzeczywiście – w kącie leżał ołówek, którego używałam do prowadzenia kalendarza, a na krokwi wisiała mata mojego taty. Żołnierze oszczędzili ją zapewne wyłącznie przez nieuwagę. Mama się ucieszy,

pomyślałam. W tym całym nieszczęściu zdarzyło się coś pozytywnego, poza tym mata była jedyną ocalałą rzeczą, która przypominała jej o moim ojcu. Postanowiłam rozłożyć matę na podłodze. Zrobić mamie niespodziankę.

Ściągając ją z krokwi, wyczułam, że w środku znajduje się jakiś twardy przedmiot wielkości rzeczno kamienia. Ale choć myślałam „kamień”, oczami wyobraźni dostrzegałam już inną możliwość. Szybko rozwinęłam matę. W środku był egzemplarz *Wielkich nadziei* pana Wattsa.

Trudno opisać słowami poczucie zdrady, jakiego wtedy doświadczyłam.

Wróciłam myślami do chwili, gdy mama stała z zamkniętymi oczami w szeregu przerażonych ludzi. Co jej się rzuciło na uszy? Czyż nie słyszała, jak czerwonoskóry oficer żąda okazania książki – i to nie jeden, ale kilka razy? A co jej się rzuciło na oczy i uszy, gdy ten sam oficer stał przed nami z zapaloną zapalką i zażądał ponownie, a następnie po raz ostatni, wydania Pipa lub książki, w której ten rzekomo występował.

Doskonale znałam odpowiedź na to pytanie. Jej milczenie miało zniszczyć Pipa i pozycję pana Wattsa, bezbożnego białego mężczyzny, który zaszczerpił w umyśle jej córki fikcyjną postać do tego stopnia, że postać ta zyskała status krewnego. Zachowała milczenie nawet wtedy, kiedy mogła ocalić dobytek mieszkańców wioski.

Zaraz potem zrozumiałam, na czym polegał jej problem, ponieważ teraz był on również moim problemem. Gdyby pobiegła wtedy do domu i przyniosła książkę, musiałaby wyjaśnić, w jaki sposób weszła w jej posiadanie. Z tego samego powodu nie mogłam teraz oddać książki panu Wattswi, bo musiałabym wyjaśnić, gdzie ją znalazłam. Tym samym zdradziłabym mamę. Wcześniej ona była w sytuacji bez wyjścia, teraz ja znalazłam się w identycznym położeniu. Nie pozostawało mi nic innego, jak zawiąć sfatygowany egzemplarz *Wielkich nadziei* w matę i położyć ją z powrotem na krokwi.

Na różne sposoby pocieszaliśmy się nawzajem. Przypominaliśmy sobie o tym, czego nie straciliśmy. Ryby wciąż pływały w morzu. Owoce rosły na drzewach. Żołnierze czerwonoskórych zostawili nam powietrze i cień.

Na miejscu mamy pewnie zadawałabym sobie pytanie: „I na co mi to wszystko, skoro straciłam córkę?”. Po odejściu czerwonoskórych nie mogłam jej nigdzie znaleźć. Nie szukałam szczególnie dokładnie, ale ucieszyłam się, gdy w końcu dostrzegłam ją na plaży.

Nie czułam potrzeby, aby do niej podejść. Nie potrafiłabym tego znieść. Mimo to w pewnym sensie pragnęłam, aby dowiedziała się, że wiem o książce. Że wiem, co zrobiła.

Kiedy tamtej nocy próbowaliśmy się wygodnie umościć na podłodze, mama – udając, że nie zauważa maty ojca – owinęła się grubą zasłoną milczenia. Z oczywistych powodów nie miała ochoty rozmawiać o wizycie czerwonoskórych. Nasz dom musiał być jedynym, w którym nie poruszono tego tematu. Ledwie się położyła, odwróciła głowę w przeciwną stronę. Nie sądzę, aby którakolwiek z nas tamtej nocy zasnęła.

Aby uciec przed duszącą atmosferą wyrzutów sumienia, o świcie pobiegłam na plażę, gdzie odkryłam, że ołtarzyk poświęcony Pipowi został zniszczony. Muszle i sercowe nasionka leżały rozrzucone dokoła. Po problemach, jakich przysporzył nam pierwszy napis PIP, nie miałam najmniejszego zamiaru tworzyć kolejnego.

Straciliśmy wiele rzeczy, w tym te całkowicie wyjątkowe, jak pocztówki od taty. Jedna była z papugą. Na innej był kangur. Mama trzymała w kącie domu zwinięty pakunek z ubraniami taty, zupełnie jakby w każdej chwili mógł się pojawić z powrotem w naszym życiu. Kiedyś natknęłam się na nią, jak przyciskała koszulę taty do twarzy. Wszystkie te ubrania spłonęły wraz z moimi tenisówkami, które przyleciały w ostatniej paczce przed wprowadzeniem blokady. Nie nosiłam ich, ponieważ bolały mnie w nich stopy. Zastanawiałam się, dlaczego tata przysłał mi buty w złym rozmiarze,

ale w końcu uświadomiłam sobie, że zapamiętał mnie młodszą, niż byłam obecnie. Tenisówki były bezużyteczne, ale nie potrafiłam ich oddać. Nie potrafiłam się z nimi rozstać, ponieważ dostałam je od taty.

Kilka naszych fotografii również strawił ogień, w tym jedyne zdjęcia mojego taty zrobione na wyspie. Mimo to wciąż je pamiętam. Na jednym tata siedział z mamą w klubie rybackim w Kieta, gdzie jego pracodawca urządził przyjęcie bożonarodzeniowe. Mama była znacznie młodszą. Za ucho zatknęła sobie kwiatek. Rozchyliła usta, przez co przypominały rozkwitający w uśmiechu pąk. Tata obejmował ją ramieniem. Byli pochyleni do przodu, jakby zaciekało ich pytanie, które wiele lat później zadała ich córka, trzymając fotografię: „W jaki sposób osiągnęliście stan takiego szczęścia? I gdzie się ono podziało?”.

Trudno uwierzyć, jak ważne mogą być szczotka do włosów i szczoteczka do zębów. Nikt nie poświęca uwagi talerzowi lub misce, dopóki mu ich nie zabraknie. Jednocześnie nikt nie przypuszcza, że łupina kokosa może mieć tak wiele zastosowań.

Z tragedii wyniknęła jedna interesująca konsekwencja. Milczenie mamy oznaczało, że choć egzemplarz *Wielkich nadziei* pana Wattsa został uratowany, jej ukochana Biblia w pidżyn trafiła do ogniska.

Przez wiele dni ludzie unikali pana Wattsa. Albo otaczali go niczym kiść bananów, albo rozchodzili się na jego widok. Pan Watts nie próbował ich gonić. Nie zamierzał przekonywać nikogo o swojej niewinności. Ktoś mógłby wręcz pomyśleć, że nie dostrzegał okazywanej mu oziębłości, ale ja znałam go na tyle dobrze, aby wiedzieć, że tak nie było. Gdybym znała wtedy znaczenie słowa „mamut”, powiedziałabym, że pan Watts był samotny niczym ostatni mamut.

Ludzie ponownie zainteresowali się osobą Pipa. Wszyscy mieszkańcy wioski znali już wtedy jego tożsamość albo przynajmniej sądzili, że znają.

Kilku takich zapaleńców zorganizowało poszukiwania na własną rękę. Przyglądałyśmy się z mamą, każda z nas pogrążona we własnym milczeniu, jak grupki ogłupiałych mężczyzn uzbrojonych w maczety znikają kolejno w dżungli, aby go wytropić.

Pozostali, którzy wiedzieli o książce i roli, jaką odgrywał w niej Pip, główkowali, gdzie podział się egzemplarz *Wielkich nadziei*. Żołnierze czerwonoskórych zapowiedzieli, że powrócą, więc znalezienie książki ze stronami zapisanymi jego imieniem mogło ocalić nasze domy. Mama musiała to wiedzieć. Mogłam sobie wyobrazić, że właśnie to ciąży jej na sumieniu. Na pewno wpadła na pomysł, aby ukryć książkę poza domem w miejscu, gdzie ktoś mógłby się na nią przypadkowo natknąć.

Nie była głupią kobietą. Musiała rozważyć wszystkie możliwości za każdym razem, gdy słyszała wystraszonego sąsiada debatującego o tym, kiedy przybędą czerwonoskórzy. A gdy spływała na nas noc, długa i gęsta, musiała spędzać ją na rozmyślaniach. Wiedziała, jak powinna postąpić, ale szukała innego rozwiązania. Po pierwsze, mogła porozmawiać ze mną. Przyznać się i poprosić o pomoc albo po prostu się przede mną wygadać. Ale ja zbyt szybko się od niej oddaliłam, aby mogła mi się zwierzyć lub zapytać mnie o zdanie. Choć leżałam tuż obok niej, moje wypełniające ciemność milczenie odsuwało mnie na odległość, której nie potrafiła pokonać. Nie istniała osoba, którą bałaby się rozczarować tak bardzo jak mnie. Obawiała się, że córka ją znienawidzi – nie tylko za dobytek utracony przez sąsiadów, ale również za winę, którą zrzucano na pana Wattsa. Gdybym sama była gotowa lub zdolna przerwać milczenie, posłużyłabym się jej własnymi słowami. Powiedziałabym, że wstąpił w nią diabeł.

W nocy wsłuchiwalismy się w odgłosy strzałów. Nie były to żadne bitwy, ale chaotyczne palby rambosów spitych bimbrem i próbujących nastraszyć czerwonoskórych. Celowali w gwiazdy, siekali pociskami korony drzew. Zdarzały się noce, kiedy po takiej strzelaninie poranek odsłaniał przed nami unoszący się w oddali dym. Rozumieliśmy, że widzimy następstwo zdarzenia, którego nie powinniśmy sobie nawet wyobrażać.

Znów byliśmy skazani na oczekiwanie na żołnierzy czerwonoskórych i podobnie jak poprzednio w wiosce narastało napięcie. Wybuchwały kłótnie. Ludzie perorowali podniesionymi głosami. Żony ścierały się z mężami, a mężowie z żonami. Krzyczano na dzieci. Na podwórkach, gdzie kiedyś biegały koguty, widywało się sikające dzieciaki.

Pewnego poranka zobaczyliśmy, że pan Watts ciągnie żonę na wózku. Specjalnie z tej okazji założył czerwony nos klauna. Znów stał się Wytrzeszczem. Był to dla nas prawdziwy wstrząs – zobaczyć, jak ponownie wciela się w tę rolę, a jednocześnie jak szybko zmienia się nasze wyobrażenie o nim.

Kiedy ludzie ich zobaczyli, nagle uświadomili sobie pospołu, że dom Wattsów jako jedyny nie został ograbiony przez czerwonoskórych. Pan Watts i Grace musieli wciąż posiadać cały dobytek. Dowodem miał być głupi czerwony nos i wózek. Nikt nie przypominał sobie, aby ich rzeczy żołnierze przytaszczyli na stos. Byłoby to zresztą dziwne, ponieważ pan Watts był biały, a przez to mieszkał poza granicami świata, w którym dochodziło do takich sytuacji.

Wtedy ludziom przyszło do głowy, że zaginiona książka dająca nadzieję na ocalenie ich domów może się znajdować u pana Wattsa.

Nie przyłączyłam się do szturmu na dom pana Wattsa i Grace. Jakże bym mogła? Nie chciałam, aby pan Watts podniósł wzrok i zobaczył swoją Matyldę biegnącą z motłochem. Poza tym wiedziałam, że nadzieje ludzi są płonne. *Wielkie nadzieje* leżały zawinięte w matę mojego taty, położoną na krokwi nad miejscem, na którym spała moja mama. Nigdy wcześniej ani później w życiu nie byłam posiadaczką równie cennej informacji.

Teraz rozumiałam do pewnego stopnia dylematy moralne, które przeżywała mama. Nasi sąsiedzi pędzili w kierunku domu pana Wattsa, a ja dysponowałam informacją, która mogła ich powstrzymać. Mimo to nie odezwałam się ani nic nie zrobiłam.

Oto myśli, jakie przebiegają przez głowę tchórza. „Jeśli zostanę w domu, nie będę musiała oglądać na własne oczy aktu splądrowania domu Wattsov. Nie będę musiała wiedzieć, co się tam stało”.

Nie wiem, czy szukali książki, a po przetrząśnięciu wszystkich zakamarków ogarnął ich gniew i frustracja. Nie sposób precyzyjnie określić nastrojów tłumu.

Podeszłam ostrożnie do framugi i wyjrzałam przez drzwi na zewnątrz. Zobaczyłam ludzi niosących rzeczy należące do Wattsov. Nie pogardzili niczym. Bezużyteczne urządzenia z kablami i wtyczkami ciągniętymi się po ziemi. Jakaś kobieta niosła plastikowy kosz na ubrania. Miała taką minę, jakby chciała go zatrzymać dla siebie. Tyle że ludzie nie zamierzali sami korzystać z tych rzeczy. Większe sprzęty ciągnęli po ziemi. Mężczyźni, po kilku, nieśli meble, które wyglądały jak świnie szykowane do upieczenia na rożnie. Naliczyłam jeden czy dwa uśmiechy, mogę jednak z dumą zaświadczyć, że nie słyszałam okrzyków radości.

Nigdy wcześniej nie byłam świadkiem podobnego zdarzenia. Nigdy nie widziałam takiego aktu zemsty. I tym razem ludzie zachowywali się tak, jakby doskonale wiedzieli, co robić. Nikt nie musiał im podpowiadać, w którym miejscu składać rzeczy. A przynieśli ich wiele, naprawdę wiele.

Niektóre mogłyby nam się przydać, mimo to nikt nie zabrał nic dla siebie. Ubrania. Zdjęcia. Krzesła. Drewniane ozdoby. Rzeźby. Stolik. I książki. Nigdy nie widziałam tak wielu książek. Żałowałam, że pan Watts nie dał ich nam, dzieciom, do czytania.

Wszystko strawił ogień.

Ognisko było efektowniejsze od poprzedniego. Na stos trafiło wiele przedmiotów z drewna. W milczeniu obserwowaliśmy płomienie. Nikt nie zamierzał ukrywać swojego udziału w zdarzeniu, z kolei Wattswie nie próbowali ugasić ognia. Nie padły żadne słowa wyrażające gniew ani potępienie.

Pan Watts stał przy ognisku, obejmując Grace. Wyglądali, jakby się z kimś żegnali. Nawet jeśli pan Watts nie był współuczestnikiem zdarzenia, wydawało się, że swoim zachowaniem czyni je koniecznym i dopuszczalnym.

Kiedy czerwonoskórzy pojawili się po raz kolejny, wydawało się, jakby spłynęli na wioskę z dżungli. Skoczyli na nas jak koty. Jako ostatni z dżungli wyłonił się dowódca.

Niektórzy żołnierze mieli zakrwawione opatrunki, niekiedy wykonane z pasków materiału oderwanych z koszul. Dowódca sprawiał wrażenie chorego. Wyglądał, jakby miał żółtaczkę. Jego ludzie mieli opuchnięte, czerwone oczy; jego były żółte. Pot pokrywał mu twarz, sączył się z porów jego skóry. Wydawał się zbyt zmęczony i chory, aby okazywać gniew.

Ponownie bez rozkazu zebraliśmy się w jednym miejscu. Niektórzy żołnierze rozeszli się po okolicy z karabinami niedbale przewieszonymi przez ramiona. Jeden wszedł do czyjś domu i rozpiął spodnie, aby się wysikać.

Wszyscy skierowaliśmy wzrok na oficera. Byliśmy pewni, że zareaguje na zachowanie podwładnego, który zamierzał oddać mocz w naszym domu.

Ale on albo nie chciał mieć z tym nic wspólnego, albo miał to gdzieś. Kiedy przemówił, sprawiał wrażenie zmęczonego. Wtedy zauważyłam, że z trudem trzyma się na nogach. Był chory.

Zażądał jedzenia i lekarstw. Ojciec Mabel podniósł rękę, aby przemówić w naszym imieniu.

– Nie mamy lekarstw – powiedział. Była to prawda, a jednocześnie zła informacja dla nas. Bardzo zła. Oficer musiał przypomnieć sobie o spaleniu naszego dobytku, ponieważ na jego chorej twarzy pojawił się wyraz zrozumienia.

Odrzucił głowę do tyłu i spojrzał w błękitne niebo. Nie miał powodu, aby się na nas zirytować. Ojciec Mabel udzielił uprzejmej odpowiedzi i nie wspomniał ani słowem o spaleniu rzeczy. Mimo to informacja o braku lekarstw wyraźnie odebrała resztki sił oficerowi. Był zmęczony rolą, jaką przyszło mu pełnić; zmęczony swoją pracą, zmęczony wyspą, nami i ciężką na nim odpowiedzialnością.

Jeden z podwładnych przyniósł ananasa. Być może chciał mu w ten sposób poprawić nastrój. Żołnierz trzymał owoc w obu rękach, jak ofiarę. Oficer skinął głową, wyrażając wdzięczność za przyniesienie ananasa, ale natychmiast dał znak ręką, że nie zamierza go zjeść. Gdy podniósł rozpalone gorączką oczy, wiedzieliśmy, co zamierza powiedzieć.

– Kiedy byliśmy tu po raz ostatni, ukryliście przed nami pewnego człowieka. Poznaliście konsekwencje nierozumnych wyborów. Postanowiłem wtedy dać wam czas na podjęcie decyzji. Dlatego odeszliśmy. Aby dać wam czas do namysłu. Teraz wróciliśmy.

Mama zamknęła oczy, a ja poszłam w jej ślady. Dalszy ciąg znam tylko ze słyszenia.

– Muszę was ostrzec – mówił oficer. – Nie mam cierpliwości, którą wykazałem się poprzednim razem.

Przerwał. Kiedy milczenie się przedłużało, poczułam na skórze pulsujący skwar południowego słońca. Usłyszałam niestosownie radosny krzyk wrony. I wtedy czerwonoskóry odezwał się ponownie.

– Przeprowadźcie mi tego całego Pipa.

Kilka osób mogłoby zabrać głos. Choćby pan Watts, gdyby akurat był obecny. Żołnierze najwyraźniej zapomnieli, gdzie znajduje się jego dom, albo po prostu sobie odpuścili. Wiedziałam, że Grace dostała gorączki, a pan Watts opiekował się nią, jak umiał najlepiej.

Drugą osobą, która mogła nas uratować, była moja mama. Tyle że ona nie mogła wydać książki – nie po spaleniu naszego dobytku. Doszło do tego, ponieważ zachowała milczenie podczas poprzedniej wizyty żołnierzy. Podobnie jak ona nie mogła przyznać się do posiadania książki, tak samo ja nie mogłam zdradzić jej sekretu i wskazać żołnierzom na matę mojego ojca.

W takich okolicznościach milczenie dużej grupy ludzi jest wyjątkowo krępującym doświadczeniem. Poczucie winy jest zaraźliwe. Rozprzestrzenia się na ludzi niemających żadnego powodu, aby odczuwać wyrzuty sumienia. Wiele osób wstrzymało oddech. Jak dowiedziałam się później, wiele osób, podobnie ja i mama, stało z zamkniętymi oczami. A zamknęliśmy oczy, aby przenieść się myślami gdzie indziej.

Pamiętam, że usłyszałam falę, która rozbiła się o brzeg, wydając zabawny odgłos. Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, żeby traktować ocean jako głupi, bezmyślny byt.

– Rozumiem – stwierdził pozbawionym entuzjazmu głosem oficer. Ktoś mógłby pomyśleć, że wolałby tego nie mówić. Ktoś mógłby pomyśleć, że to my zmusiliśmy go do działania, że to my postawiliśmy go w sytuacji bez wyjścia. Że to my ponosiliśmy za wszystko odpowiedzialność.

Należy oddać żołnierzom, że przystąpili do podpalania naszych chat ze stosowną powagą. Nie towarzyszyły temu dzikie okrzyki radości. Nie zaczęli strzelać w powietrze. Cała sytuacja przebiegła inaczej, niż należało

się spodziewać. Zupełnie inaczej. Sami mieliśmy podpalać swoje chaty. Oni ochlapali naftą drzwi i odsuwali się, robiąc miejsce dla właściciela, który miał cisnąć do środka zapaloną pochodnię. Mama uczyniła to, wiedząc, że egzemplarz *Wielkich nadziei* pana Wattsa przepadnie na zawsze.

Kiedy obserwowaliśmy płomienie trawiące nasze domy, mieliśmy poczucie, jakbyśmy żegnali się z jakąś częścią naszego życia. Już wtedy zaczęliśmy tęsknić za tymi skrawkami przestrzeni. Wcześniej nie zastanawialiśmy się nawet nad ich istnieniem. Teraz niektórzy z nas zrozumieli, czego musiał się wyrzec pan Watts. Ludzie zamykali oczy i przypominali sobie aromaty spożytych posiłków, zapachy z przeszłości, rozmowy (kłótnie, a zapewne także chwile, gdy podejmowali ważne decyzje życiowe), uroczystości – wszystko, co zdarzyło się pod ich dachem. Niektórzy z naszych sąsiadów mówili o utracie miejsca wypełnionego ciszą i bezruchem, których nic nie jest w stanie zastąpić. Spokój można znaleźć na morzu i pod wysokimi drzewami, ale dopiero teraz ludzie uświadomili sobie istnienie tego szczególnego typu spokoju, który może zapewnić tylko wewnątrz domu.

Poprzednio ogień pochłonał podarunki i ulubione rzeczy. Piłkę. Szczęśliwy haczyk. W moim wypadku: buty przysłane przez ojca. Pocztówki. Tym razem ludzie stracili swoją prywatność. Gdzie mieli się teraz podziać? Również ja się nad tym zastanawiałam.

Odkryłam, że najzwyczajniejszy dom może być spełnieniem marzeń. Można się przyzwyczaić do otwartego okna. Do otwartych drzwi. Pojęłam jednak wartość czterech ścian i dachu. Zapewniały swego rodzaju zamknięcie, a jednocześnie ucieczkę.

Obawiałam się o moje sekretne życie z Pipem. Czy odnajdę go ponownie pod drzewem albo na plaży? Obawiałam się, że otaczający mnie świat okaże się zbyt hałaśliwy i będzie wymagał zbyt dużego zaangażowania.

Spaliśmy przed dymiącymi ruinami domów. Przekonaliśmy się, że kiedy człowiek traci dom, ma poczucie, jakby został nagi. Z całego dobytku ocalały jedynie ubrania, które mieliśmy na sobie. Ale pewnych rzeczy nie da się spalić ani zastrzelić. Wciąż mogliśmy oddychać powietrzem. Wciąż mogliśmy znaleźć świeżą wodę w strumieniach. Mieliśmy owoce. Mieliśmy nasze ogródki. Pozostały nam nawet nasze świnie. Tak się szczęśliwie złożyło, że czerwonoskórzy żołnierze przeoczyli łódź ojca Gilberta. Jak zawsze spoczywała w wyschniętym łożysku strumienia. Kiedy zobaczyłam jej niebieski kadłub leżący ukośnie na kilu, poczułam, że w sercu podskakuje mi ryba. Rzuciliśmy się na sieci i osprzęt rybacki jak na dar losu. Były to niewielkie, ale ważne zwycięstwa w naszej walce o przetrwanie.

Ojciec Gilberta wyglądał na człowieka, który dopiero teraz pojął ogrom swojej odpowiedzialności. Był wybornym rybakim; wiedział, gdzie zarzucić sieci i gdzie można znaleźć w nocy ryby. Urodził się wyposażony w tego rodzaju szósty zmysł. Znał ryby lepiej, niż one same znały siebie, co okazało się niezwykle pomocne, ponieważ tylko w nocy mógł ryzykować wypłynięcie na połów. Gdyby natknął się na patrol czerwonoskórych, ci zastrzeliliby go na miejscu. Wiedzieliśmy o tym, ponieważ słyszeliśmy, że do takich sytuacji doszło w dalszej części wybrzeża.

Po dwóch dniach zgliszcza przestały dymić, a my stwierdziliśmy, że nic nie ocalało. Wkrótce z okolicy zaczęły dobiegać odgłosy maczet. Ludzie wyprawiali się do dżungli. Przynosili podłużne liście i długie ociosane gałęzie. Dwóch mężczyzn mogło przytaszczyć ciężką belkę.

W ciągu tygodnia wybudowaliśmy nowe chaty, choć nie tak porządne jak stare. Nie dysponowaliśmy płytami pilśniowymi ani drewnianymi podłogami, ale zrobiliśmy wszystko, co możliwe w tamtych okolicznościach. Spletliśmy i związaliśmy ze sobą gałęzie i liście. Każdy widział ptaka budującego gniazdo – my robiliśmy coś podobnego.

Szkoła była jednym z dwóch budynków, które ocalały. Wydawało się to dziwne. Zdaniem mamy wynikało to z faktu, że szkoła była własnością państwową. Czerwonoskórzy nie mieli powodu, aby ją niszczyć. Równie dobrze mogliby zniszczyć kawałek Moresby. Ocalał również dom pana Wattsa. I to nie dziwiło mamy: pan Watts był przecież biały. Czerwonoskórzy nie zamierzali narażać się białym. Port Moresby był uzależniony od różnych form pomocy docierających z Australii – nauczycieli, misjonarzy, ryb w puszkach, a nawet helikopterów, z których wyrzucano rebeliantów do morza.

Tym razem nikt nie pobiegł, aby podpalić dom pana Wattsa. Ludzie wiedzieli, że Grace ma gorączkę, ale, jak podejrzewam, pamiętali, że spalenie rzeczy pana Wattsa ani trochę nie poprawiło im humoru.

Zapewne również dlatego nikt nie zabronił dzieciom uczęszczać do szkoły.

Jedno się zmieniło. Nasza klasa liczyła połowę mniej uczniów. Niektórzy starsi chłopcy uciekli z wioski i przyłączyli się do rebeliantów. Jedna dziewczynka, Genevieve, która wcześniej była chyba najmniej ze wszystkich zainteresowana szkołą i *Wielkimi nadziejami*, razem z braćmi i siostrami wyniosła się do krewnych mieszkających w wiosce w górach.

Pan Watts rozpoczął od podziękowania nam za przybycie na zajęcia. Nie był pewien, czy sam zdoła przyjść. Pani Watts była bardzo chora. Ale ostatecznie zjawił się i on, i my – ktoś mógłby powiedzieć, jak za starych dobrych czasów. Niemniej utrata dobytku przez mieszkańców wioski oraz zagrabienie przez nich rzeczy państwa Wattsów zmieniło naszą relację w subtelny, choć zauważalny sposób. Odwracaliśmy wzrok, unikając patrzenia panu Wattsowi w oczy. On z kolei kierował swoje nieruchome spojrzenie w narożniki sufitu i tylną ścianę klasy. My trzymaliśmy głowy poniżej linii wzroku pana Watts'a i obserwowaliśmy jego dłonie. W jego słowach spodziewaliśmy się usłyszeć w końcu nutę rozczarowania.

– Wszyscy straciliśmy dobytek, a wielu z nas również domy – powiedział. – Straty te, choć tak dotkliwe, przypominają nam wszakże o tym, czego nikt nie może nam odebrać, a mianowicie o naszych umysłach i wyobraźni.

Daniel podniósł rękę.

– Tak, Danielu?

– Gdzie jest nasza wyobraźnia?

– Tam, Danielu.

Wszyscy odwróciliśmy się i zobaczyliśmy, że pan Watts wskazuje na drzwi.

– I tam.

Tym razem popukał się w bok głowy.

– Zamknij oczy – poradził Danielowi – i wypowiedz swoje imię tym głosem, który tylko ty możesz usłyszeć. Powiedz je tylko do siebie.

Od powrotu do szkoły siedziałam w ławce za Danielem, więc widziałam jego poruszające się policzki, gdy wymawiał bezgłośnie swoje imię.

– Znalazłeś ją, Danielu?

– Tak, proszę pana. Znalazłem.

– Spróbujmy wszyscy – polecił pan Watts. – Zamknijcie oczy i w milczeniu wymówcie swoje imię.

Dźwięk mojego imienia przeniósł mnie daleko w głąb głowy. Wiedziałam już wtedy, że za pomocą słów mogę się przenosić do innych światów, ale nie uświadamiałam sobie, że za sprawą tego pojedynczego słowa, które rozbrzmiewało teraz w moich uszach, znajdę się w pomieszczeniu, o którego istnieniu nie wiedział nikt inny. Matylda. Matylda. Matylda. Powtarzałam swoje imię raz za razem. Wymawiałam je na różne sposoby, coraz bardziej poszerzając pomieszczenie, do którego mnie prowadziło. Ma til da.

– I jeszcze jedno – powiedział pan Watts. – W ciągu całego waszego krótkiego życia nikt nie wypowiedział waszego imienia tym samym głosem, którym wy je wypowiadacie. Ten głos należy wyłącznie do was. To specjalny dar, którego nikt wam nigdy nie odbierze. Właśnie za pomocą takiego głosu nasz przyjaciel i kolega pan Dickens tworzył swoje opowieści.

Pan Watts przerwał i rozejrzał się po klasie, sprawdzając, czy nie mówi za szybko i czy za nim nadążamy.

Skinęłam głową, a on mówił dalej.

– Kiedy pan Dickens zasiadł w 1860 roku do pisania *Wielkich nadziei*, rozpoczął od zrobienia w głowie miejsca na głos Pipa. My postąpiliśmy tak samo. Znaleźliśmy w swoim wnętrzu małe pomieszczenie, gdzie nasz głos ma nieskażoną i żywą postać. Pan Dickens zamknął oczy i czekał, aż usłyszy pierwsze zdanie opowieści.

Pan Watts zamknął oczy, a my czekaliśmy, co się stanie. Musiał uznać, że może nam zrobić sprawdzian, ponieważ nagle otworzył oczy i zapytał, czy przypominamy sobie pierwsze słowa powieści. Wszyscy pokręciliśmy głowami. Wtedy on przypomniał sobie to zdanie w naszym zastępstwie. Zamknął ponownie oczy i wypowiedział fragment tekstu, który wrył mi się od tego czasu w pamięć równie mocno, jak moje własne imię. Zabiorę do grobu słowa, które pan Watts wtedy wyrecytował: *Nazwisko mojego ojca brzmiało Pirrip, a mnie dano imię Filip. Mój dziecinny język nie potrafił oddać wyraźnie tych dwu dźwięków i stapiał je w krótkie miano Pip. Nazwałem więc sam siebie Pipem i wszyscy zaczęli mnie tak nazywać* ⁴.

W innych okolicznościach jego opowieść o pomieszczeniach i głosach byłaby dla nas zapewne niezrozumiała, ale wspomnienie utraconych domów pomogło nam pojąć, że były schronieniem nie tylko dla naszego dobytku. Skrywały także nas samych, a kiedy leżeliśmy w nocy na matach, nikt nie mógł nas zobaczyć. Teraz pan Watts podarował nam nowe pomieszczenie, w którym mogliśmy się bezpiecznie zaszyć. Należało je tylko urządzić.

W tym celu pan Watts wyznaczył nam specjalne zadanie. Mieliśmy odzyskać *Wielkie nadzieje*.

Niektórzy z nas nie byli pewni, co rozumiał przez słowo „odzyskać”. A kiedy wszystko stało się jasne – dzięki pytaniu Daniela – wciąż mieliśmy wątpliwości, czy dobrze go zrozumieliśmy. *Wielkie nadzieje* spłonęły i nie istniała przecież możliwość odzyskania ich z popiołów. Pan Watts miał rzecz jasna na myśli co innego.

– Spróbujmy je sobie przypomnieć – zachęcał.

I właśnie tym się zajmowaliśmy – nie w ciągu kilku kolejnych godzin, ale przez wiele tygodni, a prawdopodobnie miesięcy. Odkąd ogień strawił mój ołówek i kalendarz, przestałam zawracać sobie głowę odmierzaniem upływu czasu. Dni zaczęły się ze sobą zlewać.

Pan Watts radził, abyśmy nie próbowali w jakikolwiek sposób porządkować rozmyślań. Nie mieliśmy odtwarzać historii chronologicznie ani nawet zgodnie z faktycznym przebiegiem zdarzeń, ale w takiej postaci, jaką przybierze w naszych głowach.

– Nie zawsze zdołacie przypomnieć sobie jakiś fragment w sprzyjającym momencie – ostrzegał. – Może to nastąpić w nocy. Jeśli tak się stanie, musicie go zapamiętać do czasu najbliższych zajęć w klasie. Wtedy się nim podzielicie i dodacie go do pozostałych. Kiedy zgromadzimy wszystkie fragmenty, złożymy je w jedną opowieść. Będzie jak nowa.

Już w przeszłości robiliśmy coś podobnego. W czasach gdy mieliśmy sieci i żyłki, dzieliliśmy się na plaży złowionymi rybami. Coś takiego mieliśmy teraz zrobić z *Wielkimi nadziejami*.

Tamtego dnia w klasie nie odzyskaliśmy zbyt wielu fragmentów. Mieliśmy trudność z zapanowaniem nad myślami. Wystarczyło wyjrzeć przez drzwi i zobaczyć nogala albo zapatrzeć się na siwe włoski w brodzie pana Wattsa, a taka przypadkowa myśl natychmiast przykuwała uwagę. Trudno myśleć o czymkolwiek innym, kiedy człowiek przypomni sobie smak nogala albo zaczyna rozważać, dlaczego pan Watts tak szybko się starzał.

Kiedy zaczęłam odnajdywać fragmenty *Wielkich nadziei*, nie mogłam się nadziwić, w jaki dziwnych miejscach się ukrywały. Zdarzało się to głównie nocą, kiedy odczuwałam potrzebę ucieczki do innego świata, ale zdarzały się i inne, niespodziewane okoliczności. Mogłam wpatrywać się w morze, nie rozmyślając o niczym konkretnym, aż tu nagle, zupełnie bez ostrzeżenia, towarzyszyłam Pipowi w drodze do Willi Satis, wypełnionej pajęczynami, mrokiem i zwróconej ku przeszłości.

Pamiętam, co wtedy czułam, jak bardzo leżał mi na sercu los Pipa. Nie podobał mi się sposób, w jaki odnosiła się do niego Estella, ani jak Sarah

Pocket drażniła go i zadręczała plotkami. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego Pip godził się na uszczypliwości ze strony obu dziewczyn i ani razu się nie odgryzł.

I wtedy się pojawiły. Dwa fragmenty. Pierwszy – decyzję miss Havisham o zatrzymaniu zegarów – zaniiosłam do klasy. Tak bardzo się bałam, aby go nie zapomnieć, że nie pozwalałam nikomu się do siebie odzywać. Odwracałam głowę na widok innych dzieci, przerażona, że mój fragment ustąpi miejsca innym myślom lub rozmowom. Zgodnie z zaleceniem pana Wattsa przechowywałam go w małym pokoju w głowie. Za zamkniętymi drzwiami. Nie byłam jednak pewna, jak wytrzymałe są owe drzwi ani co się zdarzy, kiedy zaczną się o nie obijać głosy innych ludzi.

Pan Watts zdradził nam w tamtym czasie pewien sekret. Celia podzieliła się akurat swoim fragmentem – była to scena, kiedy Pip wraca do domu po zanieśieniu pasztetu siostry Magwitchowi i natyka się w kuchni na uzbrojonego żandarma. Celia stwierdziła, że rozumie poczucie winy wypełniające serce Pipa, zastanawiało ją tylko, dlaczego doszła do wniosku, że policjant przyszedł aresztować Pipa. „Skąd wzięła się ta myśl?”, spytała. Jak to się stało, że w jej umyśle pojawiło się coś, czego nie było w książce?

Zawsze lubiłam Celię, ale od tamtego czasu zaczęłam ją podziwiać. Od dawna miałam przecucie, że musi istnieć ktoś jeszcze, kto ukochał tę książkę i aktywnie zamieszkuje opisany w niej świat. Głębia pytania Celi oznaczała, że również ona rozmyślała intensywnie o *Wielkich nadziejach*. A zapewne również o Pipie.

Pan Watts podziękował Celi i stwierdził, że jej spostrzeżenie pozwala nam lepiej zrozumieć, że równoległe ze słowami wydrukowanymi na stronie czytelnik tworzy własny świat.

– Dziękuję, naprawdę dziękuję – powiedział, a Celia rozpromieniła się z dumy.

Pan Watts zapytał o zdanie pozostałych uczniów.

– Co powinniśmy teraz zrobić z fragmentem Celi? Jak mamy go przechować, aby ponownie nie zaginął?

Rozpoczęła się dyskusja. W powietrze wystrzeliły ręce osób, które miały jakiś pomysł. Moglibyśmy znaleźć patyk i napisać wszystko na piasku – pomysł Daniela. Zapadła cisza. Rękę podniósł Gilbert. Moglibyśmy zapisać go w jakimś sekretnym miejscu. Ten pomysł spodobał się panu Wattsowi. Uniósł palec, abyśmy wszyscy skoncentrowali myśli na sugestii Gilberta.

– Sekretne miejsce to dobry pomysł. Tylko musiałyby być całkowicie bezpieczne – zastrzegł pan Watts.

Przyznaliśmy mu rację.

– To musiałyby być nasz sekret.

Było jasne, na który wyraz położył akcent. Zajrzał nam głęboko w oczy, a my dostrzegliśmy, jak poważnie traktuje tę sprawę. Doszłam do wniosku, że z naszym sekretem musi się wiązać jakieś zagrożenie.

– Nasz sekret – powtórzył.

Sięgnął do górnej kieszeni marynarki i wyjął zeszyt. Był złożony na pół, tak aby zmieścił się do kieszeni. Pan Watts rozprostował go na biurku, po czym uniósł w powietrze, aby każde z nas mogło go obejrzeć. Drugą ręką sięgnął do innej kieszeni i wyciągnął ołówek. Wiele lat później widziałam w telewizji iluzjonistę, który równie teatralnym gestem wyciągnął zza pazuchy białego królika. Wzbudził tym mój zachwyty, choć nawet w połowie nie tak wielki, jak ten wywołany pojawieniem się ołówka. Jeżeli ktoś przeżył to co my, słowo „zachwyty” nie jest przesadne. Wszyscy byliśmy ciekawi, jak panu Wattsowi udało się ocalić oba przedmioty przed spaleniem.

Uśmiechnął się, widząc nasze rozdziawione buzie.

– Jakże wielka odpowiedzialność na nas spada – stwierdził. – Wielka odpowiedzialność. Musimy dopilnować, aby najwspanialsze dzieło pana

Dickensa nie przypadło na zawsze. – Zaczął przechadzać się tam i z powrotem środkowym przejściem między ławkami. – Potraficie sobie wyobrazić, że coś przepada na zawsze? Pomyślcie tylko. Przyszłe pokolenia mogłyby wskazać na nas palcem i zarzucić nam, że nie zadbaliśmy o tę jedną rzecz, którą powierzono naszej pieczy.

Staraliśmy się przybrać wygląd odpowiedni do sytuacji. Dostojny. Poważny.

– No dobrze – pojął pan Watts. – Wasze milczenie uznaję za zgodę. Wpis numer jeden pochodzi od Celi.

Pan Watts poszedł do biurka, usiadł i zaczął pisać. W pewnej chwili podniósł wzrok. Uznaliśmy, że czegoś zapomniał, a Celia nawet wstała z krzesła. Pan Watts wrócił do pisania, a ona usiadła. Kiedy skończył, przyjrzał się swojemu dziełu.

– Mam nadzieję, że wszystko dokładnie zanotowałem – stwierdził. – Przekonajmy się.

Odczytał fragment. Celia oblała się rumieńcem. Natychmiast zorientowaliśmy się, że pan Watts dodał od siebie jedno zdanie albo dwa. Podniósł głowę i odszukał wzrokiem Celię. Ona pośpiesznie skinęła głową, a pan Watts udał uspokojonego.

Rozejrzał się w poszukiwaniu autora kolejnego fragmentu.

– Matyldo, co dla nas przygotowałaś?

Gdy odtworzyłam scenę, kiedy Pip zmierza do willi Satis, pan Watts uśmiechnął się pod nosem i jeszcze zanim skończyłam, pochylił się nad zeszytem.

Kiedy zaczęłam opowiadać drugi fragment, przerwał pisanie, podniósł głowę i odwrócił wzrok. Wyglądał na strapionego, jakby nagle opuściła go cała pewność siebie. Uznałam, że zapewne niedokładnie odtworzyłam scenę z książki.

– Estella bez skrupułów drażni Pipa – powiedział w końcu. – To ważny aspekt ich znajomości. Pip kocha to, czego nie może mieć.

Przerwał, odsunął się na krześle i zwrócił wielkie oczy ku gekonom, które jak sparaliżowane siedziały na suficie. Gwałtownie poderwał się z krzesła i podszedł do drzwi. Wyjrzał na skapaną w oślepiającym słońcu zieleni.

Co tam dostrzegł? Dokąd podążyły jego myśli? Do Londynu? Australii? Ku jego białemu plemieniu? Domowi?

Pokiwał głową, jakby dostrzegł to, czego szukał. Obrócił się gwałtownie w naszą stronę, a jego spojrzenie podążyło od razu w moją stronę.

– Potrzebne nam są słowa, Matyldo. Musimy sobie przypomnieć, co Estella faktycznie mówi do Pipa.

Dzieci siedzące w ławkach z przodu klasy odwróciły się w moją stronę. Wraz z panem Wattsem czekały, aż przypomnę sobie słowa wypowiedziane przez Estellę. W umyśle miałam pustkę. Nie potrafiłam powtórzyć tego słowa w słowo, a kiedy inni zrozumieli, że pamięć mnie zawodzi, rozczarowani kolejno odwracali głowy. Czekaliśmy, aż pan Watts wróci do swojego biurka. Wyglądał jak człowiek strapiony złymi wieściami.

– Powinienem był was ostrzec – powiedział – że właśnie ten element zadania sprawi nam największą trudność. Ale jest to element ważny. Musimy z całych sił próbować odtworzyć słowa wypowiedziane przez bohaterów. – Wyglądał, jakby niespodziewanie przyszła mu do głowy inna myśl. – Choć jeśli uda nam się odtworzyć sedno wypowiedzi bohaterów, to już będzie coś.

Sedno. To słowo wymagało wyjaśnienia. Pan Watts poradził sobie z tym w następujący sposób.

– Wypowiadając słowo „drzewo”, ja będę miał na myśli angielski dąb, a wy palmę. Dąb i palma są drzewami i każde z nich równie dobrze wyraża istotę drzewa. Mimo że są różnymi drzewami.

A więc takie było znaczenie „sedna”. Mogliśmy wypełniać luki własnymi światami. Gilbert podrapał się po głowie, po czym zdecydował się podnieść rękę.

– A co z drzewem kanoe?

Było jasne, że pan Watts nie wie dokładnie, co to jest drzewo kanoe.

– A jak się ono nazywa, Gilbercie?

– Po prostu drzewo kanoe.

Pan Watts postanowił zaryzykować.

– Drzewo kanoe też się nadaje.

Gilbert usiadł zadowolony.

Korzystanie z „sedna” miało być ostatnią deską ratunku. Rozumiałam intencje pana Wattsa. Zależało mu, abyśmy przypominali sobie faktyczne dialogi. Ale im usilniej próbowałam odtworzyć okrutne słowa, którymi Estella zwracała się do Pipa, tym bardziej mi się one wymykały. Codziennosc nieustannie mi przeszkadzała i niweczyła próby sięgnięcia w głąb pamięci.

Mama odłożyła na bok poczucie winy i odzyskała głos. Zupełnie jakby chciała nadrobić stracony czas, nieustannie oddawała się swojej ulubionej rozrywce, czyli upokarzaniu pana Wattsa. Czyli Wytrzeszcza, jak znów go nazywała.

Wytrzeszcz. W imieniu tym zawierała całą pogardę, jaką do niego żywiła. Wytrzeszcz był człowiekiem, który stoi pod palmą kokosową i nie wierzy, że spadają z niej kokosy, dopóki któryś nie trafi go w głowę. Przy pierwszej nadarzającej się okazji zje samogłowa. Durny gnojek. Czy ten twój pan Watts potrafi rozpoznać szkaradnicę? Jego ignorancja czyni go niebezpiecznym. Dlaczego chcesz, Matyldo, mieć tak bezrozumnego, niebezpiecznego człowieka za nauczyciela? To dowód szaleństwa, które ogarnia świat. Czy ten twój pan Watts potrafi zbudować dom? Czy potrafi

wypłynąć o świcie na rafę i podkraść się do ławicy papugoryb? Pan Watts i jego żona nie potrafiliby przeżyć, gdyby inni ludzie ich nie karmili. Sam jest nikim.

W przeszłości poszłabym sobie, słysząc tego rodzaju atak na pana Wattsa – teraz słuchałam. W jej drwinach pobrzmiwała mi Estella. Podążałam za nią niczym wyleniały pies za ochłapami. Podążałam za nią z naszej prymitywnej chatki do ogrodu i nad strumień, aż zaczynała mnie odpędzać. Miotła przekleństwami. Że jestem jak moskit. Jak rzep na psim ogonie.

– Co z tobą, dziewczyno? Pobawiłabyś się lepiej z własnym cieniem, a nie zawracała mi głowę.

Większość jej słów spływała po mnie bez jakiegokolwiek efektu, ale to ostatnie zdanie utkwilo mi w pamięci. „Pobawiłabyś się lepiej z własnym cieniem, a nie zawracała mi głowy”. Uśmiechnęłam się. Chciałam podziękować, ale nie wiedziałam jak. Podeszłam, aby ją uścisnąć, ale pojęła mój zamiar i cofnęła się o krok. Uniosła ręce, jakbym zamieniła się w demona. Milczałam, aby zdanie nie uciekło mi z ust, wypchnięte przez inne słowa. Czułam się jak ptak trzymający w dziobie robaka.

Pobiegłam do domu pana Wattsa. Nie zamierzałam pozwolić, aby fragment ulotnił mi się z pamięci. Minęłam budynek szkoły i ruszyłam na wpół zarośniętą ścieżką. Jednym z generalnych zarzutów kierowanych pod adresem pana Wattsa było to, że nie dba o swoją posiadłość. Nie tylko moja mama tak myślała. Mnie z kolei przyszło do głowy, że skoro wszystkie pozostałe domy zostały doszczętnie spalone, być może podejście pana Wattsa świadczyło o jego mądrości.

Czułam się trochę jak Pip zbliżający się do willi Satis. Podobnie jak on byłam zdenerwowana, ale Pip przynajmniej został zaproszony przez miss Havisham. Miałam nadzieję, że pan Watts nie pogniewa się za tak niespodziewane najście. Uznałam, że jest to mało prawdopodobne,

zważywszy na wielką wagę naszego zadania. A nawet jeśli, przestanie się gniewać, kiedy usłyszy mój fragment.

Dom pojawił się w zasięgu wzroku. Zwolniłam, ponieważ na widok drewnianych schodów i drzwi oraz drewnianego dachu ogarnęły mnie wspomnienia. Były to piękne ślady zewnętrznego świata.

Weszłam po schodach na małą werandę i zajrzałam przez otwarte drzwi, za którymi znajdowało się przestronne pomieszczenie. Okiennice po tej stronie domu były przymknięte, a przez drewnianą podłogę ciągnął się pofalowany snop światła. W kącie pomieszczenia dostrzegłam panią Watts. Leżała na macie. Większą część jej sylwetki zasłaniał pan Watts, który klęczał u boku chorej żony. Głaskał ją po głowie i przecierał jej czoło zmoczoną szmatką.

Spojrzałam pożądlivym wzrokiem na dwa wiatraki: jeden wiszący na suficie, drugi stojący. Żaden oczywiście nie działał. Na znajdującej się w oddali ławce dostrzegłam dużą puszkę peklowanej wołowiny. Nie potrafiłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziałam puszkę wołowiny czy w ogóle jakąkolwiek puszkę z jedzeniem. Tak czy inaczej, nie przyszłoby mi wtedy do głowy, że pewnego dnia tak prozaiczny przedmiot stanie się dla mnie symbolem nadziei na lepszą przyszłość.

Opanowałam w sobie poczucie zaskoczenia i weszłam do środka. Nie zdołałabym ani chwili dłużej zachować milczenia. Drzwi do pomieszczenia z moim fragmentem otworzyły się na oścież.

– Pobawiłabyś się lepiej z własnym cieniem, a nie zawracała mi głowy – wypaliłam.

Pan Watts powoli odwrócił głowę, a ja natychmiast zrozumiałam, że nie powinnam była tam przychodzić. Nie ucieszył się na mój widok tak bardzo, jak sądziłam, a wypowiedziane zdanie nie zrobiło na nim takiego wrażenia, jakiego oczekiwałam. Wpatrywał się we mnie pytającym wzrokiem.

– To sedno – powiedziałam. – Tego, co Estella mówi do Pipa.

Byłam przyzwyczajona, że pan Watts reagował na niektóre pytania milczeniem i podchodził do otwartych drzwi klasy, jakby wszelkie odpowiedzi można było znaleźć na zewnątrz. Stał wtedy w progu, rozważając, czy na podstawie tego, co tam zobaczył, może potwierdzić kolejny z naszych szalonych domysłów.

Czekałam zatem cierpliwie, aż wreszcie – jak się zdawało, wielkim wysiłkiem woli – zebrał się w sobie na tyle, aby przemienić się w nauczyciela, którego znałam.

– Myślę, że to zdanie oddaje istotę rzeczy, Matyldo.

Na chwilę zatrzymał spojrzenie na suficie.

– Tak... myślę, że oddaje.

Dopiero wtedy zauważyłam powagę pobrzmiewającą w jego głosie, choć nadal nie dostrzegałam przepełniającego go smutku. Potrafiłam jedynie odczuwać zawód z powodu mało entuzjastycznej reakcji. Zatrzymał na mnie wzrok, jakby czekał na więcej.

– Nie chciałabyś tego zapisać, Matyldo?

Spojrzał w bok, gdzie na wieszaku wisiła jego biała marynarka. Kiedy zobaczyłam ją z bliska, wiszącą luzem, a nie na panu Wattsie, dostrzegłam, jak bardzo była zszargana. Niemal świeciła się od brudu. Podszewka była oślizgła w dotyku. Znalazłam zeszyt i ołówek. Uklękłam na podłodze.

Niezdarnie chwyciłam ołówek. Wyszłam z wprawy. Pierwsze litery rozjeżdżały się na wszystkie strony.

Pan Watts musiał chyba uznać, że zapisanie fragmentu zabiera mi zbyt wiele czasu, ponieważ zawołał:

– Kiedy skończysz, Matyldo, włóż, proszę, zeszyt z powrotem do kieszeni marynarki. Ołówek też.

Spojrzałam w stronę, z której dobiegł zmęczony głos. Nie widziałam oczu pani Watts, ponieważ przykrywała je dłoń pana Wattsa. Skończyłam

pisać mój fragment, odłożyłam zeszyt i ołówek w bezpieczne miejsce i wyszłam, ostrożnie zamykając za sobą drzwi.

Nie powiedziałam mamie o wizycie w domu Wattsów. Uznałaby to za zdradę, a ja, choć uważałam się za stronnickę pana Watta, nie chciałam drażnić mamy. Znałam granice i starałam się ich nie przekraczać.

Czasami dostrzegałam w niej osobę o imieniu Dolores – samoistnego człowieka, a nie tylko matkę.

Pewnego ranka natknęłam się na nią na plaży; stała tam samotnie, wpatrując się w morze. Po nieruchomych ramionach rozpoznałam, że czegoś wypatruje. Być może owo coś unosiło się na fali nadziei wzbierającej w jej wnętrzu, a nie na wielkim, niepoznanym niebieskim oceanie, który odgradzał nas od świata zewnętrznego.

Ów zewnętrzny świat przybyłby nam może z pomocą, gdybyśmy umierali z głodu. Stalibyśmy się przedmiotem misji charytatywnej. Ale było inaczej. Mieliśmy jedzenie. Pozostały nam ogrody, owoce, a o ryby nie musieliśmy się martwić, dopóki nikt spoza wioski nie wiedział o istnieniu łodzi ojca Gilberta.

W końcu ludzie zrezygnowali nawet z utrzymywania tajemnic. Rodzice przestali taić przed nami wieści, które do nich docierały. Przestało im zależeć. Dyskrecja wymagała wysiłku, a jaki w tych okolicznościach miałby wynikać z niej pożytek? Nie mieliśmy nic, nawet perspektyw na lepsze jutro. W praktyce żyliśmy tak, jak opisani w Biblii pierwsi ludzie na ziemi.

Każdy prał swój jedyny komplet ubrania i czekał nago, aż wyschnie na słońcu. Poruszaliśmy się boso. Przez dach naszej chaty widać było gwiazdy i słońce; przepuszczał również bardziej intensywne deszcze. W nocy leżeliśmy na łożu z piasku przyniesionego z plaży w dłoniach. Mimo to nie

cierpieliśmy na zimno ani przesadną niewygodę. Najtrudniejsza do zniesienia była nuda, jaka ogarniała nas w nocy.

Biblia w pidżyn mamy spłonęła, więc kiedy ja próbowałam nocami przywoływać w pamięci fragmenty *Wielkich nadziei*, ona robiła to samo ze swoim Pismem Świętym. W ciemności słychać było jej mamrotanie, więc musiałam się odsuwać i zakrywać dłonią ucho, aby skoncentrować się na własnych poszukiwaniach.

Łatwiej szło nam w klasie. Kiedy ktoś zaprezentował swój fragment, niemal zawsze przypomiąłam sobie inny, sąsiadujący z tamtym. Inni zaobserwowali u siebie ten sam mechanizm. W miarę gromadzenia coraz większej liczby fragmentów książki stało się jasne, że Wiktor, Gilbert, Mabel, a nawet Daniel rozmyślali o *Wielkich nadziejach* równie często, jak ja.

Kiedy pan Watts odczytał mój fragment opisujący przybycie Pipa do domu miss Havisham, Gilbert niespodziewanie przypomniał sobie pana Pumblechooka. Określił go mianem ropuchy, a imię Pumblechook przypomniała sobie dopiero Wiktor. Chwilę potem jak szalona zaczęła wymachiwać ręką Violet. I ona sobie coś przypomniała. Czy to przypadkiem nie pan Pumblechook zabrał Pipa do ratusza, gdzie chłopiec został oddany do terminu u kowala Joego Gargery'ego? Pan Watts uśmiechnął się od ucha do ucha, uradowany naszymi postępowaniami. W klasie zapanował entuzjastyczny gwar. Pan Watts musiał czasami podnosić rękę, aby nas uspokoić, kiedy sam zapisywałam nowy fragment w zeszycie. Pod każdym wpisem umieszczałam imię autora.

Leżałam w ciemności, próbując odgadnąć źródło dźwięków. Zachrypnięte nawoływanie kukułeczki jarzębatej. Leniwy chlupot morza – znacznie głośniejszy nocą niż za dnia. Dziwny przenikliwy dźwięk przebijający spod smętnego rechotu żab. Trzepnięcie w ucho jakiegoś niesforenego, a może po

prostu niemogącego zasnąć dziecka. Niski, rżący śmiech starego mężczyzny. Bezsensowność mojej mamy.

– Hej, Matyldo? – To nie był nawet szept. Chciała mnie obudzić. – Słuchaj – powiedziała i tym razem poczułam jej oddech na twarzy. Potrząsnęła mnie za ramię. – Muszę ci coś powiedzieć.

Zastanawiałam się, jak zareagować. Akurat nie spałam, ale stwierdziłam, że wygodniej będzie udawać pogrążoną we śnie. Rozmyślałam o wizycie pana Jaggersa w położonej przy bagnach wiosce Pipa. Próbowałam zrekonstruować uczucia chłopca, kiedy dowiedział się o szczęściu, jakie go spotkało. Już prawie sobie wszystko przypomniałam, ale mama odezwała się ponownie, a jej słowa zburzyły konstrukcję, którą zbudowałam sobie w umyśle.

– Pewnie już słyszałaś. Grace Watts nie żyje.

O porze tak wczesnej, że nawet ptaki nie zdążyły się obudzić, usłyszałam tupot męskich stóp obok naszej chaty. Był to ojciec Gilberta i jeszcze inny, starszy mężczyzna. Widziałam ich plecy, kiedy znikali za budynkiem szkoły.

Na górskim zboczu wykopali grób dla pani Watts. Nie mieli łopat. Ziemię zmiękczały patykami i maczetami, a później wybierali ją rękami i złamanym wiosłem.

Kiedy nadszedł czas pogrzebu, wszyscy – dzieci, starcy, każdy, kto tylko mógł chodzić – udali się na wzgórze, aby wesprzeć pana Wattsa. Pamiętam delikatny odgłos stóp i milczenie żałobników. Pamiętam wilgotne, pachnące lasem powietrze i plusk górskich potoków wpadających do jeziorzek lśniących w promieniach słońca. Świat nie przystanął ani na chwilę.

Mogliśmy się swobodnie wpatrywać w naszego nauczyciela. Nie było dla nas zagadką, o czym myśli i co czuje, ponieważ pan Watts nie odrywał wzroku od dziury w ziemi. Miał na sobie garnitur i białą koszulę, w której

go zawsze widywałam. Różnica polegała na tym, że ją wyprał i założył, zanim zdążyła całkowicie wyschnąć. Mokra bawełna przylepiła się w niektórych miejscach do klatki piersiowej, tworząc różowe placki. Pod szyją zawiązał zielony krawat, który widzieliśmy po raz pierwszy. Miał skarpetki i buty. Na twarzy był bardzo blady. Jego długa broda odłączyła się od podbródka, kiedy pochylił głowę nad panią Watts.

Leżała zawinięta w matę uplecioną przez kilka kobiet. Zauważyłam, że Gilbert przeszedł obok głowy pani Watts, próbując podejrzeć, jak wygląda. Szybko odwrócił wzrok, kiedy zauważył, że na niego patrzę. Malujący się na mojej twarzy gniew nie był właściwie przeznaczony dla Gilberta. Byłam zła na siebie.

Dręczyła mnie myśl, że pani Watts już nie żyła, kiedy wpadłam do ich domu. A jeśli była martwa, kiedy klęcząc na podłodze, z dumą wpisywałam swój fragment do zeszytu pana Wattsa? Ogarnął mnie wstyd na myśl, że byłam rozczarowana brakiem pochwał. Biedny pan Watts. Podniosłam wzrok i zobaczyłam, że Gilbert mówi coś do mnie, bezgłośnie poruszając ustami.

Rozejrzałam się po uczestnikach pogrzebu. Twarze mężczyzn były mokre od potu. Kobiety spoglądały z niepokojem na ciało pani Watts. Nikt nie zwrócił uwagi na małą gałązkę, która odpadła z korony drzewa i zleciała na ziemię. Mogła nam co najwyżej przypomnieć, że należało coś powiedzieć. Moja mama oświadczyła, że chce odmówić modlitwę za Grace. Wyrecytowała Modlitwę Pańską, choć w pewnym momencie się pogubiła. Zamknęła oczy, przygryzła wargę i usilnie szukała w pamięci brakujących wersów. W końcu je sobie przypomniała.

Cisza musiała być nie do zniesienia, ponieważ pan Masoi poprosił mamę, aby jeszcze raz odmówiła modlitwę. Tym razem wyrecytowała ją do końca z otwartymi oczami. Pan Watts skinął głową i wypowiedział bezgłośnie „dziękuję”.

Pani Siep przypomniała słowa: *Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz*, ale zaraz przerwała. Zapadło milczenie. Czekaliśmy ze zwieszonymi głowami, aż odezwała się ponownie: *Ziemia była zupełnym pustkowiem, ciemność... wszędzie*. Znów zgubiła wątek. Pan Watts chciał skinąć głową w podzięcie, ale mu przerwała.

– Zaraz. Chwileczkę! – niemal krzyknęła. Wszyscy spojrzeliśmy na nią z wyrzutem; jak śmiała podnosić głos nad ciałem zmarłej? – Nie – dodała ciszej, opuszczając rękę. – Chciałam powiedzieć coś innego. Chciałam powiedzieć...

Przerwała w oczekiwaniu, aż pan Watts podniesie posmutniałą, bladą twarz.

– Znałam Grace, kiedy była mała. Taka mała. – Opuściła dłoń na wysokość kolana. Pani Siep odszukała wzrokiem mamę.

– Wszystkie chodziłyśmy do jednej szkoły – powiedziała.

– Z zakonnkami. Niemieckimi zakonnkami – dodała inna.

– Panie Watts... – wtrąciła mama Mabel. – Twoja Grace była najmądrzejsza ze wszystkich dziewcząt.

– Dziękuję – wymruczał pan Watts.

– Ja znałem jej matkę – włączył się jeden z mężczyzn. – Również była piękna...

Mężczyzna podniósł wzrok. Wyraźnie miał przed oczami dawne wspomnienie kobiecego piękna.

Inni również zaczęli się odzywać. Dzielili się z panem Wattsem skrawkami pamięci. Powstał z nich obraz jego zmarłej żony, a on poznawał dziewczynę, której nigdy nie spotkał. Dziewczynę, która dłużej niż ktokolwiek inny potrafiła wytrzymać pod wodą. Dziewczynę, która rozmawiała z zakonnkami po niemiecku. Dziewczynę, która się pewnego razu zgubiła. Wszędzie jej szukali, a gdzie znaleźli? Zwiniętą w kłębek pod kadłubem łodzi. Małego, pulchnego kraba, który lęka się słońca. Ktoś

wypowiedział te słowa i wszyscy zaczęliśmy się śmiać, aż w końcu przypomnieliśmy sobie, że uczestniczymy w pogrzebie.

Zaczęły nam się przypominać sprawy ważne i błahe. Pana Wattsa interesowały nawet te najdrobniejsze. Dowiedział się, jakiego koloru wstążki jego zmarła żona wplatała sobie we włosy, kiedy jako dziewczynka szła do szkoły. Usłyszał opowieść o tym, jak straciła przedni ząb. Leżała na brzuchu na kanoe, wyobrażając sobie, że jest rybą. Nagle dziób łodzi podskoczył i uderzył ją w wargę. Dowiedział się, jaka była dumna z pierwszej pary butów. Tak dumna, że nosiła je wszędzie ze sobą, chociaż wolą chodź boso.

Pan Watts odchylił się do tyłu i otworzył szeroko usta. Sądziłam, że wybuchnie śmiechem. Wszystkie dzieci miały nadzieję, że tak się stanie. Ostatecznie poprzestał na uśmiechu. Przynajmniej popatrzył w górę. Uznaliśmy to za pierwszą oznakę poprawy. Zaraz potem zawiesił wzrok na koronach drzew, nie przejmując się, że ludzie zobaczą jego załamane oczy.

Wcześniej miałam poczucie, że pan Watts najchętniej dołączyłby do swojej zmarłej żony, ale teraz wydawał się zadowolony z naszego towarzystwa. Zwłaszcza kiedy usłyszał wspomnienia o Grace. Zupełnie jakbyśmy podsyłali w nim ogień, dorzucając kolejne drewnianki. Zależało nam, aby ten delikatny uśmiech nie zniknął z poblądłej twarzy.

Pan Masoi przypomniał sobie, jak pewnego razu Grace pędziła plażą, zalewając się łzami. Trzymała przed sobą uniesiony palec z haczykiem wbitym w skórę. Daniel, którego nie było jeszcze wtedy na świecie, klasnął w dłonie i powiedział, że on również pamięta panią Watts jako małą dziewczynkę.

– Wspinała się na drzewo, a ja wspinałem się za nią.

Spojrzeliśmy wszyscy na pana Wattsa, ciekawi jego reakcji.

– Dziękuję, Danielu – powiedział. – Dziękuję za to urocze wspomnienie.

Tymi samymi słowami dziękował pozostałym.

Ludzie opowiadali kolejne historie, aż wreszcie pan Watts podniósł rękę i powiedział:

– Dziękuję wam wszystkim. Dziękuję za miłe słowa. Za wszystkie wspomnienia. Najdroższa Grace... Teraz będzie wiedziała, że była kochana.

Przerwał, a ja sądziłam, że chciał powiedzieć „mimo wszystko”. Odkąd sięgałam pamięcią, Grace nie była uznawana za mieszkańca wioski. Żyła z białym mężczyzną, człowiekiem, którego nasi rodzice nie darzyli specjalną sympatią. Poza tym ich niechęć budził widok, kiedy stała na wózku ciągniętym przez pana Watta z czerwonym nosem klauna. Nie rozumieliśmy, dlaczego to robili ani co to oznaczało. Najłatwiej było uznać, że pani Watts oszalała.

Moja mama zachowała swoje wspomnienie na sam koniec. Nie chciała się nim dzielić nad otwartym grobem przy ludziach. Opowiedziała tę historię tylko mnie, co nastąpiło tego samego dnia wieczorem, kilka godzin po pogrzebie. Leżała na plecach, mówiąc w stronę prowizorycznego dachu, który odgradzał nas od nocy.

– Grace była najmądrzejsza z nas wszystkich, Matyldo. Wciąż podnosiła rękę. Była diabelnie mądra. Wydawało się, że wie wszystko, zanim jeszcze ktoś jej o tym powiedział. Są tacy ludzie na świecie. Rodzą się ze słownikiem w głowie. Albo encyklopedią. Albo sześcioma językami. Nie wiem, jak to się dzieje, ale tak jest. Byliśmy szczęśliwi, kiedy Grace dostała stypendium w Australii. Napawało nas to dumą, ponieważ Grace miała pokazać białemu światu, jak mądre potrafi być czarne dziecko. Poszła do szkoły średniej w Brisbane. Później usłyszeliśmy, że uczy się w szkole dentystycznej w Nowej Zelandii. Miała wrócić na wyspę i dbać o nasze zęby. Z jakimż wytęsknieniem czekaliśmy na ten dzień. Ale kiedy w końcu wróciła, była inną osobą.

Mama przerwała, a ja zrozumiałam, że „inną” nie oznaczało „lepszą”. Sądziłam, że przez grzeczność nie chce powiedzieć nic więcej, ale milczenie oznaczało jedynie, że przypomina sobie bolesne wydarzenia z przeszłości.

– Oświadczyła, że nie potrafi naprawić naszych zębów. Przerwała naukę. Zamiast dentystki dostaliśmy Wytrzeszcza. Wykorzystała stypendium do złowienia białego mężczyzny. Nie wiedzieliśmy, jak z nią rozmawiać. Nie wiedzieliśmy, jak się do niej odnosić. I powiem ci coś jeszcze, Matylde. Nie wiedzieliśmy, jak bardzo Grace była chora. Nie byliśmy nawet pewni, czy jest czarna, czy biała. I tyle. Ponieważ Grace nie żyje, to wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat.

Rozległ się głuchy odgłos – to dłoń mamy opadła na ziemię. Kilka sekund później usłyszałam jej głęboki oddech. Zasnęła.

Nie wiedziałam, jak długo pan Watts będzie pogrążony w żałobie. Niektórzy sądzili, że już nigdy nie opuści domu i podobnie jak miss Havisham spędzi resztę życia, przeżywając ciągle na nowo tę samą chwilę. Ku mojemu zaskoczeniu trzy dni później pan Watts wysłał Gilberta, aby mnie odszukał i zapytał, dlaczego nie przyszedłam do szkoły.

W klasie pan Watts odczekał, aż wszyscy usiądą w ławkach. Uśmiechnął się szeroko, jakby chciał pokazać, że dla niego żałoba się zakończyła. Kiedy zajęliśmy miejsca, uniósł palec.

– Pamiętacie scenę, kiedy Pip spotyka wyjątkowo nieuprzejmą Sarę Pocket przy bramie domu miss Havisham? – spytał i rozejrzał się po sali, szukając potwierdzenia. – Jestem pewien, że pamiętacie. Miss Havisham w dość okrutny sposób informuje Pipa, że Estella wyjechała za granicę, aby zdobyć wykształcenie i zostać damą. Wszyscy darzą ją tam uwielbieniem, mówi biednemu Pipowi. A kiedy widzi, że chłopak jest zdruzgotany, pyta, czy ma poczucie, że stracił Estellę.

Kiedy pan Watts mówił, zawsze przestawaliśmy łobuzować i słuchaliśmy go w milczeniu. Wtedy w klasie zaległa jeszcze bardziej dojmująca cisza. Byliśmy naprawdę cicho.

Przypominaliśmy myszkę nasłuchującą odgłosów dreptania kota. Domyśliliśmy się, że pan Watts mówi o swojej żonie. Gniew pobrzmiewający w jego głosie miał wyrażać solidarność z cierpieniem Pipa, ale źródło miał w jego osobistej stracie. Pan Watts wykraczał poza żałobę. Na naszych oczach następowało swoiste przebudzenie. Zamrugał i wyglądał na zadowolonego, że nas widzi.

– Jakie inne fragmenty pamiętamy?

Ręce wystrzeliły w górę. Moja również. Wszyscy chcieliśmy odwrócić jego uwagę od śmierci pani Watts.

Przez kilka następnych dni pracowaliśmy intensywnie, odtwarzając skrawki zaginionego świata. Chodziliśmy po wiosce z półprzymkniętymi oczami. „Co, u licha, dzieje się z wami, dzieci? Słońce was razi?”, pytały matki. Oczywiście nie powiedziałam mamie o naszym projekcie. Niemal na pewno stwierdziłaby: „To wam nie pomoże w złowieniu ryby ani obraniu banana”. I miałyby rację. Ale my nie zamierzaliśmy przecież łowić dzięki temu ryb ani obierać bananów. Postawiliśmy sobie znacznie poważniejszy cel. Zamierzaliśmy stworzyć sobie nowe życie.

Jakby tego było mało, pan Watts w taki sposób formułował nasz cel, że wyprostowywaliśmy się z wrażenia na krzesłach. Naszym obowiązkiem było ocalenie najwspanialszego dzieła pana Dickensa. Pan Watts również zaangażował się w to przedsięwzięcie, a jego wkład, rzecz jasna, przewyższał nasz.

Stanął przed nami i wyrecytował: *Pip ma zostać wychowany na dżentelmena, innymi słowy na młodzieńca o wielkich nadziejach*⁵.

Usłyszeliśmy w tych słowach Dickensa. Poczuliśmy przyływ radości. Na brodatej twarzy pana Wattsa pojawił się szeroki uśmiech. Wyciągnął na powierzchnię nienaruszony fragment. Słowo w słowo. Dokładnie tak jak je napisał pan Dickens, a nie w postaci naszych na wpół zapamiętanych, na wpół zrekonstruowanych fragmentów. Rozejrzał się po naszych zachwyconych twarzach.

- Pamiętacie, kto to powiedział?
- Pan Jagers – stwierdził Gilbert.
- Pan Jagers, który był...?
- Prawnikiem!

Udzielona chórem odpowiedź wzbudziła kolejny uśmiech na twarzy pana Wattsa.

– Zgadza się – przytaknął. – Pan Jagers, prawnik.

Zamknęłam oczy i ułożyłam sobie te słowa w głowie. *Pip ma zostać wychowany na dżentelmena, innymi słowy na młodzieńca o wielkich nadziejach.* O dziwo, potrafiłam odtworzyć całe zdanie. Wyciągnęłam rękę, aby zwrócić na siebie uwagę pana Watta.

– Tak, Matyldo?

– *Skończyło się marzenie*⁶.

Pan Watts oddalił się w stronę drzwi. Wydawało się, jakby w nieskończoność rozważał to, co powiedziałam. W końcu pokiwał głową, a ja odetchnęłam z ulgą.

– Tak – stwierdził. – Tak. Myślę, że masz rację. Czy ktoś pamięta następny fragment tekstu? Pan Jagers wylicza warunki. Po pierwsze, Pip musi zawsze używać imienia Pip. Po drugie, nazwisko darczyńcy pozostanie na zawsze tajemnicą.

Daniel podniósł rękę, ale pan Watts od razu domyślił się, o co chce zapytać.

– No tak. Znow ten darczyńca. To taka osoba, która utrzymuje inną lub daje coś innej osobie.

– Na przykład drzewo? – spytał Daniel.

Pan Watts pokręcił głową.

– Wiem, Danielu, że miałeś zapewne na myśli olej palmowy, ale chyba wprowadzilibyśmy niepotrzebne zamieszanie, podążając dalej tym tropem. Ograniczmy się do stwierdzenia, że darczyńca to ktoś, kto daje innej osobie pieniądze i sposobność...

Nie musieliśmy nawet nic mówić.

– Sposobność. Szansa – wyjaśnił pan Watts. – Okno się otwiera i ptak wylatuje na wolność.

Zaczęliśmy na różne nowe sposoby odmierzać upływ czasu. Mogliśmy odliczać dni od momentu, kiedy czerwonoskórzy zmusili nas do podpalenia domów. Mogliśmy odliczać dni od pierwszego ogniska, które pochłonęło nasz dobytek. Ci, którzy przeżyli jeszcze większą tragedię, odliczali dni od czasu, gdy ich dziecko zmarło na malarię. Niektórzy do końca życia przeżywali ten dzień wciąż na nowo.

Przy odpowiednio dużym wysiłku potrafiłam dość dokładnie umiejscowić w przeszłości dzień, kiedy po raz ostatni widziałam ojca. Stał na skraju pasa startowego, wpatrując się w niewielki biały samolot. Miał chyba poczucie, że on i jego wysłużona walizka zupełnie do niego nie pasują.

Mama wspominała o tacie sporadycznie. Być może uważała, że tak będzie łatwiej – jej i mnie. Nie wątpię, że o nim myślała, i to częściej niż o utraconej Biblii, której fragmenty próbowała sobie przypomnieć. Wspominała o nim na głos tylko wtedy, kiedy działo się coś niedobrego. Służył za punkt odniesienia: „Co by powiedział twój ojciec, gdyby to zobaczył?”, pytała.

Kiedy pan Watts przypomniał moment odmiany losu Pipa, zdałam sobie sprawę, że jakiś człowiek pokroju pana Jaggersa musiał wkroczyć w życie mojego ojca. Usłyszał o człowieku poszukującym pracy w kopalni miedzi i potrafiącym obsługiwać sortowniki oraz traktory. Ciężarówki wspinające się serpentynami na górę Panguna transportowały ładunki między kopalnią a kanałem odpływowym. Właśnie na tym odcinku pracował ojciec: dowoził maszyny i części z Arawa.

Sześć miesięcy od rozpoczęcia pracy został magazynierem. Mama twierdziła, że awans uzyskał, ponieważ mu ufano. Biali nie ufali czerwonoskóрым. Czerwonoskórzy przywłaszczali sobie rzeczy i rozdawali je swoim ziomkom, a kiedy oskarżano ich o kradzież, robili zdumione miny i udawali, że nie wiedzą, o co chodzi. A przynajmniej tak twierdziła mama.

Praca na nowym stanowisku oznaczała, że tata częściej kontaktował się z białymi Australijczykami. Dobrze mówił po angielsku. Wiem o tym, ponieważ podczas wizyty w Arawa widziałam, jak rozmawia i żartuje z Australijczykami. Biali mężczyźni nosili wąsy, okulary przeciwsłoneczne, krótkie spodnie i skarpetki. Mieli wielkie brzuchy. Tata tak bardzo starał się do nich upodobnić, że sam wypinał brzuch. Podobnie jak oni opierał ręce na biodrach, upodabniając się do czajniczka. Ale dopiero kiedy zobaczyłam u niego chytry uśmieszek, uśmieszek białych ludzi, pojęłam, co się dzieje. Może wdałam się w matkę, ale nie potrafiłam zapomnieć tego widoku. Ojciec oddalał się od nas.

Panem Jaggersem był jego szef, inżynier w kopalni, jeden z wielu pracowników kontraktowych. Był Australijczykiem, ale miał niemiecko brzmiące nazwisko. Słyszałam, jak rodzice rozmawiali na jego temat. Ojciec nazywał go „swoim przyjacielem”. Mama twierdziła, że ten cały przyjaciel zrobił z ojca pijaka. Co było prawdą. Powiedziała, że kiedy oskarżono go o zakłócanie porządku publicznego, najadła się wstydu na całe życie. Na więcej nie miała ochoty. Ojciec zaczął pić jako magazynier. Między innymi dlatego mama nie chciała opuszczać wioski, przeprowadzić się do Arawa i na własne oczy oglądać, jak tata zamienia się w białego człowieka.

Pamiętam, że wolała słuchać relacji z Panguny. Sytuacja w kopalni była niewesoła i wydawała się pogarszać z każdym dniem. Wymknęła się spod kontroli, kiedy w ręce rebeliantów dostały się materiały wybuchowe, których następnie używali do wysadzania odcinków drogi. Po jakimś czasie doszły nas słuchy, że rebelianci są uzbrojeni. Japończycy zostawili po sobie spory skład broni z czasów drugiej wojny światowej. Krążyły pogłoski, że rebelianci odnawiali stare karabiny. W dżungli miały funkcjonować tajne warsztaty, gdzie przerabiali karabiny, aby nadawały się do użytku. Niewiele

później usłyszeliśmy, że rebelianci ostrzeliwują ciężarówki pnące się po zboczu Panguny.

Kiedy żołnierze czerwonoskórych przybyli na wyspę, zdążyliśmy nasłuchać się dostatecznie wielu pogłosek, aby wyrobić sobie zdanie na temat przyszłości. Biali opuścili wyspę, a wojska rządowe otoczyły rebeliantów. Kopalnię zamknięto i ludzie stracili pracę. Nie dostawali pieniędzy. Mężczyzna o niemiecko brzmiącym nazwisku zaproponował ojcu, a pośrednio i nam, inne rozwiązanie. Chciał zostać „sponsorem” ojca. Użył właśnie tego słowa – „sponsor”. Dopiero wiele lat później zrozumiałam w pełni jego znaczenie. Pamiętam, że zapytałam o to pana Wattsa. Jego zdaniem sponsorowanie było czymś pokrewnym do adoptowania. Nabrało to większego sensu, kiedy przypomniałam sobie ofertę złożoną ojcu i sposób, w jaki upodabniał się do Australijczyków.

Próbowałam wyobrazić sobie jego życie w Townsville. Inspirację czerpałam z Anglii pana Dickensa. Zastanawiałam się, czy nadal żyli tam żebracy. Czy nadal istniały kominy fabryczne, czy nadal grasowali złodzieje oraz czy można było spotkać ludzi pokroju Joego Gargery’ego, którzy sprawiali wrażenie pijanych, kiedy otwierali usta.

Zastanawiałam się, czy tacie urósł brzuch. Czy pił piwo, nosił krótkie spodnie, a po jego twarzy błąkał się krzywy, psi uśmieszek. Zastanawiałam się, jak często myślał o nas – o swojej Matyldzie i jej mamie. Próbowałam wyobrazić sobie szkołę, do której uczęszczałabym w Townsville, gdybyśmy wyjechały tam przed wprowadzeniem blokady, ale nie potrafiłam uwolnić się od wizji klasy, w której spędzałam tak wiele czasu. Moje Townsville było odzwierciedleniem tego wszystkiego, czego dowiedziałam się od pana Wattsa i pana Dickensa.

Mama miała nadzieję, że dołączy do taty – kiedy tylko będzie to możliwe. Ale było to myślenie życzeniowe, ponieważ nie miałyśmy

swojego pana Jaggersa. Byłyśmy uwięzione na wyspie, pozbawione możliwości wyjazdu.

Kiedy zobaczyłam mamę na plaży, wiedziałam, o czym myśli – morze było jedyną drogą wiodącą poza nasze obecne życie. Otaczało nas, dzień w dzień wskazując nam drogę.

Świat, do którego uciekaliśmy za namową pana Wattsa, nie był Australią ani Moresby. Nie był nawet inną częścią wyspy. Była to dziewiętnastowieczna Anglia z *Wielkich nadziei*. Nie wyruszyliśmy w tę podróż sami, bo choć każde z nas dysponowało osobistym zbiorem fragmentów, pan Watts służył za sternika łączącego je w spójną całość.

Do zadania podchodziłam niezwykle ambitnie. Za wszelką cenę chciałam przypomnieć sobie więcej fragmentów niż inne dzieci. W ten sposób dowiodłabym, że mnie, Matyldzie, zależało na Pipie bardziej niż komukolwiek innemu.

Pamiętam, gdzie się znajdowałam i co robiłam w chwili przypomnienia sobie każdego z fragmentów. Poza tym straciłam poczucie upływu czasu. Właśnie tego, poza lekarstwami i wolnością, pozbawiła nas blokada. Początkowo trudno było w ogóle zauważyć brak upływu czasu, ale w końcu człowiek przestawał o tym myśleć i nikt już nie obchodził urodzin.

Nabrałam znacznej wprawy w zapamiętywaniu odzyskanych fragmentów. Nie musiałam gnać do domu pana Wattsa ze sceną, kiedy Pip wyjeżdża z wioski i rozpoczyna nowy etap życia w Londynie. Siedziałam na plaży w cieniu palmy i widziałam przed oczami całą scenę. Joe żegna się czule z Pipem. Biddy wyciera załzawione oczy fartuchem. Ale Pip jest już myślami gdzie indziej. Patrzy w przyszłość. *Było już za późno i za daleko, by wracać, i jechałem dalej*^Z. No i proszę. Odzyskałam jedno ze zdań pana Dickensa.

Za godzinę miał nadejść wieczór. Gdybym zapisała fragment patykiem na piasku, mogłabym przestać się nim zamartwiać i wrócić po niego o poranku. Dokładnie tak postąpiłam.

Wczesnym rankiem, zanim mama albo ktokolwiek inny mógł zobaczyć te słowa, ukraść je lub niewłaściwie zinterpretować, poszłam na plażę.

O tej godzinie świat jest szary i porusza się w wolniejszym tempie. Nawet morskie ptaki wiszą w jednym miejscu nad wodą. Kto się uważnie rozejrzy, dostrzeże rzeczy, które przeoczyłby w dalszej części dnia. Mama po wielokroć radziła: idź na plażę, zanim świat się przebudzi, a znajdziesz tam Boga. Nie znalazłam Boga, ale na dalekim krańcu plaży dostrzegłam dwóch mężczyzn, którzy wyciągali łódź na brzeg. Jak na tak wczesną godzinę, poruszali się niezwykle zwinnie. Jednym z nich był niewątpliwie pan Watts. Druga, masywniejsza sylwetka należała do ojca Gilberta. Przyglądałam się, jak ciągną łódź w górę wyschniętego koryta strumienia. Nie ociągali się, wyraźnie chcieli zdążyć przed świtem. Nikt nie mógł ich zobaczyć. Aby pan Watts nie dowiedział się, gdzie przechowuję swoje fragmenty, odczekałam, aż zniknęli między drzewami.

Jedynym dźwiękiem był chrzęst piasku pod moimi stopami. Znalazłam zdanie pana Dickensa, zamknęłam oczy i nauczyłam się go na pamięć, po czym zamazałam stopą napis.

Zmierzając tego samego dnia nad strumień, w którym praliśmy ubrania, nieświadomie zawędrowałam w okolice grobu pani Watts. Musiałam zapaść w coś w rodzaju snu na jawie. Dokładnie nie pamiętam. Jeśli nie, miałam kompletną pustkę w głowie. Po ziemi skakała rzekotka. Z drzew dobiegały krzyki papug i kakadu, w zaroślach buszowały jakieś ptaki, ale z zamyślenia wyrwał mnie dopiero ludzki głos.

– Idziesz w jakieś konkretne miejsce, Matyldo?

– Nie, proszę pana – odparłam. – Tak sobie spaceruję.

– W takim razie może przyłączysz się do mnie i pani Watts.

Kiedy podniósł się z kolan, dostrzegłam nowe ozdoby na grobie pani Watts – kawałki białego korala ułożone wokół krawędzi oraz fioletowe i czerwone bugenwille.

Nie byłam pewna, czy powinnam przywitać się z panią Watts. Ostatecznie zaproszenie mówiło o przyłączeniu się do pana Wattsa i pani Watts. Nie wiedząc, jak powinnam się zachować ani co powiedzieć, zwłaszcza do pani Watts, usiadłam zakłopotana. Pan Watts uśmiechnął się bez specjalnego powodu. Na pniu drzewa przysiadł wielki motyl; po chwili odleciał. Zerknęłam na pana Wattsa. Nadal uśmiechał się do żony. Czułam, że powinnam coś powiedzieć, więc zapytałam, czy pani Watts czytała *Wielkie nadzieje*.

– Niestety nie – odparł. – Próbowała. Ale widzisz, Matyldo, nie można udawać, że się czyta książkę. Zawsze zdradzą cię oczy. Oraz oddech. Człowiek pochłonięty lekturą najnormalniej w świecie zapomina o oddychaniu. W domu może wybuchnąć pożar, a taka osoba nie podniesie wzroku, dopóki tapety wokół niej nie staną w płomieniach. Dla mnie, Matyldo, *Wielkie nadzieje* są właśnie taką książką. Wyjątkową książką, która zmieniła moje życie.

Odchylił się, jakby nie chciał, aby pani Watts przysłuchiwała się naszej rozmowie.

– Grace tak często odkładała książkę, że nie potrafiła odnaleźć miejsca, w którym skończyła lekturę. Dzwonek telefonu był dla niej wybawieniem. W końcu oświadczyła bez ogródek, że nie chce mieć z tą książką nic wspólnego. Choć nie do końca... Obiecała, że przeczyta *Wielkie nadzieje* w całości, jeśli ja spróbuję przeczytać Biblię. Na tym stanęło.

Poczułam się ośmielona otwartością i szczerością pana Wattsa. Cały czas chodziło mi po głowie pytanie, które od dawna pragnęłam mu zadać. Wiedziałam, że był ku temu wymarzony moment. Gdybym tylko potrafiła

zebrać się na odwagę. Problem w tym, że nie potrafiłam znaleźć powiązania między żalem pana Wattsa, że jego żona nie pokochała *Wielkich nadziei*, a pytaniem, dlaczego od czasu do czasu ciągnął ją przez wioskę w wózku. I dlaczego zakładał wtedy czerwony nos klauna. Okazja minęła. Z drzewa spadła gałązka i wylądowała przy jego stopie, a kiedy pan Watts pochylił się, aby ją podnieść, było za późno.

Rambosi przybyli bez ostrzeżenia. Mieli rozbiegane oczy, czarne twarze, nieobcięte, posklejane włosy spięte kolorowymi gumkami. Walczyli w obciętych džinsach. Niektórzy mieli na nogach buty zabrane czerwonoskórnym żołnierzom; oni z miejsca nie przypadli mi do gustu. Większość poruszała się boso. T-shirty oblepiały ich chude torsy. Niektórzy mieli koszule bez guzików lub z rękawami oderwanymi na wysokości ramienia. Podobnie jak czerwonoskórzy trzymali pistolety i karabiny blisko ciała – jak najbliższych krewnych.

Najpierw dwóch wyskoczyło z dżungli. Trzech kolejnych nadeszło od strony plaży. Jeden wyłonił się zza rogu naszej chaty. Dwóch innych zza budynku szkoły. Spełzli z drzew. Nie było ich więcej niż tuzin.

Nie byliśmy pewni, jak ich powitać, choć przecież byli to nasi chłopcy. Problem w tym, że zakradli się do wioski, co zostało uznane za nieprzyjazny gest. Ale to jeszcze nic. Wyglądało na to, że wszystko o nas wiedzą. Czyżby nas obserwowali? Stali w cieniu wielkich drzew, przysłuchując się opowieści pana Wattsa o zakończonych niepowodzeniem próbach podjętych przez jego żonę, aby przeczytać książkę, którą z takim mozolem staraliśmy się odzyskać. Nie wyglądali na zaskoczonych niczym, co zastali w wiosce. Ani prymitywnymi chatami, ani budynkiem szkoły, który trwał jako namacalne świadectwo dawnego, budzącego pewność świata, który znaleźliśmy i w którym kiedyś funkcjonowaliśmy.

To byli nasi chłopcy, choć akurat w tej grupie nie dostrzegaliśmy żadnej znajomej twarzy. Widzieliśmy, jak przegrupowują się w dżungli. Niektórzy podkradali się z karabinami gotowymi do strzału. Oni również nie byli

pewni naszych intencji, co budziło w nas lęk. Tak wielka niepewność ciążyła nad tym spotkaniem.

Byli chyba świadomi, że czerwonoskórzy złożyli nam wizytę, ale nie wiedzieli, co im obiecaliśmy albo przekazaliśmy. My znaliśmy opowieści o losie, który spotkał inne wioski kolaborujące z czerwonoskórami. Rambosi mogli uznać nas za jedną z nich.

Ojciec Gilberta ruszył powoli w ich kierunku z jakimiś owocami. Rambosi nawet nie próbowali wyjść mu naprzeciw. Stali w miejscu uzbrojeni w karabiny i podejrzliwość. Znajdowali się zbyt daleko, aby słyszeć, co między sobą mówiliśmy. Po kilku minutach jeden z przyczajonych rambosów wstał i poczęstował się guajawą. Inni obserwowali, jak zjada owoc, a ponieważ nie wykitował, podnieśli się z ziemi, odwiesili karabiny na ramię i poszli za jego przykładem. Okazali się bardziej wygłodniali niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Patrzyliśmy, jak zajadają się owocami, wypluwając nasiona i skórę.

Pan Masoi przyciągnął ich uwagę, po czym wskazał na nas, przyglądających się z oddali mieszkańców wioski. Domyśliliśmy się, że proponuje rambosom gościnę i pożywienie, choć zapewne podobnie jak my miał nadzieję, że odejdą, najlepiej jak najszybciej. Ich obecność mogła ściągnąć do wioski żołnierzy czerwonoskórych.

Jak wspomniałam, straciliśmy poczucie czasu. Gdybym miała zgadywać, powiedziałabym, że oddział rambosów wkroczył w nasze życie niecałe trzy lata po zamknięciu kopalni. A to oznaczało, że ci chłopcy przez cały ten czas mieszkali w dżungli, zabijali czerwonoskórych i uciekali przed nimi. Mieliśmy identyczny kolor skóry, pochodziliśmy z jednej wyspy, ale taki tryb życia ich zmienił. Różnili się od nas. Dostrzegaliśmy to w ich spojrzeniach i w sposobie poruszania głowami. Zamienili się w dzikie stworzenia.

Lękając się otwartych przestrzeni, rozbili obóz nieopodal wioski wśród drzew, z dala od świń. Siedzieli tam razem do zmroku. Później dowiedziałam się, że poprosili o lekarstwa, mimo że żaden z nich nie wyglądał na chorego czy rannego. Ludzie zanosili im żywność. Staraliśmy się zrobić na nich korzystne wrażenie.

Młodsze dzieci zbierały się na odwagę i podchodziły coraz bliżej. Co jakiś czas któryś z rambosów odwracał niespodziewanie głowę, wydawał z siebie syk lub klaskał w dłonie, a dzieci pierzchały na boki niczym spłoszone ryby. Rambosi odchylali się wtedy do tyłu i zanosili śmiechem, a ten śmiech był jednym z najbardziej uspokajających odgłosów, jakie mogliśmy wtedy usłyszeć. Mimo poplamionych betelem ust i szalonych spojrzeń nie różnili się od nas aż tak bardzo.

W nocy rozpalili małe ognisko. Widzieliśmy zarysy ich sylwetek, kiedy przechodzili na tle płomieni. Oni nas nie widzieli. Ani nie słyszeli naszych szeptów. Leżałam obok mamy. Wyczuwałam jej zdenerwowanie. Słyszałam napięcie w jej głosie. Miała ochotę pójść do rambosów i powiedzieć, żeby się uciszeli, bo nie pozwalają zasnąć dzieciom. Głosy rambosów rozbrzmiewały w ciemnościach. Znajdowali się w odległości siedemdziesięciu metrów, ale wydawało się, jakby siedzieli tuż obok.

Niektórzy pili bimber, a przez to zachowywali się głośno. Prawdziwi żołnierze potrafiliby zachować ciszę i poruszać się niczym cienie. Właśnie w ten sposób podkradli się pod wioskę. Ale pobyt w dżungli odcisnął na nich swoje piętno. Zapomnieli, kim byli.

Mama wstała i położyła się w poprzek wejścia do naszej chaty. Zapytałam, po co to robi. Początkowo nie zareagowała.

– Są spragnieni dziewczyn – wyjaśniła w końcu. Dziwne. Nie miałam poczucia, że należę do tej kategorii, dopóki nie zabarykadowała sobą wejścia. Poczułam się niezręcznie, jak kawałek owocu, który nie wie, że jest owocem, a przez to obiektem czyjś pożądanym.

Dopiero następnego dnia o zmroku odkryli istnienie pana Wattsa. Razem z kilkoma innymi osobami nieśliśmy akurat rambosom jedzenie, kiedy dostrzegliśmy pana Wattsa zmierzającego w naszą stronę w eskorcie dwóch rebeliantów. Nie mogli uwierzyć, że znaleźli kogoś takiego. Kolbami karabinów szturchali go w plecy, zmuszając do szybszego marszu. Pan Watts wyglądał na poirytowanego. Poszturchiwania były zbędne. Zauważyłam, jak poprawia okulary na nosie.

Rambosi poderwali się na nogi. Pan Watts udawał, że nie dostrzega zamieszania. Pijany rebeliant podbiegł do niego i wrzasnął bełkotliwym głosem:

– Zerżnę cię w dupę!

Pan Watts znieruchomiał i ostrożnie odwrócił głowę. Zdjął okulary i przyjrzał im się uważnie, jakby myślami był wciąż przy czynności, od której go odciągnięto. Pijany rambos podskakiwał wokół pana Wattsa i wykonał wulgarny gest. Kilku innych rebeliantów się zaśmiało, w tym eskorta pana Wattsa. Pijany rebeliant zaczął rozpinać spodnie.

– Zerżnę cię – zapowiedział.

Pan Watts stracił cierpliwość.

– Nie zrobisz tego – oświadczył stanowczym głosem. Wskazał na miejsce, z którego poderwał się rambos. – Siadaj i słuchaj uważnie.

Pan Watts nawet nie spojrzał, aby sprawdzić, czy tamten go posłuchał. Dla niego człowiek ten już nie istniał. Pijak zrobił z siebie idiotę. Sam to zrozumiał, ponieważ odwrócił się, unikając naszych przeszywających spojrzeń, i zapiął pasek. Jego towarzysze odsunęli się, a wtedy rambos, którego uważaliśmy za dowódcę oddziału – dobrze zbudowany mężczyzna z półprzymkniętym okiem – podniósł się z ziemi, podszedł do pana Wattsa i zapytał go, jak się nazywa.

– Nazywam się Pip – odparł bez wahania pan Watts.

– Mister Pip – poprawił rambos.

Wielu z nas, przysłuchujących się tej rozmowie, mogłoby zaświadczyć, że pan Watts kłamie. Mogliśmy podnieść ręce, jak to czyniliśmy w klasie. Mimo to milczeliśmy. Byliśmy zbyt zszokowani, aby zaprzeczyć jego słowom. Co ciekawe, kiedy mężczyzna zapytał pana Wattsa o imię, ten wydawał się mieć odpowiedź dosłownie na końcu języka – jakby już wcześniej przygotował się na tę rozmowę. Rambosi, rzecz jasna, nie zdawali sobie sprawy z sensu tego imienia. Nigdy nie słyszeli o Pipie, o panu Dickensie ani o *Wielkich nadziejach*. Nie mieli o tym zielonego pojęcia. Dla nich było to normalne imię białego człowieka.

Rambos powtórzył słowo „Pip” i w jego ustach zabrzmiało nieprzyjemnie, jakby próbował coś wypluć.

Pan Watts zaczął recytować fragment *Wielkich nadziei*.

– *Nazwisko mojego ojca brzmiało Pirrip, a mnie dano imię Filip. Mój dziecienny język nie potrafił oddać wyraźnie tych dwu dźwięków i stapał je w krótkie miano Pip. Nazwałem więc sam siebie Pipem i wszyscy zaczęli mnie tak nazywać*⁸.

Nie mogłam się zdecydować, czy był to niezwykły akt odwagi czy przejaw kompletnej głupoty.

Mężczyzna o półprzymkniętym oku zaczął zadawać kolejne pytania. Skąd pan Watts pochodził? Co robił na wyspie? Czy był szpiegiem? Czy przysłał go rząd Australii? Słyszałam pytania, ale już nie odpowiedzi pana Wattsa. Mama trzymała mnie mocno za rękę i odciągała od obozowiska rebeliantów. Zostawialiśmy pana Wattsa samemu sobie. Byłam niemal pewna, że już nigdy go nie zobaczymy, i podobnie jak mama bardzo się bałam.

Ostatni odcinek do plaży pokonałyśmy biegiem. Dokąd tak uciekałyśmy? Morze rozciągało się po sam kraniec nieba. Znajdowaliśmy się w pułapce. Jedyнным schronieniem były nasze chaty.

W ciemności podkradliśmy się z powrotem niczym niesforne dzieci, zawstydzone, że próbowały uciec z domu. Nasza sytuacja była mimo wszystko nieco inna. Nie poczuliśmy ulgi. Położyliśmy się w oczekiwaniu, że wkrótce przydarzy się nam coś potwornego.

Po jakimś czasie usłyszałyśmy dochodzące spod drzwi nawoływania ojca Gilberta.

– Jesteś tam, Matyldo? Wyjdź.

Mama odpowiedziała za mnie. Stwierdziła, że mnie nie ma. W drzwiach pojawiła się wielka głowa ojca Gilberta.

– Matyldo – powiedział. – Pan Watts cię potrzebuje.

Mama poinformowała, że nigdzie się nie wybieram. Ojciec Gilberta uspokoił ją, że nic mi nie grozi. Obiecał, że będzie miał na mnie oko. Nie byłam pewna, co mama o tym sądzi.

– Dolores – zapewniał – dopilnuję, żeby Matyldzie nic się nie stało.

Poczułam, że mama rozluźnia uścisk dłoni na mojej szczupłej kostce.

Ojciec Gilberta prowadził mnie za rękę. Istniało niebezpieczeństwo, że przypominam kozę prowadzoną do rzeźnika.

Ognisko w obozowisku rambosów migotało na tle nierównomiernej ciemności puszczy. Dostrzegałam różne detale otoczenia, czułam także gwałtowne bicie serca i oblewający mnie pot. W miarę zbliżania się do obozowiska zaczęłam rozumieć, że coś się stało.

Pan Watts stał i gawędził z mężczyzną z półprzymkniętym okiem. Kiedy mnie zobaczył, wyraźnie mu ulżyło. Przeprosił rebelianta i podszedł do mnie. Wyglądał na nieco zakłopotanego, zupełnie jak wtedy, kiedy Gilbert podniósł rękę i zapytał, dlaczego Pip nie porwał Estelli, skoro tak bardzo ją lubił. Pan Watts położył mi rękę na ramieniu. W ten sposób przejął od ojca Gilberta odpowiedzialność za mój los.

– Dziękuję, Matyldo. Mam nadzieję, że się na mnie nie gniewasz. Potrzebuję cię na wypadek, gdyby trzeba było coś przetłumaczyć.

Odkąd uciekliśmy na plażę, a następnie przekradliśmy się do chat jak ślimaki czmychające z otwartej przestrzeni, sytuacja w obozowisku uległa zmianie. W czasie naszej nieobecności pan Watts przejął kontrolę nad sytuacją. Zauważyłam, że kiedy coś mówił, głosy wokół ogniska cichły. Trzymając dłoń na moim ramieniu, obrócił mnie, tak że byłam zwrócona w kierunku lśniących twarzy rebeliantów.

– Poprosiliście, żebym wyjaśnił, co tu robię – powiedział. – A zatem chcecie usłyszeć moją historię. Chętnie spełnię to życzenie, ale mam dwa warunki. Po pierwsze, nikt nie może mi przerywać. Po drugie, opowieść zajmie kilka wieczorów. A dokładnie siedem.

Pierwszej nocy wokół ogniska zgromadziła się grupka słuchaczy. Dwóch rambosów, którzy wcześniej grozili panu Wattsowi, że zerzną go w dupę, wszystkie dzieci z wioski i nasi rodzice, którzy wyłonili się z ciemności i zajęli miejsca za naszymi plecami.

Rozeszła się wieść, że pan Watts zamierza w końcu opowiedzieć o sobie. Większość z nas przybyła, aby posłuchać o zupełnie nieznanym świecie. Chcieliśmy dowiedzieć się o nim jak najwięcej. O jakimkolwiek świecie – byle nie naszym, którego mieliśmy już dość. Nie mogliśmy znieść strachu, w którym cały czas funkcjonowaliśmy. Plotkarze przyszli z innych powodów. Każdy miał swoją teorię na temat pana Wattsa. Moja mama chciała usłyszeć o jego związku z Grace i dowiedzieć się, jak doszło do tego niefortunnego, jej zdaniem, wydarzenia.

Pierwszej nocy baliśmy się najbardziej, ponieważ nie wiedzieliśmy, czy rambosi będą dostatecznie zainteresowani opowieścią i na jak długo starczy im cierpliwości. Wcześniej poprosili pana Wattsa, aby wyjaśnił swoją obecność w wiosce, tymczasem on zaczął teraz snuć opowieść swobodnym tonem, tak dobrze znanym nam, dzieciom. Do tego postawił warunek, że nikt nie może mu przeszkadzać.

Rambosi nie słyszeli porządnie opowiedzianej historii od kilku lat. Chłopcy siedzieli przy ognisku z szeroko otwartymi ustami i nadstawionymi uszami, chłonąc każde słowo. Karabiny leżały na ziemi przed ich bosymi stopami niczym bezużyteczne artefakty przeszłości.

Pomysł, aby przedstawić się rebeliantom jako Pip, był ryzykowny, ale łatwo zrozumieć, dlaczego pan Watts tak postąpił. Pip był postacią, w którą mógł się łatwo wcielić. Mógł opowiedzieć historię Pipa słowami pana Dickensa albo wybrać z niej niektóre wątki i przerobić je zgodnie z własnymi potrzebami w coś nowego. Pan Watts wybrał to drugie rozwiązanie.

Przez kolejnych sześć nocy stałam u boku pana Wattsa, podczas gdy on opowiadał o swoich wielkich nadziejach. Opowieść posuwała się do przodu nieśpiesznie. Kiedy odchodziła od znanej nam wersji zdarzeń, a dokładniej mówiąc tej, którą próbowaliśmy sobie przypomnieć, słyszałam zmianę w głosie pana Wattsa. Podnosiłam wzrok i widziałam, jak na mnie zerka. W tym spojrzeniu zawarta była milcząca prośba, abym nie próbowała podważać jego słów. Czasami zaskakiwał nas, cytując dokładnie fragmenty książki – rozpoznawaliśmy je natychmiast. Były to fragmenty napisane przez pana Dickensa, które nie trafiły jeszcze do zeszytu. Musiałam się powstrzymać, aby mu wtedy nie gratulować. Pamiętał znacznie więcej, niż mogło nam się wydawać, kiedy wyznaczył nam zadanie odzyskania książki. Co ciekawe, to odkrycie nie wzbudziło we mnie irytacji ani zawodu. Naszemu chytremu nauczycielowi udało się uspić czujność uczniów. Kazał im przypomnieć sobie fragmenty opowieści, którą sam doskonale pamiętał.

Opowieść pana Wattsa okazała się dla zgromadzonych równie fascynująca, jak *Wielkie nadzieje* dla nas, dzieci. Tym razem słuchała go w zachwycie cała wioska, skupiona wokół małego ogniska na kompletnie

zapomnianej wyspie, gdzie dochodziło do niewyobrażalnych okrucieństw, które wszakże nie wzbudzały oburzenia świata zewnętrznego.

Pip pana Wattsa wychował się w ceglanym składzie przy kopalni miedzi. Rodziców nie pamiętał. Ojciec przepadł bez śladu; „zaginął na morzu”. Mama spiła się bimbrem i spadła z drzewa wrosniętego we wnętrze domu. Kiedy uderzyła w ziemię, gałki oczne wyskoczyły jej z czaszki. Straciła wzrok, a wraz z nim pamięć. Nie pamiętała tego, czego nie mogła zobaczyć, więc po jakimś czasie zapomniała również o panu Wattsie. Resztę życia spędziła u najbliższych krewnych, hodowców trzciny z Queensland, pogrążona w ciemności, przechadzając się wśród szeleszczących trzcin.

W miarę upływu czasu moje tłumaczenie stało się lepsze i mogłam się odprężyć, wiedząc, że ludzie słuchają opowieści, a nie zwracają uwagi na mnie. Trzymali głowy przechylone w geście skupienia, strzygąc uszami jak psy, którym się zdaje, że słyszą odgłos zbliżającej się miotły.

Sierota, pan Watts, został wychowany przez miss Ryan, starą kobietę mieszkającą samotnie w dużym domu z ciemnymi pokojami pełnymi pajęczyn. Pan Watts nie rozwodził się zbyt nad swoim dzieciństwem. Nie dowiedzieliśmy się, gdzie chodził do szkoły. Opowiedział za to o wielkim ogrodzie. Pomagał staruszce w pielenu i sadzeniu. W owym czasie przydarzyła mu się tylko jedna przygoda.

Na dwunaste urodziny pana Wattsa miss Ryan zamówiła balon wypełniony gorącym powietrzem; mieli się wznieść ponad dom i otaczające go ogrody. Spoglądając z góry, pan Watts ze zdumieniem odkrył, że ogród układa się w pewien wzór. To, co dotychczas uważał za dziko rosnącą zieleń, okazało się starannie zaplanowaną kompozycją uformowaną w kształt irlandzkiej koronki, materiału na suknię ślubną, podarowanego

miss Ryan przez mężczyznę, który obiecał się z nią ożenić, a nie zjawił się na ceremonii ślubnej. Mężczyzna ów był pilotem samolotów pasażerskich. Przez wszystkie lata, w czasie których pan Watts dorastał u boku miss Ryan, jej piękne lądowisko nie zdołało skusić do lądowania jego samolotu.

Dwa dni przed osiemnastymi urodzinami pan Watts znalazł po powrocie do domu miss Ryan leżącą bezwładnie na klombie. Musiała zajmować się pielaniem, ponieważ na nabrzmiałych dłoniach wciąż miała rękawiczki, a na głowie zawiązywany pod brodą słomkowy kapelusz. Przez jej czoło wędrowała biedronka, którą pan Watts ściągnął stamtąd za pomocą liścia.

Staruszka nie miała krewnych, a choć nigdy formalnie nie adoptowała pana Wattsa, zapisała mu w spadku swoją posiadłość.

Pan Watts musiał wspomnieć o tym, co działo się później, ale nie pamiętam już dokładnie, co powiedział ani jak przetłumaczyłam ten fragment historii. Nie miał on zresztą większego znaczenia dla całości. Przejdę zatem od razu do decyzji pana Wattsa o podziale domu na dwa mieszkania. Przednią część wynajął pięknej czarnej kobiecie pochodzącej z naszej wyspy.

Pan Watts nigdy nie widział osoby o tak czarnej skórze. Nigdy nie widział tak białych zębów ani oczu tak roziskrzonych szelmowską radością. Młody pan Watts był nią oczarowany; jej czernią i jej białą klawiaturą. Ona musiała zdawać sobie z tego sprawę, ponieważ bezlitośnie go dręczyła. Posyłała mu uśmiechy. Flirtowała. Wyciągała do niego dłoń, a jednocześnie mu się wymykała.

Mieszkali w jednym domu. Oddzielała ich ściana, ale kiedy pan Watts przystawiał do niej ucho, słyszał, jak ona porusza się po swoim mieszkaniu. Wyćwiczył się w analizie odgłosów dobiegających zza ściany. Kiedy włączała radio, wiedział, że gotuje. Potrafił rozpoznać, kiedy napszczała wodę do wanny. Wiedział, kiedy ogląda telewizję, i wyobrażał sobie wtedy, że leży zwinięta w kłębek na podłodze z nogami podkurczonymi pod

swoim krągłym brzuchem. W takiej pozycji zastał ją raz, gdy przyszedł po czynsz. Pan Watts miał pewne wyobrażenie, jak wygląda jej życie, ale nie potrafił się do niej zbliżyć z powodu ściany, która rozdzielała ich mieszkania.

Choć pan Watts poświęcał każdy wieczór na monitorowanie jej aktywności po drugiej stronie ściany, z prawdziwym utęsknieniem czekał na soboty. Tego dnia Grace myła włosy i prała ubranie, a pan Watts wiedział dokładnie, kiedy cała namydlona procesja będzie przechodzić za jego oknem.

Nadeszła zima, jak zawsze w tamtym regionie chłodna. Silne wiatry smagały ściany domu. Wywracały drzewa. Zrywały dachy, które odskakiwały od reszty budynków niczym kapsle z butelek. Właśnie w taką pogodę pan Watts otworzył drzwi do swojego mieszkania i zobaczył Grace stojącą na dworze w deszczu.

Moja mama miała własne przypuszczenia, jak do tego doszło. Twierdziła, że Grace musiała być samotna i sam pan Watts odegrał w całej sprawie drugorzędną rolę.

Grace przyszła po radę. Zastanawiała się nad rzuceniem nauki w szkole stomatologicznej. Studia nie sprawiały jej przyjemności, za co jej zdaniem winę ponosiło borowanie. Nie lubiła patrzeć w otwarte usta i przestraszone oczy. Zwłaszcza w oczy, twierdziła. Czuła się jakby zdejmowała z haczyka rybę, tyle że zamiast ryby miała przed sobą człowieka.

Tamtej zimy dawną przeszkodę, ścianę, zastąpiła nowa – drewniany stół. Pan Watts siadał po jednej stronie, a Grace po drugiej. Zdążyli się już przyzwyczaić do swojego towarzystwa. Stół rozgradzał ich, aż pewnej nocy Grace wstała i przeniosła swoje krzesło na jego stronę. Usiadła obok pana Wattsa, wzięła go za rękę i położyła ją sobie na podołku.

Kilkoro słuchaczy zaśmiało się. Ktoś zagwizdał. Pan Watts pokiwał głową i uśmiechnął się zawstydzony. Wzbudził tym naszą sympatię.

Tamtego dnia musiał narodzić się jakiś romans, niemniej pan Watts nie zdecydował się opowiedzieć o szczegółach. Wiedzieliśmy zresztą, że byli z Grace parą, zatem nie pobudzał sztucznie niczyjej wyobraźni, pomijając tę część historii. Pan Watts postanowił podzielić się z nami innym fragmentem swojego życia.

Spoglądając na nasze uśmiechnięte twarze, doszedł zapewne do wniosku, że trudno o lepszy i stosowniejszy moment. Dotknął guzika przy kołnierzyku. Biel koszuli lśniła w blasku ogniska.

– Moja ukochana Grace obdarzyła mnie wielkim szczęściem – powiedział. – Nigdy nie było większe niż wtedy, kiedy urodziła moje dziecko, dziewczynkę, której daliśmy na imię Sara.

Pan Watts przerwał, ale nie była to zwykła pauza, którą robił, abym mogła przetłumaczyć jego słowa. Musiał dojść do siebie. Wpatrywał się w noc gdzieś wysoko ponad płomieniami ogniska.

Wszyscy widzieli, jak przełyka ślinę, a wokół ogniska zapadła jeszcze bardziej dojmująca cisza.

Skinął głową w stronę swojej dziewczynki. Uśmiechnął się, a my uśmiechnęliśmy się wraz z nim. Kiedy niemal roześmiał się na głos, byliśmy gotowi mu zawtórować.

– Nie mogliśmy się nią nacieszyć – powiedział w końcu. – Staliśmy przy jej łóżeczku i wpatrywaliśmy się w jej twarz. – Pokiwał głową, przypominając sobie te chwile, po czym rozejrzał się po słuchaczach. – Tak na marginesie, właśnie w ten sposób biel zamienia mulackość i czerń w biel. Jeżeli należycie do tych, którzy muszą koniecznie wskazywać winnych, poskarżcie się na horyzont, że jest taki płaski.

Ci, którzy zrozumieli, wybuchnęli śmiechem. Kilku rambosów poszło za ich przykładem, aby nikt nie pomyślał, że nie złapali dowcipu.

Pan Watts kontynuował opowieść.

– Jak wspomniałem, przyszedłem na świat jako sierota. Swoich rodziców nie pamiętam. Nie zostały mi po nich żadne fotografie. Nie mam pojęcia, jak wyglądali. Ale w tej dziecięcej buzi dostrzegłem ich odbicie. Dostrzegłem oczy matki i podbródek z dołkiem ojca. Pamiętam, jak stoję przy barierce łóżeczka, wpatrując się w niemowlę pożądlwym wzrokiem odkrywcy, który po raz pierwszy widzi jakąś krainę. Wszystko, co znałem, uległo przemieszeniu. Na skórze koloru kawy dostrzegałem zarysy anglosaskiego pochodzenia. Razem z Grace stworzyliśmy nowy świat.

Podobała mi się ta myśl. Pomyślałam o swoim ojcu. Być może nie zaginął. Być może my nie zaginęliśmy.

Gdybym miała lustro, spojrzalabym w nie, aby odszukać ślady zaginionego ojca. Nieruchoma powierzchnia jeziorzek utworzonych przez górskie strumienie nie pozwala na dostrzeżenie takich detali. Twarz delikatnie w nich drgała i była ciemniejsza niż normalnie. Siedziałam na kamieniu, wodząc palcami po twarzy. Miałam nadzieję, że znajdę na niej jakieś wyraźne ślady ojca.

Ojciec miał wydęte usta – zapewne od rubasznego śmiechu. Moje były węższe, podobnie jak u mamy wyostrome od osądających min. Przesunęłam palcami po oczach, ale wydawały się po prostu moje. Odszukałam uszy. Były duże i miały takie na zawsze pozostać. To uszy osoby lubiącej słuchać. Zdaniem mamy tata używał swoich wyłącznie do wsłuchiwania się we własny gromki śmiech.

Uznałam, że jeśli noszę w sobie jakiś ślad taty, musi leżeć pod powierzchnią. Być może krążył w sercu lub w głowie; w każdym razie tam, gdzie gromadzą się wspomnienia. Pomyślałam, że byłabym gotowa oddać każde fizyczne podobieństwo, byle tylko mieć nadzieję, że nie zapomni o swojej córeczce Matyldzie, choć przebywał gdzieś daleko w świecie białych ludzi.

Co wieczór gromadziliśmy się wokół ogniska. Niektórzy siadali po turecku na ziemi, inni kładli się z rękami pod głową, licząc gwiazdy, które pojawiały się kolejno na niebie niczym lękliwe ryby wychylające główki z otworów w koralowcu. Jeszcze inni stali, jakby się gdzieś śpieszyli (ale zawsze zostawali do końca).

Mama przychodziła zawsze jako ostatnia. Duma nie pozwalała jej na przybycie o czasie. Lubiła udawać, że ma na głowie mnóstwo innych, ważniejszych spraw.

Takie wrażenie próbowała wyrzeć na każdym, kto był łaskaw zauważyć jej obecność. Czekwała, aż do grona słuchaczy dołączą ostatni maruderzy, i dopiero wtedy uznawała, że może sobie pozwolić na wysłuchanie pana Wattsa – zwłaszcza odkąd stwierdziła, że potrafi ją jeszcze czymś zaskoczyć.

Kto uważnie obserwował pana Wattsa, mógł dostrzec, jak się w sobie zapada. Zamykał oczy, jakby przenosił się do odległych światów, równie wyblakłych jak odległe gwiazdy. Nigdy nie podnosił głosu. Nie musiał. Ciszę zakłócały jedynie trzaski ogniska, pomruki morza oraz odgłosy zwierząt budzących się w koronach drzew z całodziennego snu. Ale i one milkły na dźwięk głosu pana Wattsa. Słuchały go nawet drzewa. Oraz stare kobiety – i to z nabożeństwem zarezerwowanym w dawnych czasach na modlitwę, kiedy siadały wygodnie pod dachem i wpatrywały się w białego pastora z Niemiec.

Rambosi byli równie zafascynowani jak my. Trzy lata spędzone w dżungli na zastawianiu pułapek na czerwonoskórych przemieniły ich w groźnych ludzi, ale gdy w blasku ogniska widziałam ich rozmarzone

oczy, zamieniali się w chłopców stęsknionych za szkolną klasą. Byli przecież niemal dziećmi. Ten z półprzymkniętym okiem nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat. Pozostali byli jeszcze nastolatkami.

Dziś potrafię widzieć w nich zwykłe dzieciaki w postrzępionych ubraniach uzbrojone w karabiny z czasów poprzedniej wojny. Ale wtedy mieli władzę. Mieli władzę, ponieważ mogli zadać pytanie, które nikomu innemu nie przyszło do głowy. Dość proste pytanie: „Kim ty jesteś?”. W głównej mierze zależało im zatem na informacji. Dopiero później dali się uwieść historii pana Wattsa. Trzeciej nocy role zostały ustalone. Pan Watts był Pipem, a oni – podobnie jak my – zamienili się w słuchaczy.

Pan Watts starannie prowadził swoją opowieść, aby niczego nie pominąć. Za każdym razem, gdy wypowiadał imię Grace, nadstawialiśmy uważniej uszu, chłonąc każdy fragment opowieści o losach naszej siostry w świecie białych. Kiedy głos pana Wattsa zaczynał słabnąć, wiedzieliśmy, że tego wieczora ma już dosyć. Pan Watts urywał w połowie zdania, a niektórzy z nas odwracali głowy i razem z nim wpatrywali się w czerń nocy. Z jego strony był to trik, ponieważ kiedy opuszczaliśmy wzrok, nie było go przy ognisku; wracał do swojego domu.

Nie zamierzam odtwarzać jego słów z większą precyzją, niż to czyniałam do tej pory, niemniej wciąż doskonale pamiętam szkielet opowieści, którą zaczęłam później określać mianem „Wielkich nadziei Pacyfiku”. Podobnie jak oryginał, wersja pana Wattsa powstawała w odcinkach, rozdzielona na kilka wieczorów, z wyraźnie określoną datą zakończenia.

Pan Watts zarządził wtedy wakacje, przez co my, dzieci, widywaliśmy go tylko wieczorami. Oznaczało to, że musieliśmy czymś wypełnić upływające leniwie dni.

Dlatego kiedy pewnego dnia zobaczyłam, że pan Watts wspina się na wzgórze, ruszyłam za nim. Bynajmniej nie chciałam mu zadać pytania ani podzielić się fragmentem *Wielkich nadziei*; nie miałam nawet zamiaru

sprawdzić, czy jest zadowolony z mojego tłumaczenia. Udałam się za panem Wattsem z tego samego bezmyślnego przywiązania, jakie każe psu wstać z ziemi i podążyć za swoim panem albo oswojonej papudze przylecieć na ramię właściciela.

Dogoniłam go przy grobie pani Watts. Usłyszawszy odgłos kroków, zerknął przez ramię, aby zobaczyć, kto nadchodzi, po czym uspokojony powrócił do wpatrywania się w grób. Na karku wylądował mu moskit. Pan Watts tego nie zauważył albo nie zamierzał zaprzętać sobie tym głowy. Stałam obok niego i spojrzałam na miejsce spoczynku pani Watts.

– Potrafisz dochować tajemnicy, Matylde? – spytał i nie czekając na odpowiedź, mówił dalej: – W noc po pełni księżyca przybędzie łódź. To będzie piąta noc po dzisiejszej. Ojciec Gilberta dowiezie nas do tej łodzi. Kilka godzin później dopłyniemy do Wysp Salomona, a wtedy zapewne sama zdecydujesz, co dalej.

Nie zareagowałam, a pan Watts uznał, że zna powód mojego milczenia.

– Twoja mama też płynie, Matylde – dodał. Ale ja wcale nie myślałam o niej, tylko o ojcu. W końcu będę mogła go zobaczyć.

– I jeszcze jedna bardzo ważna sprawa, Matylde. Nie mów o tym Dolores, dopóki nie dam ci sygnału.

Nie odrywałam wzroku od grobu pani Watts, choć czułam na sobie spojrzenie pana Wattsa.

– Rozumiesz, prawda, Matylde? Skiń głową na znak, że rozumiesz.

– Rozumiem – potwierdziłam.

Oferował mi możliwość opuszczenia jedyne go świata, jaki znałam. Nawet jeśli o tym marzyłam, nigdy wcześniej nie próbowałam sobie wyobrazić, że faktycznie opuszczę wyspę. Nie potrafiłabym uwierzyć, że świat chciałby mnie przyjąć.

– Nie musisz się niczego obawiać – powiedział.

– Nie muszę – powtórzyłam.

– Tak właśnie. Nie musisz. Błagam tylko, pamiętaj, o co cię prosiłem, Matylde.

– Wiem.

– Tylko nie myśl, że nie zamierzam powiedzieć o wszystkim Dolores. Po prostu na razie będzie to nasz sekret. Tylko twój, mój i tych drzew. Och, no i pani Watts.

Po raz kolejny leżałam w nocy w ciemnościach, rozbudzona posiadana tajemnicą, wsłuchując się w lekko chropawy oddech śpiącej mamy. Pan Watts jej nie ufał, a mnie przestrzegł, abym nie dzieliła się z nią informacją, że za niecały tydzień opuści wyspę ze mną i panem Wattsem. Kto wie, czy za kilka tygodni nie miała zobaczyć ponownie mojego ojca.

Korciło mnie, aby zdradzić sekret. W końcu rano sama zapytała, czy chciałabym jej coś powiedzieć, ponieważ, jak się wyraziła, słyszy trzepot myśli uwięzionych w mojej głowie.

– Tak sobie tylko rozmyślałam – powiedziałam.

– O czym? – spytała.

– O niczym.

– W takim razie bądź tak miła i pójdz sprawdź, czy pan Masoi ma dla nas rybę.

Było mi głupio, bo wiedziałam, jak wiele znaczyłaby dla niej ta wiadomość. Miałaby powód, aby w inny sposób pomyśleć o moim ojcu. Musiałaby się zwrócić ku światu zewnętrznemu, wyobrazić sobie, jaką rolę mogłaby w nim odegrać. Rozumiałam jednak również – a pan Watts nie musiał mnie w tej sprawie napominać – że gdyby mama dowiedziała się o jego planach, stanowiłaby zagrożenie. Lepiej od niego wiedziałam, do czego byłaby zdolna, byle tylko mu dopiec.

W towarzystwie innych dzieci miałam poczucie, że policzki płoną mi rumieńcem. Towarzyszył temu smutek, bo one nie wiedziały, że za niecały

tydzień rozstaniemy się na zawsze. Już wtedy żegnałam się z wszystkim dokoła – drzewami, niebem unoszącym się nad naszymi głowami, powolnymi kaskadami górskich potoków, krzykami ptaków o świcie, zgłodniałym pokwikiwaniem świń.

Sekretny plan pana Wattsa nie dawał mi spokoju. Jeżeli mieliśmy opuścić wyspę, należało o tym poinformować mamę z wyprzedzeniem – większym, niż przewidywał pan Watts. On planował, że zmusi ją pojęcia decyzji w ostatniej chwili. Obawiałam się, że mama odmówi. Obawiałam się, jakiego dokonam wtedy wyboru.

Nie zamierzałam złamać obietnicy danej panu Wattswi, ale uznałam, że trzeba przygotować mamę psychicznie. Doszłam do wniosku, że pomocny mógłby być fragment, kiedy pan Jaggres odwiedza Pipa na bagnach. Ta część powieści pana Dickensa zawsze była mi bliska. Myśl, że moje życie może się całkiem niespodziewanie zmienić, była bardzo pociągająca. Podejrzewam, że mama inaczej zinterpretowałaby taką odmianę losu. Powiedziałyby, podobnie jak miał to zrobić później Pip, że jej modlitwy zostały wysłuchane. O tym właśnie zaczęłam rozmawiać z nią pewnego ranka tuż po przebudzeniu, kiedy leżałyśmy pod prześwitującym przez dach porannym niebem, oszołomione niczym ryby wyjęte z wody.

Mówiłam ze swadą o świecie, którego nigdy nie widziałam, ale w którym czułam się równie pewnie, jak na naszym skrawku tropikalnego wybrzeża. Mama, co zrozumiała, słuchała z zainteresowaniem. Usłyszała, że Pip był gotowy zostawić wszystko, co go ukształtowało: zaniedbaną siostrę, ukochanego Joego Gargery'ego, napuszonego pana Pumblechooka, bagna i otaczający je mrok; wszystko, co nazywał domem.

Świat, który pan Watts odsłaniał przed nami przy ognisku rambosów, nie leżał na wyspie, ani w Australii czy Nowej Zelandii, ani nawet

w dziewiętnastowiecznej Anglii. Bynajmniej. Pan Watts i Grace stworzyli całkowicie nową przestrzeń, którą nazywali komórką.

Komórką. Sformułowanie to stworzyło mi pewien kłopot translatorski. Wspomniałam o łonie, które ma się czymś wypełnić; o kadłubie czekającym na złowione ryby. Mówiłam o kokosie odsączonym z mleka i wydrążonym z białego miąższu. Komórka, powiedział pan Watts, była przeznaczona dla ich dziecka w kolorze kawy. Pewnego dnia miała należeć do niego.

Przed narodzinami Sary wstawiali do komórki wszystkie zbędne rzeczy. Teraz postanowili urządzić ją od nowa. Chcieli ją całkowicie oczyścić i nasycić własną wizją jakiegoś nieziszczzonego miejsca. „Dlaczego zostawiać cokolwiek przypadkowi?”, myśleli. Dlaczego mieliby nie skorzystać z okazji i nie rozpocząć budowy od pustych ścian? Dlaczego mieliby rozkleić na nich tapety z zimorodkami i kluczami lecących ptaków, skoro mogły się zapełnić użytecznymi informacjami? Uzgodnili, że każde z nich umieści tam swój świat, a ich córka wybierze z nich to, co jej się spodoba.

Pewnego wieczora Grace napisała na ścianie imiona swoich krewnych, cofając się aż do mitycznej latającej ryby.

Po raz pierwszy od czasu gdy zaczęłam pełnić rolę tłumaczki pana Wattsa, przerwano mi. Na wpół ślepa babka Grace zapytała, czy jej nieusłuchana wnuczka pamiętała, aby napisać na ścianie jej imię.

Pan Watts zamknął oczy i złapał się za brodę. Pokiwał głową.

– Tak, pamiętała – oświadczył, a staruszka odetchnęła z ulgą. Kolejna osoba, ciotka Grace, wyciągnęła do góry rękę i zapytała o to samo. Podobnie uczyniło kolejnych pięcioro czy sześcioro krewnych, aż w końcu wszyscy zostali zapewnieni, że ich imię znalazło się na ścianie pokoju w domu leżącym gdzieś daleko, w świecie białych ludzi.

Zgodnie z sugestią pana Wattsa pomalowali ściany komórki na biało, a Grace napisała „historia bieli na mojej rodzinnej wyspie”.

Następnie, ku zdumieniu wszystkich dzieci, usłyszeliśmy wszystkie informacje, które nasze mamy i ciotki oraz nasi wujkowie zaprezentowali w klasie u pana Wattsa. Dodatkowo także nasze własne przemyślenia na temat białego koloru. Oraz opinie o kolorze niebieskim. Pan Watts zbudował swoją opowieść z naszych doświadczeń życiowych, którymi dzieliliśmy się na forum klasy. Uzupełnił je o nowe informacje, jak przemyślenia Grace na temat koloru brązowego.

Do czasu wynalezienia coli nie istniały brązowe kostki lodu, ale później pojawiły się i natychmiast zniknęły niczym kometa. Grace zapytała sprzedawcę w sklepie, dlaczego ich nie sprzedaje, a on wyjaśnił, że nie było zapotrzebowania. „My chcieliśmy je kupić”, odparła, a on rzucił: „Wy, dzieci, się nie liczycie. A teraz zmiataj stąd”.

Siedzący wokół ogniska rambosi zaczęli się pokładać ze śmiechu, a jakiś samotny pies zawył w oddali.

Przetłumaczyłam kolejny skomplikowany fragment – przemyślenia pana Wattsa na temat bieli. Miss Ryan powiedziała mu, że kiedyś ustabilizowała za pomocą białej gumy do żucia biały ząb. Wybiła go sobie tuż przed randką z pilotem, uderzając twarzą w fontannę. Pamiętała, że pilot pachniał czarną pastą do butów!

Pan Watts przerwał i spojrzał na mnie. Wyglądał na niezmiernie zadowolonego z siebie i niewątpliwie spodziewał się, że słuchacze będą zauroczeni, kiedy usłyszą cały fragment w moim tłumaczeniu. Ale co to, u diabła, była czarna pasta do butów?

– W owych czasach – ciągnął pan Watts – wszyscy pachnieli białym mydłem.

Kątem oka spostrzegłam miny Celi i Wiktorii. Nie tylko ja zaczęłam się niepokoić o pana Wattsa. Jego opowieść nie miała żadnego sensu. Moje

myśli pobiegły ku *Wielkim nadziejom*, ku Joemu Gargery'emu i bzdurom, które zwykł opowiadać.

Pamiętam takie chwile, gdy podczas czytania *Wielkich nadziei* słyszałam wszystkie wypowiedziane przez pana Watta słowa, rozumiałam każde z osobna, ale nie potrafiłam zrozumieć sensu zdań, w które te słowa się łączyły. Kiedy zapytaliśmy o sens uwag wygłaszanych przez Joego, pan Watts odparł, że to nieistotne. Skoro wypowiedzi kowala nie miały sensu, to było to zamierzone. Teraz niepokoiłam się, że pan Watts lada chwila pomyli bohaterów i przeskoczy ze skóry Pipa w skórę Joego Gargery'ego. Moje tłumaczenie nie poruszyło słuchaczy tak bardzo, jak tego oczekiwał uśmiechnięty dumnie pan Watts. Otaczały go twarze głodne obiecanych atrakcji.

Pan Watts opanował się i zaczął opowiadać o sąsiedzie miss Ryan, który za pomocą hydroplanu przewoził ludzi na wyspy. Kiedy znaleziono ciało sąsiada, trzymał w ręce pędzel zanurzony w białej farbie – zmarł na atak serca tuż przy odmalowanej do połowy skrzynce na listy. Za dużo białego cukru? A może soli?

Pan Watts najwyraźniej powrócił do wątku bieli.

Najbielszą ze wszystkich bieli, powiedział, jest biel wnętrza muszli klozetowej. Białość jest przejawem czystości. Czystość jest przejawem cnoty.

Biel, ciągnął, była niegdyś zarezerwowana dla pilotów i stewardes. Jako dziecko człowiek uczył się w pierwszej kolejności o białych państwach.

Chleb jest biały; podobnie piana, tłuszcz i mleko.

Biała jest gumka, która spina różne rzeczy i utrzymuje je we właściwej pozycji. Białe są karetki pogotowia, karty do głosowania oraz kurtki parkingowych.

– A przede wszystkim – powiedział – biel to uczucie.

Zsynchronizowałam się z rytmem mówienia pana Wattsa i bez zastanowienia przetłumaczyłam to ostatnie stwierdzenie.

Ulotna myśl może się pojawić i zniknąć, korzystając z przyrodzonego sobie prawa do wzbudzenia zdziwienia. Słowa napisane i wypowiedziane wymagają wyjaśnienia. Kiedy przetłumaczyłam pogląd pana Wattsa, że „biel to uczucie”, na całej wyspie zapadła cisza. Wszyscy od dawna to podejrzewaliśmy. Teraz mieliśmy w końcu poznać prawdę.

Czekaliśmy i czekaliśmy, a w tym czasie pan Watts stał sztywno wyprostowany ze wzrokiem skierowanym gdzieś w bok. W pierwszej chwili uznałam, że pożałował tych słów, ale po chwili pokiwał głową i z największą możliwą szczerością oświadczył:

– Taka jest prawda. Czujemy się biali w otoczeniu czarnych ludzi.

Wszyscy poczuli się skrępowani, mimo to, jak podejrzewam, chcieliśmy usłyszeć więcej. Wtedy jednak odezwał się Daniel.

– My mamy tak samo – pisnął. – Czujemy się czarni w otoczeniu białych ludzi.

Napięcie opadło. Ludzie zaczęli się śmiać, a jeden z rambosów wstał, chwiejnym krokiem podszedł do Daniela i przybił mu piątkę. Chłopak cały się rozpromienił. Wiedział, że powiedział coś ważnego, nie był tylko pewien co.

Zacząło się od tego, że Grace napisała na ścianie komórki imiona swoich krewnych. Później podobne zapiski pojawiły się również w innych miejscach. Pan Watts i Grace umieszczali na ścianach swoje historie i pomysły. Przy okazji skakali sobie do gardeł niczym koguty. Wypisywali nazwy geograficzne. Kieta. Arawa. Gravesend, czyli dupa, z której Anglia wysrywała emigrantów. W ten sposób opisano mi to miejsce wiele lat później.

Młodzi rambosi nie mieli pojęcia, że pomysły Grace były w istocie naszymi pomysłami – pochodziły z naszej wyspy. Nie pamiętam wszystkich, ale Watts narzekał, że czasami zapominała postawić kropkę na końcu zdania, które po prostu się urywało, a wzrok czytającego wpadał w pustkę. Kiedy zwrócił jej na to uwagę, zapytała: „Co wolałbyś zrobić? Siedzieć na krawędzi nadbrzeża, dyndając nogami, czy wcisnąć je w swoje sztywne skórzane buty?”.

Zapamiętałam zapewne te bardziej wymyślne i dziwaczne listy, które pojawiły się na ścianach. Niektóre były przemieszane z innymi. Te zwyklesze, choć zapewne bardziej wyrafinowane, uleciały mi z pamięci. Oto te, które zapamiętałam.

Wskazówki, gdzie znajduje się twój dom

Miejsce, do którego wracasz myślami. Okno w tym domu. Drzewo przed domem.

Słonka czerwonoszyja, lekka niczym list lotniczy, przelatuje nad Pacyfikiem tam i z powrotem, ufna, że znajdzie dom.

Łatwość, z jaką obcy ludzie mówią: „Uwierzyłyś w coś takiego?”.

Odgłos autobusu zmieniającego bieg dwie ulice dalej, gdzie droga zaczyna wspinać się ku czasom dzieciństwa.

Wiatry tak porywiste, że cokolwiek zostanie przez nie porwane (papier, liście), nabiera osobistego charakteru.

Starożytna mapa morza, która przypomina plecioną siatkę na zakupy złożoną z prądów i wiatrów stałych.

Zapach zgniłego owocu.

Zapach świeżo skoszonej trawy i oleju napędowego do kosiarki.

Święty spokój człowieka, który przeżył siedemdziesiąt pięć lat na wyspie i nie ma nic nowego do powiedzenia.

Historia świata

Trzeba wziąć mnóstwo wody – na górze i na dole. Woda z niebios wypełnia jeziora i rzeki. Następnie dodaje się taką samą ilość ciemności i jasności. Kiedy robi się jasno, słońce przyciąga wodę, a ona wypełnia ponownie niebios.

Etap drugi. Człowiek zostaje stworzony z prochu. Po śmierci obraca się z powrotem w proch. I tym razem koło się zamyka.

Etap trzeci. Najważniejszy składnik. Weź jedno żebro i stwórz kobietę, aby dotrzymywała mężczyźnie towarzystwa, uszlachetniała go i karmiła. Dosyp łyżeczkę cukru dla przyjemności i gorzkich ziół na łyż. Przyjemności ani łez nie zabraknie, a reszta z nich się bierze.

Historia pamięci

Tęsknię za śmiechem z wyspy. Biali ludzie śmieją się inaczej. Robią to w prywatny, chichotliwy sposób. Próbowалам nauczyć twojego ojca prawidłowego śmiechu. Robi postępy, ale ćwiczy zbyt rzadko.

Tęsknię za ciepłym morzem. Jako dzieci każdego dnia skakaliśmy z kei. Poza niedzielami. Wiesz dlaczego.

Tęsknię za kolorem niebieskim i latającymi o świcie owocożernymi nietoperzami.

Tęsknię za głuchym odgłosem upadającego kokosa.

Przerwane sny

Nieopodal miejsca, gdzie się wychowywałam, mieszkała dziewczynka, która była lunatyczką. Nie mogliśmy uwierzyć, jak daleko potrafiła zajść – pogrążona we śnie. Raz wypłynęła łodzią na rafę, wróciła i położyła się na macie. Kiedy indziej widywaliśmy ją przemierzającą szybkim krokiem plażę, zupełnie jakby pędziła do kościoła.

Kiedyś zastaliśmy ją u siebie w domu. Siedziała przy stole. Miała zamknięte oczy, ale układ jej ciała wskazywał, że czeka na coś zimnego do picia. Miałam ją obudzić, ale mama mnie powstrzymała. A jeśli śni...? Sny są prywatne, powiedziała. I miała rację. Sen to historia, której nikt inny nie usłyszy ani której nie przeczyta.

Dzięki snom w czasie całej historii galaktyki świat powstawał na nowo większą ilość razy niż zawiera się w niej gwiazd.

Dziewczynka w naszym domu śniła zapewne o skakaniu z kei – a w tym nic przecież złego.

Jak znaleźć swoją duszę

Kiedy okłamiesz mamę, być może tylko się zarumienisz i zrobi ci się gorąco. Ale kiedy później o drugiej w nocy będziesz siedziała w tym durnym aucie, poczujesz się jak oszust.

To poczucie będzie musiało znaleźć jakieś ujście. Trafi do przechowalni ukrytej głęboko w twoim ciele. Nie proś lekarzy, aby pomogli ci ją znaleźć. Podobnie jak twój ojciec, są w tej kwestii całkowicie bezużyteczni.

Musisz wiedzieć, co to piekło. Ojca nie pytaj. Na geografii zna się słabo. Piekło uważa za mniej istotne od Londynu czy Paryża. A przecież

w miastach człowiek tylko je, sra i robi zdjęcia. Niebo i piekło to miasta duszy! To w nich wznosisz!

Twoje sznurówki

Twoje sznurówki są same w sobie bezużyteczne. Żeby nabrały sensu, potrzebują butów. Człowiek bez Boga jest zaledwie ciałem i krwią. Dom bez Boga to pusty dom, do którego wcześniej czy później wprowadzi się diabeł. Musisz zrozumieć znaczenie granic.

Granice

Warkocze przypominają nam, że czasami trudno jest określić, gdzie kończy się dobro, a zaczyna zło.

Pan Watts i Grace postanowili wspólnie, że zestawią swoje światy, umieszczą je obok siebie na ścianach pustego pokoju i pozwolą dziecku wybrać z tych światów to, co będzie chciało.

Żadne z nich nie było gotowe przyznać, że pragnęli wpoić dziecku pewne idee i stanowiska, niekiedy sprzeczne z ideami i opiniami drugiego rodzica. Wiedziałam – zapewne wszyscy wiedzieli – że pan Watts nie wierzył w Boga. Wiedzieliśmy to od początku, a on nie musiał nawet składać takiej deklaracji. Wystarczyło spojrzeć na niego, kiedy do klasy przychodziła moja mama, aby pouczyć nas na temat istnienia diabła.

Stał wtedy za jej plecami z opuszczoną brodą, zamkniętymi oczami i rękami skrzyżowanymi na piersiach, jakby próbował się odgradzić od wszystkiego, czego musieliśmy wysłuchać. Teraz, stojąc przed słuchaczami zgromadzonymi wokół ogniska, otwarcie przyznał, że jest człowiekiem bezbożnym, uczynił to wszakże za pośrednictwem komórki znajdującej się w odległym domu. Gdyby sprawy przybrały nieprzyjemny obrót, mógł zawsze zapewnić, że od tego czasu przeszedł przemianę. Że został wybawiony od złego.

Grace była kobietą z ikrą – oraz poczuciem humoru, które potrafiła zawrzeć w napisach na ścianie. Pan Watts obawiał się, że Sara usłyszy radosny głos matki i już to skłoni ją do uwierzenia w Boga. Grace miała dar przekonywania, a niewiara w Boga mogła oznaczać zdradę matki. Pan Watts znalazł się w sytuacji bez wyjścia. Jego listy do córki przypominały szkolne notatki. Nie było w nich nic fajnego. A przecież musiały obiecywać dobrą zabawę, jeśli miały konkurować z ekscytującymi rozprawkami, które Grace pisała na temat duszy i diabła.

Kiedyś późno w nocy pan Watts zakradł się do pokoju i zamalował wybielaczem wszystkie miejsca, gdzie na ścianie pojawiała się słowo „diabeł”. Po chwili litery zaczęły zmieniać kolor na jasnobrązowy. Pan Watts był dobrej myśli. Wyglądało na to, że to obraźliwe słowo ostatecznie zniknie.

Kilka dni później zauważył, że Grace poprzyklejała do ścian taśmę maskującą, oddzielając imiona jego ulubionych fikcyjnych postaci od imion jej krewnych. Kiedy usłyszeliśmy ten fragment opowieści, jedna czy dwie starsze osoby z rodziny Grace wyraziły cicho aprobatę. Pozostali pokiwali z uznaniem głową.

Wiedzieliśmy, kto jest naszym faworytem w bitwie o komórkę; zwłaszcza moja mama wiedziała. W kategorii poczucia humoru pan Watts nie miał żadnych szans. Oto dopisek, jaki Grace umieściła pod swoimi przemyśleniami na temat przerwanych snów:

Trzęsący się pies jest znakiem. Czasami pies wstaje z ziemi i rozgląda się dokoła, jakby w zadek ugryzła go pchła. Tak naprawdę próbuje znaleźć sen, który mu uciekł. Czasami zwala się z powrotem na ziemię, kładzie pysk na łapach i czeka, aż sen do niego powróci.

Kiedy rambosi słyszeli podobne historyjki, zanosili się śmiechem, a w świetle ogniska błyskały ich białe zęby. Autorzy tych fragmentów

i anegdotek uśmiechali się do siebie w cieniu. Jedną z takich osób była moja mama. Tak się składało, że spora część tego, co Grace napisała na ścianach komórki, pokrywała się z wizją świata mamy. Wiele elementów tej wizji mieliśmy okazję poznać, kiedy mama przychodziła do klasy, aby nam przemówić do rozumu.

Piątego wieczora pan Watts zaliczył w poczet listów na ścianie wypowiedź mamy na temat Pipa i diabła, którą zaprezentowała wcześniej w klasie. Tylko my, dzieci, znałyśmy przebieg dyskusji, która odbyła się tamtego dnia w klasie. Teraz poznaliśmy przebieg tej, która miała miejsce w komórcie.

Pan Watts zażądał od Grace, aby opisała diabła. Kiedy wspomniał o tym przy ognisku, poczułam oddech mamy na karku, mimo że stała w pewnej odległości. Był to jeden z tych nielicznych przypadków, kiedy w moim odczuciu pan Watts zwracał się bezpośrednio do niej. Zamierzał wpleść ich dyskusję z klasy do opisu potyczki, jaką stoczył z Grace w komórcie. Mama była gotowa.

Zaniepokoiłam się, że pan Watts zamierza wykorzystać tę sposobność, aby odegrać się na mamie. Bałam się, że niewzruszona wiara nakaze jej zabrać głos. Zacznie dowodzić, że Bóg i diabeł istnieją, nawet gdyby miało to oznaczać złamanie reguł ustanowionych przez pana Wattsa. Miałam też świadomość, co się stanie, jeśli mama zabierze głos zbyt szybko – wyleje się z niej wyłącznie gniew.

– A zatem – rozpoczął pan Watts – jakie są wyróżniające cechy tej istoty? Czy ma rogi? Czy posługuje się wizytówką? Czy ma pozbawione warg usta? Brakuje jej brwi? Czy emanuje rozwiązłością?

Za pomocą tych pytań pan Watts odmalował przed nami obraz diabła. Ale ledwie ów obraz pojawił się przed naszymi oczami, pan Watts zaczął go rozkruszać za pomocą tych samych argumentów, którymi posłużyła się w klasie moja mama.

– Rozpoznajemy diabła, ponieważ znamy siebie. A jak rozpoznajemy Boga? Rozpoznajemy Boga, ponieważ znamy siebie.

Mamie musiało się to spodobać.

Siedzący z nami przy ognisku chłopcy, którzy wiedzieli, jakie to uczucie zaszlachtować jednego dnia czerwonoskórego, a następnego nieść przez góry rannego brata, musieli poczuć ulgę, słysząc, że nie byli do szpiku kości przesiąknięci złem. Pojęli wtedy to, czego my dowiedzieliśmy się już wcześniej w szkole. Że między panem Wattsem a moją mamą panuje wieczny pat. Pan Watts potrafił uwierzyć w jedną fikcyjną postać (Pipa), ale odmawiał wiary w inną (diabła). Mama była przekonana, że diabeł jest bardziej realny niż Pip. Gdyby została zmuszona, zapewne przyznałaby, że ilustracje przedstawiające diabła – w tym jej opis więdźmy, która zamieniła się w obrzydliwego, mięsożernego ptaka – miały po prostu robić odpowiednie wrażenie.

Nie była to historia pana Wattsa. Nie była to również historia jego związku z Grace. Słuchaliśmy zmyślonej opowieści, której wszyscy byliśmy współautorami. Nasze własne doświadczenia docierały do nas odbite od osoby pana Wattsa. Nie mieliśmy luster, bo spłonęły na stosie wraz z innymi rzeczami, dzięki którym moglibyśmy się dowiedzieć czegoś o nas; o tym, kim jesteśmy i w co wierzymy. Doszłam do wniosku, że za pomocą tej opowieści pan Watts oddaje nam część nas samych.

Szóstego wieczoru opowiedział historię z własnego, jak sędzę, życia, pokazującą sytuację człowieka, który nie wierzy w Boga. Nie wiem, czy nadał jej tytuł, ale ja to zrobię. Nazwę ją *Opowieścią o jętce*. Gdybyście byli moją mamą, moglibyście uznać, że mamy przed sobą historię poganina, który przyznaje, że wszystkie jego słowa i przekonania były fałszywe. Ja uważałam, że był to prezent dla niej.

Opowieść o jętce

Niektóre miejsca przechowują pamięć o własnej historii w samej nazwie. Jednym z nich jest ulica Spadającej Gwiazdy. Przy ulicy tej mieszkała czarna kobieta, którą wszyscy nazywali panią Sutton. Swoją zamożność mierzyła liczbą nawiedzających ją snów. Jej przemądrzały mąż, biały mężczyzna, który w istocie był zwykłym nauczycielem stolarki (nie przynosiłoby mu to ujmy, gdyby nie był złym nauczycielem stolarki), twierdził, że jej bogactwa są nic niewarte. W jaki sposób można kupić sen? Ile snów kosztują lody czy stek? Wyśmiewał się z niej i naigrywał.

Sny to nerwowe bestie – wystarczy jedno uparte słowo, a usychają i znikają. I to właśnie się stało. W kluczowym momencie opowieści podniosła wzrok i zobaczyła, jak jej żaloszny mąż strzepuje sobie z ramienia drobinę drewna. Pani Sutton próbowała zanotować sen na kartce. Na wszelki wypadek owinęła w nią mały kamień i wsadziła go sobie dokieszeni.

Zazwyczaj w chwilach takiej dekoncentracji przenosiła się w jakieś spokojne miejsce i czekała, aż strzaskany sen powróci. Ale nie tym razem. Wyszła z domu, na co jej mąż nie zwrócił uwagi. Jej nieobecność zaniepokoiła go dopiero po zapadnięciu zmroku.

Czekał na telefon, ponieważ sądził, że ona właśnie w ten sposób się z nim skontaktuje. W środku nocy zadzwoni z jakiejś budki telefonicznej na uboczu i poprosi, aby po nią przyjechał. Czekał i czekał na ten telefon. Czekał tak długo, że w końcu nie wytrzymał i wybiegł, aby jej poszukać.

Ktoś widział, jak szła w kierunku rzeki. Co z perspektywy czasu wydawało się całkiem prawdopodobne. Dlaczego? Kilka dni po jej zniknięciu świstek papieru zaplątał się przy brzegu w gałęzie zwalonego drzewa. Niektóre słowa skreślone na kartce udało się odczytać. Wyglądało na to, że pani Sutton śniła o tym, że jest jętką. Jej mąż, który w przeszłości nie wierzył w Boga, jako jedyny poważnie potraktował to stwierdzenie.

W ten sposób głupi (niegdyś) mąż jako jedyny połączył sen z zaginioną żoną.

I bynajmniej na tym nie poprzestał. Poszedł do biblioteki, aby przeczytać o transformacji, jaką przeszła jego żona. Dowiedział się, że jętka może przeżyć nawet trzy lata w szlamie na dnie rzeki.

Następny tydzień spędził nad brzegami rzeki, szukając śladów żony. Smutny był to widok. Musimy wyobrazić sobie człowieka chodzącego z pochyloną głową i wypatrującego szlamu na dnie rzeki. W końcu doszedł do wniosku, że żona pojawi się z powrotem w stosownym czasie. Wrócił do biblioteki, aby przeczytać więcej na temat cyklu życia jętek.

Wyniki poszukiwań nie były zachęcające. W dniu swojej śmierci jętka wylania się z rzeki i zamienia w skrzydlatego owada. Leniwe samce czekają już w cieniu drzew na brzegu, po czym rzucają się na samice unoszące się nad powierzchnią rzeki. Zapłodniona samica leci w górę rzeki, bombardując jej powierzchnię jajeczkami. Kiedy wykona zadanie, spada wyczerpana do wody. A tam czekają już na nią zmyślne żaby.

Trudno powiedzieć, który etap życia jętki w największym stopniu rozwścieczył pana Suttona: czekające samce czy łakome żaby.

Chłopiec wracający do domu na rowerze zauważył, że pan Sutton brodzi w górę rzeki z pochyloną głową... Próbował dostrzec pod wodą miejsce, gdzie jego żona miała się zagrzebać wraz z milionem innych larw. Biedny pan Sutton. Pokrzykiwał, próbując trafić możliwie najwięcej żab kamieniami, którymi wypchał sobie kieszenie.

Historia została przyjęta entuzjastycznie. Nie mam pojęcia, skąd pan Watts ją wytrzasnął. Kto wie, może wymyślił wszystko na poczekaniu. Wszyscy się śmialiśmy. Rambosi się zarykiwali. Najbardziej podobał im się fragment, kiedy pan Sutton próbuje trafić żaby. Wszyscy tak się śmiali, że przeoczyli chwilę, gdy pan Watts odszukał wzrokiem moją mamę.

Szóstej nocy dowiedzieliśmy się, że Sara, przyszła lokatorka komórki, zachorowała i umarła. Zapalenie opon mózgowych. Kiedy pan Watts wypowiedział te słowa, głos zamarł mu w gardle. Stał ze wzrokiem utkwionym w ognisku i po raz pierwszy niemal całkowicie opadła z niego maska Pipa. Nikt nie miał najmniejszych wątpliwości, że ten fragment nie był zmyślony.

Pan Watts w końcu się pozbierał i opowiedział, jak razem z panią Watts pochowali dziecko. Przez długi czas stali wtuleni w siebie nad małym pagórkiem z ziemi. Stali tam, aż zapadły ciemności, aż zabrakło im łez, a języki zupełnie im zdrętwiały z braku słów. Jego zdaniem nikt nie wynalazł jeszcze słów odpowiednich na taką chwilę.

– Niestety – powiedział i potrząsnął głową, wpatrzony w noc.

Pani Watts popadła w depresję. Rano nie miała siły zwlec się z łóżka. Przestała się odzywać. Rozpaczliwie poszukując lekarstwa, pan Watts przypomniał sobie o krabach pustelnikach. Ile razy w życiu krab pustelnik zmienia swój domek? Trzy, cztery razy? Pan Watts pomyślał, że być może to jest rozwiązanie. Nowy dom, nowe okna z innym widokiem. A co, jeśli Grace zabierze ze sobą boleść w nowe miejsce? Nie mógł na to pozwolić. Pan Watts uznał, że jedynym sposobem zreperowania ukochanej Grace jest skłonienie jej do całkowitej przemiany.

Po raz pierwszy pan Watts zwrócił się z pytaniem do słuchaczy.

– Jestem ciekaw, czy ktoś z was wie, kim była królowa Saby?

Rozejrzał się po oświetlonych blaskiem ogniska twarzach. Stałam u boku mamy. Jej płytki oddech przyspieszył. Czułam, jak narasta w niej poruszenie, aż w końcu coś w niej pękło. Nie potrafiła opanować potrzeby zabrania głosu. Nie podnosząc ręki, jak nauczono nas, dzieci, wypaliła: „Mówi o niej Biblia”.

Kiedy rozległ się jej głos, pan Watts wiedział dokładnie, w którą stronę spojrzeć. Myślę, że zawsze wiedział, w którym miejscu widowni stoi moja

mama. Uśmiechnął się do odwiecznej rywalki.

Podobnie jak w klasie, dał jej znak, aby kontynuowała. Wszyscy zwrócili się w naszą stronę. Jeden z rambosów wstał i podszedł bliżej, rozsuwając maczetą ludzi. Chciał zobaczyć osobę, do której należał głos. Ledwie mama znalazła się w centrum uwagi, ogarnęła ją nietypowa dla niej niepewność. Opuściła głowę. Mówiła słabszym głosem niż zwykle i skierowała swoje słowa raczej ku ziemi niż ku wpatrzonym w nią twarzom.

– Królowa Saby była bardzo mądrą czarną kobietą, która odszukała Salomona, aby przekonać się, czy zdoła dorównać jego legendarnej mądrości.

Na tym skończyła. Mama i pan Watts wpatrywali się w siebie i w końcu to on postanowił dokończyć historię własnymi słowami.

Rozejrzał się po słuchaczach i zacytował fragment Biblii: *I rozmawiała z nim o wszystkim, co leżało jej na sercu*⁹.

Niektórzy potrafią odmierzać upływ godzin na podstawie przyływów i odpływów. Inni spojrzą na pęczniejący owoc i od razu wiedzą, jaki jest miesiąc. Na skraju srebrzystego oceanu blady sierp księżyca szeptał do mnie, że zbliża się nów.

Cierpliwie odliczałam dni dzielące mnie od dwóch wydarzeń – rzecz jasna opuszczenia wyspy, ale co istotniejsze – chwili kiedy pan Watts wtajemniczy moją mamę w swój plan.

Byłam pewna, że pan Watts jeszcze z nią nie rozmawiał, bo mama skomentowałaby to w jakiś sposób. Zauważyłabym, że wie; dostrzegłabym u niej poprawę nastroju. Odczuwałaby potrzebę, aby mi o tym opowiedzieć.

Przypomniałam sobie prośbę pana Wattsa. Chciał sam poinformować mamę. Nie miałam nic przeciwko temu, żałowałam tylko, że wciąż to odwleka. Pan Watts wyraźnie zamierzał dać mamie mniej czasu na przygotowanie się, niż na to zasługiwała.

Zacytowana przez pana Wattsa opowieść o królowej Saby, zwłaszcza fragment o tym, jak rozmawiała z Salomonem o wszystkim, co leżało jej na sercu, musiała mnie ośmielić, ponieważ tamtego wieczora, kiedy ludzie zaczęli opuszczać miejsca wokół ogniska, podążyłam za panem Wattsem. Chciałam porozmawiać z nim na osobności. Stąpałam ostrożnie w ciemności, nie chcąc naruszyć spokoju otoczenia ani pana Wattsa. Dotarliśmy niemal na wysokość budynku szkoły, kiedy przystanął i obejrzał się za siebie.

Na jego twarzy dostrzegłam wyraźną ulgę – to byłam tylko ja, a nie duch uzbrojony w maczetę.

– Mój Boże, Matyldo – powiedział. – Proszę, nie podkradaj się do mnie w ten sposób.

Z jego twarzy natychmiast zniknął wyraz ulgi. Wyglądał na zniecierpliwionego, jakby wiedział, co powiem.

– Czy rozmawiał pan już z moją mamą?

– Nie – odparł i odwrócił wzrok, udając, że coś usłyszał. Spojrzał z powrotem na mnie. – Jeszcze nie, Matyldo.

Jeszcze nie. Jak na mój gust to „jeszcze nie” zostało wypowiedziane odrobinę zbyt późno po „nie”. Właśnie wtedy zrozumiałam – a przynajmniej tak mi się wydawało.

– Nie odpłynę bez mamy – oświadczyłam.

Przyglądał mi się przez chwilę, testując siłę mojego postanowienia.

Czekał, aż zmienię zdanie. Czekał, aż wycofam się ze złożonej deklaracji. Gapiłam się w ziemię jak niewdzięcznica.

– Oczywiście, że nie – stwierdził w końcu.

Ale co rozumiał przez to: „Oczywiście, że nie”? Czy powie mojej mamie? A może pogodzi się z moją decyzją? Czekałam, aż wyjaśni, co miał na myśli.

– Oczywiście, że nie – powtórzył i zniknął w ciemności.

Uznałam, że pan Watts jest zmęczony opowiadaniem, a zirytowały go nie tyle same pytania, ile ton, jakim je zadałam. Zachowałam się jak pisklę, które wypluło robaka. Być może pan Watts specjalnie przeszedł do porządku dziennego nad moją bezczelnością, a tak naprawdę zamierzał porozmawiać z moją mamą.

Mogłam za nim pobiec. Mogłam grzecznie poprosić o wyjaśnienie. A jednak tego nie zrobiłam. Wiedziałam, że takie rozwiązanie bardziej mi odpowiadało – nie chciałam wiedzieć. Wolałam wierzyć.

Następnego ranka obudziły mnie podekscytowane głosy. Mama klęczała na czworakach, rozmawiając z kimś przez drzwi. Jej wielki brzuch wisiał

nad moją twarzą. Na zewnątrz rozmawiało kilka osób. Mama wymknęła się na zewnątrz. Szybko się ubrałam i podążyłam za nią.

Poszliśmy na skraj dżungli, gdzie spali rambosi. Zobaczyliśmy tylko wydeptaną trawę i zwęglone polana wygasłego ogniska. Odeszli bez pożegnania. Cały ten epizod z naszego życia podniósł się z ziemi i zniknął w ciemnościach. Wpatrywaliśmy się w ścianę zielonej dżungli. Jakiś zestresowany ptak przeskakiwał z gałęzi na gałąź, rozglądając się nerwowo na wszystkie strony. Zastanawialiśmy się, co go tak wystraszyło.

Mamę ucieszył taki obrót wydarzeń. Chociaż przyzwyczailiśmy się do obecności rebeliantów, a oni nas tolerowali, ich odejście było zdarzeniem pozytywnym. Wiedzieliśmy, że zaśniemy spokojniejszym snem. Niektórzy z nas mieli jednak powód do zmartwień. Czy usłyszymy ostatnią część historii pana Wattsa? Czy poznamy dalsze losy odważnej uczennicy, która po tylu latach powróciła do wioski na wózku ciągniętym przez mężczyznę z czerwonym nosem?

Postanowiłam zapytać pana Wattsa o ostatnią część historii. Chciałam, by wiedział, że wciąż może liczyć na zainteresowanie słuchaczy. Opowieść jeszcze się nie zakończyła. Poza tym jeszcze jedna noc dzieliła nas od chwili, gdy pan Masoi wyciągnie łódź z wyschniętego strumienia.

Odczekałam, aż słońce wychynie spod horyzontu, a pan Watts zdąży się całkowicie przebudzić. I wtedy z mroku dżungli wyłonili się żołnierze czerwonoskórych. Mieli podarte mundury, u wielu dostrzegłam bandażę. Wyglądali na wymizerowanych. Teraz wiem, co kryje się za tego rodzaju pozbawioną wyrazu twarzą. Ich usta były rozedrgane i wykrzywione. W zasadzie nie zwracali na nas większej uwagi.

Jeden z żołnierzy wyrwał banana z rąk małego chłopca. Był to braciszek Christophera Nutuny; panu Nutunie nie pozostało nic innego, jak zacisnąć pięści za plecami i odwrócić ze wstydem twarz. Żołnierz odgryzł kawałek

i wyrzucił niezjedzoną resztę. Dowódca przyglądał się temu zajściu schorowanymi oczami i nie odezwał się ani słowem.

Byliśmy wciąż nieco zdezorientowani, kiedy zauważyliśmy, że żołnierze prowadzą zakładnika. Był to jeden z rambosów, którzy obozowali w naszej wiosce. Miał rozkwaszoną od ciosów twarz, mimo to natychmiast go rozpoznałam – był to ten rebeliant, który w pijackim widzie groził panu Wattsowi, że zerznie go w dupę. Jeden z żołnierzy wyciągnął go przed szereg. Oficer uderzył go w krzyż. Po drugim ciosie rambos upadł na ziemię. Dopiero wtedy zobaczyliśmy, że ręce ma związane na plecach. Doskoczył do niego żołnierz i kopnął go w żebra. Jeniec otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk. Wyglądał jak ryba, która rozdziawia pysk ugodzona nożem. Inny żołnierz podniósł go z ziemi i chwycił za gardło. Ze zmasakrowanej twarzy chłopaka wyskoczyły przerażone oczy.

Przyglądaliśmy się temu wszyscy; zdyscyplinowany, wyszkolony tłum. Jak zwykle zgromadziliśmy się bez rozkazu. Oficer wydawał się w mniejszym stopniu niż poprzednio zainteresowany mieszkańcami wioski. Spodziewaliśmy się, że przejrzy listę z nazwiskami i każe nam potwierdzać obecność. Ale jego interesował na razie tylko jeden człowiek. Podeszedł do rambosa. Stanął nad nim i zapytał na tyle głośno, że wszyscy mogliśmy usłyszeć:

– Pokaż, który z nich to Pip!

Rambos podniósł zakrwawioną twarz. Zdrętwiałą ręką wskazał na budynek szkoły. Oficer wydał rozkaz i dwóch jego podwładnych chwyciło rambosa za ręce i niemal ciągnąc go po ziemi, ruszyło szybkim krokiem we wskazanym kierunku.

– Skończył się czas kłamstw – powiedział do nas oficer.

Kiedy żołnierze i rambos zniknęli z pola widzenia, ogarnął mnie nienaturalny spokój. Taką właśnie reakcję wzbudza w człowieku potwornie silny strach. Pozbawia go jakichkolwiek odczuć.

Kilka minut później usłyszeliśmy odgłos strzałów. Obok szkoły pojawili się dwaj czerwonoskórzy. Karabiny przewiesili sobie przez ramię i wyglądali na znudzonych. Między nimi szedł rambos. Musieli mu przeciąć więzy, ponieważ ciągnął bezwładne ciało pana Wattsa w kierunku zagrody świń. Odwróciliśmy oczy. Niektórzy uczynili to niedostatecznie szybko i zobaczyli błysk unoszonej maczety. Żołnierze posiekali ciało pana Wattsa i rzucili jego szczątki świniom.

Nie odczuwam wzburzenia, kiedy wspominam tę chwilę. Nie mam już ataku drgawek. Nie odczuwam już fizycznego bólu. Odkryłam, że mogę odtworzyć sobie pana Wattsa w dowolnej chwili, czego dowodem, mam nadzieję, jest wszystko, co napisałam do tej pory. Wtedy sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Prawdopodobnie byłam w szoku.

Wszystko wydarzyło się tak szybko – odkrycie nieobecności rambosów, pojawienie się czerwonoskórych, w końcu zamordowanie pana Wattsa. Wszystko to przydarzyło nam się hurtem. Nie sposób było rozpatrywać zdarzenia oddzielnie. Zabrakło nam czasu na złapanie oddechu między kolejnymi.

Oficer czerwonoskórych przyjrzał się naszym przerażonym twarzom. Gniewne spojrzenie miało świadczyć o tym, że cała scena nie zrobiła na nim większego wrażenia. Uniósł podbródek i oświadczył, że skończył się czas kłamstw. Nie zamierzał ich dłużej tolerować. Wyraźnie szukał na naszych twarzach oznak strachu. Próbował przyciągnąć czyjeś spojrzenie. Kto wie, czy nie zabiłby takiego biedaka za okazaną bezczelność.

Staliśmy ze wzrokiem wbitym w ziemię, jakby w tej sytuacji to nas powinny ogarnąć wyrzuty sumienia. Oficer znajdował się tak blisko, że słyszeliśmy, jak ssie wargę, choć bynajmniej nie z tego powodu nie musiał podnosić głosu. Byliśmy tak przerażeni, że usłyszelibyśmy go, nawet gdyby mówił szeptem.

– Spójrzcie na mnie – powiedział.

Odczekał, aż wszyscy oderwali wzrok od ziemi. Jeden z dorosłych zmusił do tego szturchnięciem swoje dziecko, które się ociągało.

– Dziękuję – stwierdził niemal uprzejmie, po czym tym samym tonem zapytał: – Kto widział to, co się przed chwilą wydarzyło?

Ze wstydem muszę przyznać, że należałam do tych, którzy ponownie opuścili wzrok. Dopiero kiedy jeden z nas przemówił, wbrew własnej woli spojrzałam ponownie na oficera.

– Ja widziałem, proszę pana.

To był Daniel. Wyglądał na zadowolonego z siebie. Prześcignął kolegów i koleżanki z klasy. Oficer czerwonoskórych spojrzał na niego surowo. Nie rozumiał, że Daniel jest niezbyt rozgarnięty. Rzucił coś do jednego z żołnierzy, który skinął na innego, po czym razem zaprowadzili Daniela do dżungli. Nie stawiał oporu; szedł, wymachując rękami. Przez chwilę wydawało się, że nikt nie zareaguje. W końcu odezwała się babka Daniela; to właśnie ona opowiedziała nam kiedyś w klasie o kolorze niebieskim.

– Niech mi pan pozwoli pójść z wnukiem. Bardzo pana proszę.

Czerwonoskóry skinął głową i staruszka – ukłoniwszy mu się z wdzięcznością – pokuśtykała za żołnierzem, który sprawiał wrażenie poirytowanego, że kazano mu odprowadzić starą kobietę do dżungli.

W naszym szeregu zaczął płakać jakiś mały chłopiec. Oficer pstryknął palcami, każąc mu się uciszyć. Ręce matki zawisły w powietrzu nad głową syna. Chciała go uspokoić, ale wołała tego nie robić bez zgody oficera. Łkanie ucichło. Dopiero kiedy oficer zwrócił się w stronę drugiego końca szeregu, kobieta opuściła ręce i przyciągnęła chłopca do siebie.

Oficer czerwonoskórych wyglądał na zadowolonego z takiego rozwoju wypadków. Zupełnie jakby wszystko potoczyło się po jego myśli, może nawet lepiej niż się spodziewał. Przystąpił z nogi na nogę i splótł ręce z tyłu. Kiedy przemówił, nie patrzył w żadnym określonym kierunku.

– A teraz po raz kolejny zapytam: który z was, idiotów, widział śmierć białego mężczyzny? No kto?

Milczenie było długie i pełne napięcia. Pamiętam, że nie słychać było nawet krzyków ptaków.

Panowała absolutna cisza, aż poczułam, jak mama odsuwa się ode mnie.

– Proszę pana. Ja widziałam, jak pańscy ludzie posiekali białego mężczyznę. To był dobry człowiek. Jestem tu jako świadek Boga.

Oficer czerwonoskórych podszedł zamaszystym krokiem do mamy i uderzył ją na odlew dłonią w twarz. Siła uderzenia odrzuciła jej głowę do tyłu. Nie krzyknęła. Nie upadła na ziemię jak bezbronna kobieta. Jeżeli już, wydawało się, jakby urosła.

– Będę świadkiem Boga – powtórzyła.

Czerwonoskóry wyciągnął pistolet i wystrzelił kilkakrotnie w ziemię przed jej stopami. Ona ani drgnęła.

– Jestem świadkiem Boga, proszę pana – oświadczyła.

Dowódca wywrzeszczał rozkaz i dwóch żołnierzy złapało mamę za ręce i zaciągnęło ją w stronę rzędu chat. Nie słyszałam, aby odezwała się choćby słowem.

Chciałam pójść za nią, ale się bałam. Chciałam również stanąć w obronie pana Wattsa, ale paraliżował mnie strach. Wiedziałam, że jeśli coś powiem albo pobiegnę za matką, może stać mi się krzywda.

– Ty! Imię.

Tuż przed sobą zobaczyłam zamglone kropelki potu pokrywające twarz oficera, jego żółte oczy wypatrujące u mnie oznak strachu z intensywnością, z jaką obwąchują się psy.

– Matyllda, proszę pana.

– Jesteś spokrewniona z tą kobietą?

– To moja matka, proszę pana.

Kiedy to usłyszał, krzyknął coś do swoich podwładnych. Jeden z żołnierzy podszedł i uderzył mnie karabinem w pupę.

– Ruszaj się – powiedział. Raz za razem popychał mnie w tyłek, choć przecież wiedziałam, gdzie iść.

Kiedy przeszliśmy na tył chat, zobaczyłam mamę na ziemi. Na niej leżał jeden z czerwonoskórych. Drugi z żołnierzy zapinał spodnie. Zerknął w moją stronę i krzyknął coś do żołnierza, który mnie eskortował. Ten coś odpowiedział, wzbudzając uśmiech na twarzy mężczyzny zapinającego spodnie. Czerwonoskóry leżący na mamie obrócił głowę w naszą stronę.

– To jej córka – wyjaśnił ten, który mnie przyprowadził. Te słowa zelektryzowały z kolei mamę.

Zepchnęła z siebie mężczyznę. Była naga. Ogarnął mnie taki wstyd za nas obie, że zaczęłam płakać.

– Błagam, miejcie litość – zaczęła błagać żołnierzy. – To przecież jeszcze dziecko. Moja jedyna córka. Proszę. Błagam. Nie róbcie krzywdy mojej Matyldzie.

Jeden z żołnierzy zaklął i kazał jej się zamknąć. Ten, który wcześniej na niej leżał, kopnął ją mocno w żebra. Upadła na ziemię z okrzykiem bólu. Żołnierz złapał mnie za ramię i przytrzymał.

Mama z największym wysiłkiem usiadła, rżąc i pojękując. Wyciągnęła w moją stronę rękę. Zobaczyłam, jak każdy mięsień jej twarzy wiotczeje zdjęty strachem. Miała załzawione oczy, bezkształtne usta.

– Chodź do mnie, Matyldo – powiedziała. – Podejź tu, najdroższa Matyldo. Żebym cię mogła uścisnąć.

Żołnierz rozluźnił nieco uścisk, po czym pociągnął mnie do siebie, jak rybę schwytaną na żyłkę. Pozostali się zaśmiali.

Poczułam ulgę, gdy pojawił się oficer ze spoconą twarzą. Odniosłam wrażenie, że widok mojej mamy, sponiewieranej na ziemi, był dla niego niemiły. Jego oczy i usta wyrażały niesmak. Kazał jej wstać. Mama

z wysiłkiem wykonała rozkaz. Trzymała się za żebra. Chciałam jej pomóc, ale nie mogłam się ruszyć. Byłam przykuta do jednego miejsca.

Oficer chyba doskonale rozumiał, co czułam i myślałam, bo spojrzał na mnie z rozbawieniem. Trudno to było nazwać uśmiechem, ale jego spojrzenie już na zawsze wryło mi się w pamięć. Wziął karabin od jednego ze swoich ludzi i końcówką lufy uniósł moją sukienkę. Mama rzuciła się w jego kierunku.

– Nie. Nie! Błagam, proszę pana. Błagam.

Żołnierz złapał ją za włosy i pociągnął do tyłu.

Przemieniła się z powrotem w matkę, ale oficer tego nie dostrzegł. Dla niego wciąż była kobietą, która obiecała być świadkiem Boga. Przemówił spokojnym głosem, jak człowiek w pełni panujący nad emocjami.

– Błagasz? A co chcesz mi dać w zamian za ocalenie twojej córki?

Mama wyglądała na załamaną. Nie miała nic do zaoferowania. Oficer to wiedział i dlatego się uśmiechał. Nie miałyśmy pieniędzy. Nie miałyśmy świń. Świnie należały do innych mieszkańców wioski.

– Oddam siebie – powiedziała.

– Moi ludzie już sobie poużywali. Nie zostało ci nic, co mogłabyś nam zaoferować.

– Moje życie – odparła mama. – Oddam ci moje życie.

Oficer zwrócił się w moją stronę.

– Słyszałaś? Twoja matka zaoferowała mi swoje życie w zamian za ciebie. Co na to powiesz?

– Nie odzywaj się, Matyldo. Nic nie mów.

– Nie. Chcę usłyszeć – stwierdził czerwonoskóry. Splótł ręce z tyłu. Świetnie się bawił. – Co chciałabyś teraz powiedzieć swojej matce?

Mama patrzyła na mnie błagalnym wzrokiem. Zrozumiałam. Miałam milczeć. Miałam udawać, że głos jest moim sekretem.

– Za chwilę stracę cierpliwość – stwierdził oficer. – Nie masz nic do powiedzenia swojej matce?

Potrząsnęłam głową.

– Jak chcesz – powiedział i skinął głową na żołnierzy. Dwóch podniosło mamę i zaczęło ją odciągać. Chciałam za nimi pójść, ale oficer wyciągnął rękę i mnie powstrzymał.

– Nie. Ty zostajesz ze mną – oświadczył. Po raz kolejny zauważyłam, jak niesamowicie żółte i przekrwione miał oczy. Cierpiał na malarię. Nie mógł znieść tego, kim się stał. Nie mógł znieść tego, że jest człowiekiem.

– Odwróć się – rozkazał, a ja posłuchałam.

Przed oczami miałam wszystko, co w świecie cudownego – połyskujące morze, niebo, kołyszące się zielone palmy.

Westchnął. Usłyszałam szelest – wyciągał z kieszeni koszuli papierosa. Trzask zapalki. Poczulałam zapach dymu. Cmoknął, zaciągając się. Staliśmy tam niemal ramię w ramię przez, jak mi się wtedy zdawało, długi czas. Na pewno nie więcej niż dziesięć minut. Milczał. Nie miał mi nic do powiedzenia.

Jakże rozległy wydawał się świat leżący gdzie indziej. Ogromna część nie była w żaden sposób powiązana z naszym istnieniem i wydarzeniami rozgrywającymi się za naszymi plecami. Małe, czarne mrówki przechodziły mi przez wielki palec u nogi. Sprawiały wrażenie, jakby wiedziały, co robią i dokąd zmierzają. Nie wiedziały, że są tylko mrówkami.

Usłyszałam, jak oficer ponownie wzdycha. Pociągnął nosem. Z jego gardła wydobył się pomruk zadowolenia; swoje źródło miał gdzieś głęboko, może w burczeniu w brzuchu. Uznałam, że wydaje zgodę na coś, czego nie widzę.

Dopiero później dowiedziałam się, co to było. Żołnierze zaprowadzili mamę na skraj dżungli, w to samo miejsce, gdzie wcześniej zaciągnęli pana Watta. Tam posiekali ją na kawałki i rzucili świniom. Wszystko to stało się

w czasie, gdy ja stałam u boku oficera, wsłuchując się w fale uderzające w rafę. Gdy patrzyłam w niebo, ledwie dostrzegając zbierające się chmury burzowe, którymi powoli zaczynało zachodzić słońce. Tamten dzień miał tak wiele wymiarów, zawierał niemal zbyt wiele zdarzeń, wymieszanych ze sobą sprzeczności, że świat stracił jakiegokolwiek przymioty porządku.

Wspomnienie tych zdarzeń nie wzbudza we mnie żadnych odczuć. Wybaczcie, jeśli tamtego dnia zatraciłam zdolność do przeżywania czegokolwiek. Była to ostatnia rzecz, jakiej mnie pozbawiono – po ołówku, kalendarzu i butach, egzemplarzu *Wielkich nadziei*, mojej macie i domu, po panu Wattsie i mojej mamie.

Nie mam pojęcia, co się robi z takimi wspomnieniami. Wszelkie próby zapomnienia wydają się niestosowne. Może właśnie dlatego ludzie je spisują – aby się od nich uwolnić.

Mimo to nie przestałam się zastanawiać, czy sprawy musiały potoczyć się w ten sposób. Mama mogła przecież trzymać język za zębami. Spokoju nie daje mi inne pytanie: czy gwałt na mnie byłby aż tak wielką ceną za jej życie? Nie sądzę. Jakoś bym to przeżyła. Może obie byśmy przeżyły.

W takich chwilach zawsze przypominam sobie słowa pana Wattsa na temat bycia dżentelmenem. To staroświeckie spojrzenie na świat. Inni – obecnie sama się do nich zaliczam – chcieliby zastąpić „dżentelmena” „człowiekiem moralnym”. Pan Watts twierdził, że być człowiekiem to znaczy być istotą moralną – i to przez cały czas. Nie można sobie zrobić przerwy, kiedy nam akurat pasuje. Moja dzielna mama rozumiała to doskonale, kiedy ogłosiła się bożym świadkiem popełnionego z zimną krwią aktu zarżnięcia jej starego wroga, pana Wattsa.

Przeżyliśmy – zapewne tak to można określić. Poruszaliśmy się jak zombi, wykonując czynności związane z pogrzebami. Wszystkie usta i serca zamarły w milczeniu. Jakoś oddychałam, choć nie mam pojęcia, jak mi się to udawało. Moje serce zapewne nadal tłoczyło krew. Nie prosiłam go o to. Gdybym dysponowała guzikiem pozwalającym wyłączyć żywą część mojej osoby, nacisnęłabym go.

Ludzie odczekali, aż nabrali pewności, że czerwonoskórzy odeszli dostatecznie daleko w dżunglę. Wtedy zabili wszystkie świnie. Nic innego nie mogliśmy zrobić, aby zapewnić przyzwoity pogrzeb panu Wattsowi i mojej mamie. Pochowaliśmy świnie.

Po południu tego samego dnia przy górskim szlaku znaleziono Daniela. Wisiał na drzewie z rozłożonymi rękami i nogami, jakby został ukrzyżowany. Został przywiązany za nadgarstki i kostki do dwóch gałęzi wyrastających z pnia na różnej wysokości, w usta wetknięto mu patyk, aby nie mógł ich zamknąć. Wokół obdartego ze skóry ciała krążyło stado much. Został pochowany ze swoją babcią.

Miałam świadomość, że ludzie mnie obserwują, a jednocześnie nade mną czuwają. Miałam świadomość drobnych przejawów życzliwości.

Kiedy zapadła noc, położyłam się, ale nie mogłam zasnąć. Ani płakać. Leżałam na boku, wpatrzona w miejsce, gdzie powinna się znajdować moja mama, w blask księżyca odbijający się od jej zębów, w jej milczący triumf.

Musiałam jednak zasnąć, ponieważ obudził mnie wiatr wiejący z nietypowej strony. Nasilił się, robił się przenikliwszy, osiągnął moc tysiąca furii, aż w końcu szybko zamarł. Po nim przetoczył się potężny grzmot o sile tak wielkiej, że niebo wydawało się walić nam na głowy. Nie

potrafię sobie wyobrazić, aby ktokolwiek wciąż spał. Błyskawica rozdarła ciemności. Zaraz potem wszystko zamarło w bezruchu: my, ptaki, drzewa.

Morze zadrżało i lunął deszcz. Nie była to zwykła ulewa, która nadchodzi od morza i zmusza ludzi do szukania schronienia za drzewami. Krople spadały na ziemię, jakby ktoś ciskał w nią kamieniami. W bladym świetle poranka widziałam, jak wyrzucają w powietrze salwy błota z wydeptanej ziemi przed domem. Miałam poczucie, jakby bogowie postanowili wymazać wszelką niegodziwość, do jakiej doszło na naszej wyspie.

Deszcz w tropikach jest ciepły i szybko przechodzi. Byłam pewna, że tak będzie i tym razem, zwłaszcza że miałam do załatwienia kilka pilnych spraw. Zamierzałam wyjść na wzgórze i przekazać pani Watts wiadomość o śmierci pana Wattsa. Pan Watts chciałby, żeby się dowiedziała. Pod drzewami deszcz musiał być lżejszy. Należało tylko pokonać odsłonięty kawałek ziemi i roztańczone błoto.

Nie biegłam, jak uczyniłabym to normalnie podczas deszczu. Nie biegłam, ponieważ nie obchodziło mnie to, że zmoknę. A niech sobie pada. Miałam to gdzieś. Wątpiłam, czy kiedykolwiek zacznę się z powrotem czymś przejmować. Kiedy dostrzegłam, którądy przebiega droga na wzgórze, skręciłam, aby ominąć miejsce, gdzie pochowano świnię.

Na niewiele się to oczywiście zdało. Wspomnienie świń wyzwoliło potok innych myśli. Ponownie zobaczyłam bezwładne ciało pana Wattsa. Zobaczyłam błysk maczety. Zobaczyłam ciało rambosa, staczające się do dołu ze świniami, kopnięte od niechcenia, bezwartościowe. Zdradził już czerwonoskórym tajemnicę pana Pipa. Zobaczyłam żołnierza leżącego na mojej mamie, jego lśniący tyłek, spodnie opuszczone do kostek. Usłyszałam stęknienie mamy – dźwięk, którego nie potrafię wymazać z pamięci. Poczulałam zapach tytoniu. Zdawało mi się też, że

w rozpryskującym się błocie usłyszałam cmoknięcie ust oficera – wspomnienie chwili, gdy staliśmy razem zapatrzeni w piękno świata.

Zaczęłam krążyć bez celu, nie przejmując się specjalnie, dokąd zmierzam. Poruszałam się szybko. Próbowałam uciec od natrętnych myśli. Nic innego mną nie kierowało. Gdybym zachowała odrobinę przytomności umysłu, zdałabym sobie sprawę, że zmierzam w stronę przełomu rzeki.

Dobiegał zza drzew – potężny odgłos nurtu wezbranej rzeki. Nie potrafiłam połączyć obu elementów: deszczu i rzeki. Na deszcz zwracałam uwagę jedynie dlatego, że mokłam. Gdybym się chwilę zastanowiła, zorientowałabym się, że jest to deszcz obfitszy i intensywniejszy niż jakakolwiek ulewa, którą wcześniej widziałam. Jego gwałtowność sugerowała, że należy potraktować go poważniej; poświęcić mu więcej uwagi.

Po dojściu nad rzekę nie zauważyłam, że moje otoczenie błyskawicznie się zmienia. Rzeka, która jeszcze chwilę wcześniej znajdowała się pięćdziesiąt metrów na lewo ode mnie, teraz płynęła tuż obok – spieniona bura fala szczątków i pni drzew mknących ku morzu.

Rzeka wylewająca się z koryta nie przypomina gładkiej, stalowej powierzchni, jaką można zobaczyć w telewizji. Taka rzeka kotłuje się i burzy. Niesie w sobie szaleństwo. Daje się złapać w wiry, wydobywa się z nich, wyskakuje z wąskich zakrętów, zalewa brzegi, chciwie zagarniając ziemię. Przechwytuje wszystko, co stanie na jej drodze. Mogła nawet pochwycić mnie.

Mogłaby mnie pochwycić, a ja miałabym to gdzieś. A miałabym to gdzieś, ponieważ odebrano mi wszystko, co bliskie – mamę i pana Wattsa. Mój ojciec znajdował się gdzieś daleko i nie wierzyłam, że kiedykolwiek go odnajdę. Zostałam sama. Rzeka mogła mnie porwać i nic by mnie to nie obeszło.

Igrałam właśnie z myślą, aby dobrowolnie dać się porwać rzece, kiedy w moją stronę ruszyła sięgająca do kolan ściana wody. Zdążyłabym uciec na wyżej położone miejsce, a jednak nie ruszyłam się z miejsca. Bynajmniej nie dlatego, że chciałam umrzeć. Po prostu nigdy wcześniej czegoś podobnego nie widziałam.

Coś twardego uderzyło mnie w kolano, zapewne spory kawałek drewna. Nie widziałam, co to było. Mimo ogólnego otępienia, o którym wspomniałam wcześniej, fizyczny ból odczułam wyraźnie. Instynktownie uniosłam kolano, chwyciłam się za nie, a zaraz potem nurt wciągnął mnie do rzeki, podobnie jak to czynił z innymi niepowiązanymi z podłożem przedmiotami.

Ojciec podobno nauczył mnie pływać w ten sposób, że wrzucił mnie do wody z kei. Zdaniem mamy musiałam urodzić się z pływaczkami, ponieważ bez nich poszłabym na dno jak kamień. Od tego czasu nie bałam się wody. Byłam po prostu całkowicie oszołomiona. Wszystko działało się tak szybko. Ledwie kilka sekund wcześniej stałam na brzegu, a teraz zostałam ściągnięta na środek rzeki i porwana przez silniejszy nurt. Rzeka pędziła w kierunku morza. Ogarnęły mnie dziwne myśli.

Zdałam sobie sprawę, że mógłby to być mój koniec – wystarczyło zaprzestać walki, poddać się. Tego właśnie pragnęła powódź, a ja pomyślałam, że jak dotąd radziłam sobie nadzwyczaj dobrze. Właśnie wtedy, zupełnie bez ostrzeżenia, rzeka zmieniła charakter. Zaczęła wciągać mnie pod wodę.

Teraz przynajmniej wiedziałam, co robić. Musiałam przeżyć.

Każdy z nas przyjmuje istnienie powietrza za pewnik, ale kiedy nie możemy złapać oddechu, zaczynamy o niego walczyć. Człowiek przynajmniej wie, czego potrzebuje. Powietrza.

Woda była tak zamulona, że nic nie widziałam. Rzeka przypominała zwierzę. Miała łapy i pazury. Trzymała mnie za nogę. Ciągnęła mnie w dół.

Musiałam walczyć, aby wydostać się na powierzchnię i napełnić płuca powietrzem. Zaraz potem cykl powtórzył się od nowa. Rzeka złapała mnie za nogi i pociągnęła w dół. Nie chciała puścić. Wciągała mnie pod wodę niezliczoną ilość razy. Cóż za idiotyczna śmierć, myślałam. Jaka wykazałam się nieostrożnością. Jaka byłam głupia.

Oczami wyobraźni zobaczyłam ojca, jak opuszcza głowę na wieść o moim utonięciu. Właśnie wtedy, kiedy w płucach zupełnie zabrakło mi powietrza, wypłynąć na powierzchnię pomogła mi myśl o cierpieniu ojca. Jeszcze godzinę wcześniej miałabym gdzieś to, co się ze mną stanie. To uczucie już minęło. Wiedziałam, że mam obowiązek przeżyć.

W pewnej chwili uderzyłam w coś dużego i twardego. Oślepiąca i oszołomiona pomyślałam: dzięki ci, Boże, że zostałam wyrzucona na brzeg. Ziemia. Czułam jej niewzruszoność, jej cudowną niewzruszoność. Wyrzuciłam przed siebie rękę i uchwyciłam się wielkiej kłody.

Nie wiedziałam, jakim była wcześniej drzewem. Nie miała liści ani gałęzi. Wygładzona przez wodę kora w dotyku zrobiła się gąbkowata. Trzymałam się najzwyklejszej kłody, ale w tamtych okolicznościach, pośrodku rwącej rzeki, najzwyklejsza kłoda znaczyła wiele więcej od najzwyklejszej dziewczyny. Kłoda zawsze przetrwa. Niezależnie od tego, ile razy nurt ją obróci, ile razy cisną nią bystrza, w końcu zostanie wyrzucona na jakąś plażę. A wtedy, niezależnie od wcześniejszych losów, będzie wysychać w słońcu, każdego dnia zapadając się coraz bardziej w piasek. Przetrwa. Uznałam, że warto się jej trzymać.

Pędziliśmy z kłodą ku rozwidleniu rzeki. Wpłynęliśmy na lewy pas (że go tak nazwę), co okazało się szczęśliwe, bowiem wyniosło nas z silnego, męczącego nurtu ku spokojnej, brązowej wodzie ciągnącej się ku brzegowi morza.

Jak nazwać wybawcę? Znałam tylko pana Jaggersa. Co zatem naturalne, nazwałam swego wybawcę, kłodę, imieniem mężczyzny, który uratował

życie Pipowi. Lepiej trzymać się światowości pana Jaggersa niż oślizgłej powłoki nasiąkłej wodą kłody. Z kłodą nie mogłam porozmawiać. Mogłam za to porozmawiać z panem Jaggersem.

Rzeka rozlała się szeroko, tworząc rozległy obszar spokojnej, stojącej wody. Uznałam, że musiało nas zanieść w pobliże starego, zarośniętego chaszczami lotniska. Ta myśl podziałała na mnie uspokajająco. Strach zniknął. Przeszło mi przez myśl, że przeżyjemy, choć nie towarzyszyło temu uczucie wdzięczności, którego doświadczyłabym wcześniej, gdy rzeka próbowała wciągnąć mnie pod wodę. Mieliśmy przeżyć, a to wydawało się teraz nieuchronne, całkowicie naturalne.

Byłam jednym z sercowych nasionek, o których usłyszeliśmy w klasie. Znajdowałam się na wczesnym etapie podróży, która miała zaprowadzić mnie w inne miejsce, ku innemu życiu, ku innej formie istnienia. Nie wiedziałam tylko, gdzie i kiedy to się ziści.

W oddali dostrzegłam budynek szkoły. Gdyby tylko udało mi się skierować pana Jaggersa w tamtą stronę, mogłabym wspiąć się na dach.

Deszcz ustał. Lepkie powietrze wznosiło się, formując chmurę. Z góry dobiegł odgłos łopatek wirnika. Zamknęłam oczy i czekałam, aż czerwonoskórzy zaczną strzelać. Byłam pewna, że tak się stanie. Dostrzegą mnie i będzie po wszystkim. Chwilę później helikopter odleciał, znikając w chmurach.

Ponownie zaczęło padać. Drobnym, jednostajnym deszczem. Budynek szkoły zniknął w szarej mgle. Trzymałam się pana Jaggersa. Straciłam orientację, gdzie się znajdujemy i w którą stronę zmierzamy.

Zaczęłam się obawiać, że zniesie nas z powrotem ku rzece i zostaniemy pochwyceni przez nurt. Zostalibyśmy wtedy wyrzuceni daleko w morze, a mnie nie starczyłoby sił na dalszą walkę. Właśnie wtedy z szarej mgły dobiegł plusk wiosł, dostrzegłam ciemny zarys łodzi. Znałam człowieka,

który siedział przy wiosłach! Dostrzegłam też Gilberta i jego mamę oraz jeszcze jakąś staruszkę. Zaczęłam do nich machać i krzyczeć.

Kilka minut później wciągnięto mnie na pokład łodzi, ku cudownej lekkości świata znajdującego się ponad powierzchnią wody. Przytulono mnie. Poklepywano po twarzy i całowano. Dopiero wtedy odczułam ból w rękach.

Wychyliłam się przez boczną burtę, szukając wzrokiem wybawcy. Pan Jagers wydawał się pogodzony z faktem, iż jest zwykłą kłodą, a nielojalna Matylda, która trzymała się go w trakcie całej przeprawy, okazała się uprzywilejowaną szczęściarą.

Przez kilka chwil, które zajęło wciągnięcie mnie do łodzi, kłoda unosiła się w pobliżu, podskakując przy burcie. Co chwilę któryś koniec wznosił się na fali, a wtedy miałam wrażenie, jakby chciała zapytać, czy i dla niej nie znalazłoby się miejsce na pokładzie. Ale nikt poza mną nie patrzył na kłodę.

Wszyscy mnie wyściskali (nawet Gilbert), a pani Masoi uśmiechnęła się do mnie przez łyżę. Przytuliła swój policzek do mojego. Pan Masoi nie odezwał się ani słowem. Jego uwagę zaprzętały inne sprawy. Wyszeptał, żebyśmy siedzieli cicho. Odwrócił łódź i skierował ją na otwarte morze.

Później dowiedziałam się, że oczekiwali na zapadnięcie ciemności. Ojciec Gilberta zarządził wypłynięcie na morze dosłownie w tej samej chwili, gdy zauważyli mnie uczepioną pana Jagersa.

W nocy obudziły mnie męskie głosy. Niskie, opanowane, łagodne. Jakiś masywny kształt wyposażony w oślepiający reflektor unosił się w ciemności obok naszej łodzi. Światło było cudowne, choć zdecydowanie za silne. Para silnych dłoni złapała mnie pod ramiona. Nie wiem, czyje to były ręce, ojca Gilberta czy innego mężczyzny. Wiem za to co innego – na pierwszej twarzy, która mi się uważnie przyjrzała, malował się wielki

niepokój. Domyśliłam się natychmiast, że coś jest nie tak. Często zastanawiałam się, co zobaczyła ta osoba albo co jej się wydawało, że zobaczyła. Pamiętam tylko, że miała na nogach buty. Buty.

Ogarnął mnie spokój. Byłam bezpieczna. Musiało mnie to wtedy ucieszyć. Zostaliśmy przecież uratowani, wyłowieni z morza. Niemniej odczucia towarzyszące mi w tamtych chwilach skurczyły się do kilku drobiazgów, które przechowałam w pamięci. Łódź ojca Gilberta, którą wcześniej razem z panem Wattsem wyciągał na moich oczach na plażę, wydawała się maleńka z perspektywy pokładu większej jednostki. Pamiętam, że dostałam kubek z jakimś słodkim napojem. Była to gorąca czekolada. Pomijając buty, które zobaczyłam chwilę wcześniej, gorąca czekolada była jednym z pierwszych doświadczeń dających przedsmak świata zewnętrznego. Zaraz po nich pojawił się miękki materac, na którym się położyłam, oraz cichy warkot silnika.

Zawinęliśmy do portu Gizo. Poranne słońce rozganiało mgły wiszące nad wzgórzami. Między drzewami ciągnęły się szeregi domów. Usłyszałam szczekanie psa. Kiedy cumowaliśmy łódź do pomostu, otoczył nas tuzin roześmianych czarnych dzieciaków. Za nimi maszerowało kilka osób w mundurach. Mężczyźni w eleganckich koszulach. Zostaliśmy tam na noc. Musieliśmy ze sobą rozmawiać. Musieliśmy wieszować sobie szczęśliwej ucieczki. Mam nadzieję, że pan Masoi otrzymał specjalne wyróżnienie. Nie zapamiętałam żadnej z tamtych chwil.

Następnego dnia rano wyruszyliśmy do Honiary, stolicy Wysp Salomona. Tam powitało nas kilku policjantów. Zawieziono nas do szpitala. Zbadał mnie biały lekarz. Kazał mi otworzyć szeroko usta i poświecił mi latarką w gardło. Obejrzał dokładnie całe ciało. Zajrzał do uszu i między włosy. Nie miałam pojęcia, czego szuka. Wziął inną latarkę i poświecił mi w oczy. Pamiętam, że powiedział: „Matylda to ładne imię”, a kiedy się uśmiechnęłam, zapytał, co mnie tak rozbawiło.

Potrząsnęłam głową. Musiałabym opowiedzieć o panu Wattsie, a nie byłam jeszcze na to gotowa. Nie chciałam wspominać o panu Wattsie tylko dlatego, że inny biały człowiek skomentował moje imię.

Lekarz zmierzył mi temperaturę. Osłuchiwał mnie, sprawdzając płuca i serce. Był pewien, że coś mi dolega. Nie potrafił tylko stwierdzić co. W jego gabinecie znajdowało się mnóstwo przedmiotów. Papier. Pióra. Kartoteki. Szafki. Duża kolorowa fotografia przedstawiająca go podczas partyjki golfa. Kuczał nad putterem z równie skoncentrowaną twarzą, jak podczas oględzin mojego ciała.

Zauważyłam wiszący na ścianie kalendarz. Zapytałam, czy mogę go obejrzeć. Zobaczyłam, że jest wrzesień. Ilustracją miesiąca było zdjęcie pary białych ludzi przechadzających się po plaży. Był 1993 rok. Zorientowałam się, że przepadły mi piętnaste urodziny.

Lekarz usiadł z powrotem na krześle. Odepchnął się od biurka tak, że jego białe kolana znalazły się ponad blatem. Dłonie splótł pod brodą. W jego badawczym spojrzeniu dostrzegłam życzliwość.

– Gdzie jest twój ojciec, Matyldo?

– W Australii.

– Australia to duży kraj. Gdzie konkretnie w Australii?

– Townsville.

Opuścił nogi na podłogę i schylił się, aby podnieść pióro.

– A jak nazywa się twój ojciec?

Joseph Francis Laimo. Patrzyłam, jak zapisuje nazwisko taty.

– Moja mama nazywa się Dolores Mary Laimo – dodałam.

Ponownie odchylił się na krześle i spojrzał na mnie badawczo nad wygiętych w łuk rąk i białych kolan.

– To może opowiedz mi o swojej mamie, Matyldo.

Przypomniałam sobie, co ojciec mówił o widoku z okna samolotu. Jak maleńkie wydawały się nasze domy. Teraz rozumiałam, co miał na myśli, kiedy powiedział, że samolot przechylił się na bok i zamiast spaść z nieba, odsłonił za oknem widok.

Zobaczyłam zieleni Honiary i jej dachów, które gdy wzbijaliśmy się coraz wyżej, robiły się mniejsze i mniejsze, aż widziałam tylko niebieską plamę. Leciałam do Townsville, do ojca.

Doskonale rozumiałam, co to znaczy opuszczać jakieś miejsce. Pip nauczył mnie, co należy robić. Wiedziałam, że nie wolno oglądać się za siebie.

Nigdy więcej nie widziałam Gilberta i jego rodziny. Nie mam pojęcia, co się z nimi stało. Mam nadzieję, że wszystko się dla nich dobrze ułożyło.

W powietrzu pozostaliśmy przez wiele godzin. Chłodne wnętrze kabiny było kolejnym nowym doświadczeniem, podobnie jak wstrząsy. Musiałam się zdrzemnąć, ponieważ kiedy ponownie wyjrzałam za okno, zobaczyłam Australię; płaską, rozciągniętą i szarą jak skóra. A więc jednak nie leżała aż tak daleko. Czekałam niecierpliwie na lądowanie, ale minęło wiele godzin, zanim samolot wreszcie opadł ku ziemi. Lądowanie nie było powodem, dla którego ścisnęło mnie w żołądku. Niepokoiłam się, czy ojciec będzie mnie wciąż lubił. Miałam nadzieję, że okażę się taka, jaką mnie zapamiętał.

Miałam na sobie nowe buty, nową spódnicę i nową białą bluzkę. W papierowej torebce wiozłam starą spódnicę i starą bluzkę, w praktyce łachmany, oraz szczoteczkę do zębów.

Czarnego mężczyznę łatwo wypatrzeć w Townsville, zwłaszcza na lotnisku. Stał przy drzwiach terminalu, uśmiechnięty od ucha do ucha,

wymachując obiema rękami. Jeszcze przez okno kołującego samolotu zauważyłam, że się zmienił. Poczułam, że odzywa się we mnie krytycyzm mamy.

Niemal całkowicie przeobraził się w białego człowieka. Miał na sobie szorty i buty sięgające powyżej kostek. Biała koszula opinała się na wystającym brzuchu. Ojciec z wzajemnością lubił piwo. Tak zwykła mawiać mama.

Mężczyzna z chorągiewkami skierował samolot na wyznaczone miejsce. Chwilę później ojciec przejął obowiązki naprowadzacza, rozpościerając szeroko na mój widok ręce. Nie wiedziałam, co powinna wyrażać moja twarz. Chciałam się uśmiechnąć, ale poczułam pieczenie w oczach i zanim się zorientowałam, byłam cała we łzach. To były łzy szczęścia.

Ojciec miał na szyi srebrny łańcuszek. Kiedy mnie wyściskał, zdjął go i założył mi na szyję. Myślę, że chciał mi coś podarować, a łańcuszek doskonale nadawał się na prezent. Noszę go do dziś.

– Tylko popatrz na siebie – powtarzał. – Tylko popatrz na siebie.

Odwrócił się w stronę innych podróżnych z rozpromienioną twarzą i uśmiechem odsłaniającym białe zęby, jakby oczekiwał, że wszyscy spojrzą na mnie z zachwytem. Zapytał, czy mam jakiś bagaż.

– Tylko siebie i to – powiedziałam, unosząc papierową torbę. Chwycił mnie pod rękę, uniósł w powietrze i okręcił wokół siebie. Nie wiedziałam, czy ktoś powiedział mu już o mamie. Mógł oczekiwać, że wsiądziemy obie z samolotu. Nie poruszył tego tematu ani nie zdradził swoich odczuć.

Położył mi dłoń na ramieniu i ruszyliśmy w stronę terminalu, aby schronić się przed palącym słońcem. Zauważyłam, jak odwraca się i spogląda w kierunku pustego pasa startowego i samolotu. Kiedy zauważył moje spojrzenie, uśmiechnął się przez załamane oczy i zmienił temat.

– Mamy do odrobienia zaległości w jedzeniu – oświadczył. – Kupiłem ci tort urodzinowy na każde urodziny, które przegapiłem.

– To będą cztery torty – zauważyłam.

Zachichotał. Weszliśmy do wypełnionego chłodnym powietrzem terminalu. Ojciec trzymał mi cały czas rękę na ramieniu.

Zaczęłam chodzić do szkoły średniej. Miałam do nadrobienia kilka lat, więc początkowo siedziałam w klasie otoczona białymi dziećmi, które były ode mnie młodsze.

Drugiego dnia poszłam do szkolnej biblioteki, aby sprawdzić, czy w zbiorach znajdują się *Wielkie nadzieje*. Znalazłam egzemplarz na półce – nie był ukryty ani schowany w „bezpiecznym miejscu”; każdy mógł podejść i z niego skorzystać. Było to wydanie w twardej oprawie. Książka wyglądała na niezniszczalną. Zniosłam ją do jednego ze stołów, usiadłam i zaczęłam czytać.

Tekst był bardziej rozwlekły, niż zapamiętałam. Znacznie bardziej rozwlekły, a do tego trudniejszy. Gdyby nie znajome imiona, pomyślałabym, że czytam zupełnie inną książkę. Wtedy uświadomiłam sobie przykrą prawdę. Pan Watts czytał nam inną wersję powieści. Wersję uproszczoną. Zachowując to, co najistotniejsze w *Wielkich nadziejach*, przeformułowywał zdania, niekiedy na poczekaniu, aby ułatwić nam zrozumienie sensu. Pan Watts przerobił arcydzieło pana Dickensa.

Brnęłam przez nową dla mnie wersję *Wielkich nadziei*, przesuwając czubkiem palca pod każdym słowem w każdym zdaniu. Czytałam powolutku, a kiedy skończyłam, przeczytałam całość ponownie. Chciałam zrozumieć to, co zrobił pan Watts, i upewnić się, że poczucie rozczarowania nie było wynikiem moich błędów.

Nasz wysiłek odtworzenia fragmentów książki przypominał zatem próbę odbudowy zamku za pomocą źdźbła słomy. Nie zapamiętaliśmy ich dokładnie, ale cóż w tym dziwnego, skoro pan Watts nie przedstawił nam pełnej wersji historii. Ze zdumieniem odkryłam postać Orlicka. W wersji

pana Dickensa Orlick rywalizuje z Pipem o względy Joego Gargery'ego. W końcu atakuje siostrę Pipa, a potwornie poturbowana kobieta traci zdolność mowy. Próbuje nawet zabić Pipa! Dlaczego pan Watts nam o tym nie opowiedział?

Ponadto odkryłam, że kiedy Magwitch zaskoczył Pipa na cmentarzu, na bagnach ukrywało się dwóch skazańców. Dlaczego pan Watts zataił istnienie drugiego uciekiniera? Kiedy zobaczyłam pierwszą wzmiankę o Compeysonie, nie uwierzyłam w realność tej postaci. Czytałam dalej i odkryłam, że był zaprzysięgłym wrogiem Magwitcha. Compeyson okazał się mężczyzną, który wystawił do wiatru miss Havisham w dniu jej ślubu. Wiele lat później to Compeyson wydaje w ręce policji Magwitcha, który razem z Pipem i Herbertem Pocketem czeka w łodzi pośrodku rzeki na parowiec, który ma go wywieźć z Anglii. Historia w oczywisty sposób się powtarza. Pip ma ponownie odegrać rolę wybawiciela. Ale tym razem sprawy potoczą się inaczej.

W wersji pana Dickensa Compeyson wskazuje drogę żandarmom, którzy podpływają do bohaterów łodzią. Magwitch rzuca się na starego wroga i obaj wpadają do rzeki. Z toczącego się pod wodą pojedynku zwycięsko wychodzi Magwitch, a Compeyson znika z kart powieści wraz z odpływem.

Zwycięstwo Magwitcha nad Compeysonem przywraca, jak sądzę, honor miss Havisham, ale jakim kosztem? Życie wielu ludzi zostało już wcześniej zrujnowane.

Początkowo skrótów pana Wattsa wzbudzały we mnie złość. Dlaczego nie trzymał się wersji pana Dickensa? Przed czym nas chronił?

Być może przed sobą albo potępieniem ze strony mojej mamy, co zapewne wyszłoby na jedno.

Podczas dyskusji o realności diabła i Pipa powstał problem znalezienia odpowiedniego języka. Ugodowy, jak zawsze, pan Watts próbował pomóc

mamie, sugerując, że wytwory ludzkiej wyobraźni czasami wchodzą nam w drogę. Mama jak zwykle chętnie skorzystała z okazji do postawienia na swoim i zaripostowała, że jej zdaniem na tym właśnie polega problem z tym pierońskim Dickensem.

Tamtego dnia została w klasie, aby posłuchać, jak pan Watts czyta *Wielkie nadzieje*. Jedno zdanie wzbudziło jej szczególną irytację. *W miarę jak przyzwyczajałem się do mych wielkich nadziei, nieświadomie zacząłem obserwować ich wpływ na siebie samego i na otoczenie*¹⁰. My, dzieci, przysłuchiwaliśmy się sporowi rozdygotane z emocji, które zawsze towarzyszyły dyskusjom między moją mamą a panem Wattsem. Nam zdanie wydawało się całkowicie niewinne. Co miałyby w nim być podejrzanego? Można wyjrzeć przez otwarte okno i przekonać się, że stwierdzenie na temat samorealizacji nie wzbudziłoby zdziwienia trawy ani kwiatów, ani pleniących się wszędzie powojów.

Mama stwierdziła, że nie ma zastrzeżeń do stwierdzeń zawierających oczywiste fakty. Przeszkadzało jej to pierońsko głupie słowo „nieświadomie”. W jakim celu go użyto? Wprowadzało tylko zamieszanie. Gdyby nie to pierońskie „nieświadomie”, zrozumiałaby fragment od razu, a tak zaczęła mieć podejrzenia, że sprawa wcale nie jest jednoznaczna.

Zmusiła pana Wattsa, aby ponownie przeczytał podejrzanę zdanie, i nagle wszyscy zrozumieliśmy, co miała na myśli. Pan Watts zapewne też. Zdaniem mamy była to zwykła „wymuskana angielszczyzna”. Stosując podobne sztuczki, doprawia się mdłą potrawę albo uatrakcyjnia białą bluzkę za pomocą czerwonego lub niebieskiego obrąbka. Temu właśnie miało służyć słowo „nieświadomie” – upiększeniu zwykłego zdania. Jej zdaniem pan Watts powinien usunąć niewłaściwe słowo.

On oświadczył, że tego nie robi. Nie wolno majstrować przy Dickensie. Słowo należało do pisarza, podobnie jak całe zdanie. Usunięcie

niewygodnego słowa równałoby się aktowi wandalizmu, jak rozbicie witraża w kaplicy.

Mimo to podejrzewam, że od tego dnia postępował dokładnie w odwrotny sposób. Usuwał upiększenia z opowieści pana Dickensa, aby uczynić ją łatwiejszą dla naszych młodych uszu.

Pan Dickens. Minęło sporo czasu, zanim zrezygnowałam z tego „pana”. Pan Watts pozostał wszakże panem Wattsem.

Podczas lat spędzonych w Townsville przeczytałam z mniejszą lub większą przyjemnością inne powieści Dickensa: *Olivera Twista*, *Dawida Copperfielda*, *Nicholasa Nickleby’ego*, *Magazyn osobliwości*, *Opowieść o dwóch miastach*, *Samotnię*. Nieustannie wracałam do *Wielkich nadziei*. Nigdy mi się nie znudziły. Przy każdej kolejnej lekturze odkrywałam coś nowego. Oczywiście wiele fragmentów ma dla mnie wymiar osobisty. Do dziś nie potrafię przeczytać wyznania Pipa – *Bardzo to bolesne, gdy się człowiek wstydzi swego rodzinnego domu*¹¹ – nie odczuwając tego samego w stosunku do mojej wyspy.

Na dość zaawansowanym etapie powieści, a dokładnie w osiemnastym rozdziale, Pip odkrywa, że nigdy nie powróci do dawnego życia na bagnach. Ja coś podobnego uświadomiłam sobie znacznie wcześniej. Jako wystraszone czarne dziecko obarczone traumą spójrzałam na zieloną Honiarę z pokładu samolotu i uświadomiłam sobie, że nigdy w tamte strony nie powrócę.

Moja mama należała do świata, o którym próbowałam zapomnieć. Nie chciałam zapomnieć o niej, ale zawsze istniała groźba, że wraz z nią do pamięci wtargną inne wspomnienia. A wtedy zobaczę ponownie żołnierzy i poczuję woń strachu ogarniającego stojącą obok mnie mamę – stanie się to na przystanku autobusowym albo tu, w bibliotece.

Czasami byłam bezsilna. Nie potrafiłam w porę zatrzaskać drzwi do pokoiku w głowie, gdzie ją umieściłam. Mama funkcjonowała według

własnego rozkładu dnia i potrafiła mnie zaskoczyć w dowolnym momencie. Otwierała drzwi i opierała dłonie na biodrach, jakby chciała zapytać: „A co ci, na litość boską, chodzi tym razem po głowie?”. Ja chwilę wcześniej zatrzymałam się przy stoisku z kosmetykami. To wystarczało. Albo kątem oka dostrzegałam prezerwatywy za szybą przy kasie. Te przedmioty wchodziły w skład świata, do którego jeszcze nie należałam. Zaczynałam jednak myśleć, że mogłabym należeć – za jakiś czas.

Mama pojawiała się również w całkowicie zrozumiałych sytuacjach. Raz na widok matki z córką na stoisku z bielizną. Kobieta była uszczęśliwiona jak świnia w melasie. Brała do ręki kolejne biustonosze i wymachiwała nimi przed zniesmaczoną córką. Dziewczynka odgrodziła się od świata, splatając ręce na piersiach. Nie miała zamiaru uczestniczyć w zabawie, której oddawała się jej mama. Skrzyżowane ręce miały ochronić ją przed radami matki.

Nie znałam dziewczynki ani jej mamy, ale rozumiałam występujące między nimi napięcie. Niewypowiedziane, a mimo to równie potężne, jak słowa. Niewidzialne, a mimo to twarde jak ściana.

Wpatrywałam się w nie, aż ktoś uderzył mnie wózkami w tył nóg. Biały chłopiec krzyknął na mój widok.

– Przepraszam – powiedziała matka.

Właśnie w taki sposób poruszałam się po świecie matek i ich dzieci – niczym turysta przechadzający się w zoo. Zafascynowany i przepelniony odrazą.

W ostatniej klasie w Townsville dostałam wyróżnienie z angielskiego. Przeszłam przez scenę, aby odebrać dyplom, a kiedy odwróciłam się w stronę bijącej brawo widowni, zobaczyłam stojącego ojca, który klaskał w dłonie nad głową. Był ze mnie tak absurdalnie dumny. Ze swojej czempionki. Tak właśnie lubił mnie nazywać. Czempionka. Kiedy mieliśmy

gości, przyciągał mnie przed nich i mówił: „Zapytajcie ją o cokolwiek związanego z Karolem Dickensem”.

Jakże był ze mnie dumny. Nie miałam serca powiedzieć mu o panu Wattsie. Wolałam, aby myślał, że to wszystko jego zasługa.

Ukończyłam uniwersytet Queensland. Na drugim roku, po rozpoczęciu trzeciego semestru, ojciec przyleciał do Brisbane, aby mnie odwiedzić. Wyszłam po niego na lotnisko, gdzie ku mojemu zaskoczeniu zobaczyłam go w towarzystwie kobiety. Miała na imię Maria i raz w tygodniu sprzątała nasze mieszkanie. Pochodziła z Filipin i słabo mówiła po angielsku. Teraz szła z ojcem pod rękę przez pas startowy. On miał czoło zroszone potem. Kiedy zrozumiałam, jak bardzo jest zdenerwowany, poczułam dziecienną ulgę. Wciąż kochał swoją Matyldę.

Mimo to odkąd Maria wprowadziła się do niego, nasza relacja nieco się zmieniła. Ona starała się, jak mogła. Pod pewnymi względami starała się przesadnie. Chciała, żebym ją polubiła, ale ja nie potrafiłam kochać jej w ten sam sposób, jak mamę. Prosiła, żebym opowiedziała jej o swojej mamie. Twierdziła, że ojciec nie chciał o niej mówić. Ucieszyło mnie to.

Mama była wspomnieniem, którym nie zamierzałam się dzielić, poza tym na samo jej wspomnienie moje myśli wędrowały ku wyspie, tymczasem ani ja, ani ojciec nie chcieliśmy tam wracać. Maria wiedziała, że nie zastąpi mojej mamy, ale kiedy poprosiła, żebym ją opisała, potrafiłam się zdobyć tylko na takie słowa: „Była bardzo odważną kobietą, najodważniejszą na świecie. Poza tym niemal wszystko u taty ją złościło”. Maria zaśmiała się; ja też się uśmiechnęłam, ponieważ zdołałam wykręcić się od odpowiedzi.

Ludzie pytają mnie czasami: „Dlaczego akurat Dickens?”, w czym zawsze dopatruję się lekkiej nagany. Odsyłam ich do książki, która obdarzyła mnie innym światem, w czasie gdy było mi to niezwykle potrzebne. Dała mi

przyjaciela w osobie Pipa. Nauczyła mnie, że można wcielić się w skórę innej osoby równie łatwo, jak we własną, nawet jeśli ta skóra jest biała i należy do chłopca zamieszkującego Anglię Dickensa. Czy można to określić inaczej niż magią?

Mimo to mam opory przed namawianiem innych, zwłaszcza ojca, do lektury *Wielkich nadziei*. Pamiętam, jak wielki zawód przeżył pan Watts, kiedy Grace nie potrafiła pokochać świata, który on kochał. Nie chciałam doświadczyć czegoś podobnego albo wzbudzić w ojcu poczucia, które musiało towarzyszyć Grace, że jest szczeniakiem, któremu ktoś podtyka pod nos miskę z mlekiem w kształcie książki. Nie miałam na to najmniejszej ochoty. Niektóre sfery życia nie muszą być identyczne u wszystkich.

W Brisbane przez pewien czas pracowałam na zastępstwie jako nauczycielka w dużej katolickiej szkole dla chłopców. Przekonałam się, że każdy nauczyciel ma swoje koło ratunkowe. Moim było czytanie na głos *Wielkich nadziei*. Prosiłam nową klasę o dziesięć minut ciszy – i o nic więcej. Jeżeli po upływie dziesięciu minut będą znudzeni, mogli wstać i wyjść. Uczniowie uwielbiali tego rodzaju umowy. Bunt mieli we krwi. Twarze pęczniały im od pomysłów, co zrobią w wolnym czasie.

Powstrzymując cisnący się na usta uśmiech, zaczynałam czytać pierwszy rozdział; scenę, gdzie skazaniec łapie Pipa za brodę. *Pokaż, gdzie mieszkasz. Pokaż palcem to miejsce*¹². Nie sposób czytać Dickensa, nie przykładając się nieco bardziej niż do innych książek. Nie sposób zjeść dojrzałej papai, nie brudząc sobie brody jej mięszem i sokiem. Na podobnej zasadzie język Dickensa zmusza usta do robienia nietypowych rzeczy, a jeśli ktoś nie jest przyzwyczajony do jego słownictwa, połamie sobie język. Musiałam tylko pamiętać, aby przerwać po dziesięciu minutach. Podnosiłam wzrok i czekałam. Nigdy się nie zdarzyło, aby ktokolwiek opuścił ławkę.

Kiedy zaczęłam pisać pracę doktorską na temat sierot Dickensa, wiedziałam więcej o człowieku, którego nigdy nie poznałam (pomijając jego książki i poświęcone mu biografie), niż o człowieku, który mnie z nim zapoznał.

Dziękowałam Bogu za to, że akurat wtedy pojawiła się Maria, ponieważ miałam wymówkę, aby nie wracać do Townsville. Maria i tata potrzebowali trochę czasu dla siebie. Ilekroć wyobrażałam sobie, jak leżą w sypialni pod leniwie obracającym się wiatrakiem, usuwałam z wizji Marię i zastępowałam ją mamą. Tata otaczał ją ramieniem. Ona kładła głowę na jego piersi. Rozjaśniałam jej usta uśmiechem, który pamiętałam z fotografii przedstawiającej rodziców w dawnych, radosnych czasach.

Usłyszałam ulgę w głosie taty, kiedy zadzwoniłam, żeby go poinformować, że nie wracam do domu po zakończeniu semestru. Przypuszczał, że zamierzam pracować przez wakacje. Nie powiedziałam mu, że chcę dowiedzieć się więcej o życiu pana Wattsa w Wellington w Nowej Zelandii.

Był grudzień, środek lata, więc nie spodziewałam się tak niskich temperatur. Porywisty wiatr smagał drzewa i ludzi. Papier – nigdy wcześniej nie widziałam tylu unoszących się w powietrzu kartek – latał po lądowisku i oblepiał słupy wysokiego napięcia. Ptaki nie próbowały nawet wzbijać się w powietrze, tylko kłębiły się na szkolnym boisku, które mijalam w taksówce.

Myślałam o Grace. Jako świeżo upieczona absolwentka szkoły siedziała z twarzą przyciśniętą do okna taksówki podobnej do tej, która wiozła mnie do centrum tętniącego życiem miasteczka. Zatrzymałam się w hostelu wypełnionym hałaśliwą młodzieżą z całego świata. Przyjechali tam, aby się wspinać, uprawiać piesze wędrówki, surfować, jeździć na nartach, skakać na bungy i upijać się.

Falami powracały wspomnienia o elementach świata, o którym opowiedział nam pan Watts. Nie mogłam się nadziwić, że otaczały mnie same budynki zbudowane z cegieł. Oraz trawa. Pan Watts miał rację. Trawa niepotrzebnie wciska się dosłownie wszędzie. Wypełnia odbłaskami szyby. Ciągnie się wzdłuż ulic. Przelewa się przez kolejne wzgórza.

Zajrzałam do książki telefonicznej i znalazłam czterdziestu trzech Wattsów. Przy dziewiątej albo dziesiątej próbie usłyszałam: „Och, myślę, że szuka pani June Watts”. Kobieta podała mi nazwę ulicy, a ja znalazłam w książce telefonicznej pod tym adresem J. Watts. Wykręciłam numer.

– June Watts, słucham?

– Czy jest pani może mężatką?

Cisza.

– A kto mówi?

– Mam na imię Matylda. Pani mąż był moim nauczycielem...

– Tom?

Sądziłam, że wybuchnie śmiechem, ale z jej gardła wydobył się inny dźwięk, który wcale nie musiał wyrażać zaskoczenia.

– Przed laty. Na wyspie.

– Och – powiedziała. Ponownie zapadło milczenie, a ja wyczułam, że kobieta próbuje się opanować. – Wnioskuje z tego, że znasz tę kobietę? Grace.

– Tak, pani Watts – powiedziałam. – Wiem, że był ktoś taki. Nie znałam jej osobiście. Grace zmarła kilka lat temu.

Po drugiej stronie słuchawki zapadło milczenie.

– Pomyślałam, że mogłabym panią odwiedzić, pani Watts – powiedziałam.

Milczenie przedłużyło się, zamieniając w osąd.

– Miałam nadzieję...

– Jestem dziś dość zmęczona – stwierdziła. – A o co konkretnie chodzi?

– O pani męża, pani Watts. Był moim nauczycielem.

– Tak. Wspominałaś o tym. Ale dziś będzie trudno. Właśnie miałam wyjść.

– Ja mogę tylko dziś. Wracam samolotem do Australii jutro po południu.

Wzięła głęboki oddech. Czekałam z zamkniętymi oczami.

– No cóż... To nie potrwa długo, prawda?

Poinstruowała mnie, jak dojechać do jej domu. Musiałam pokonać kawałek trasy pociągiem. Ze stacji szło się dziesięć minut przez dzielnicę z ceglanych domów. Przy każdym z nich znajdował się ogrodzony płotem i murem ogródek. Na niektórych napisano brzydkie słowa, które mama próbowałaby usunąć szczotką. Albo wpatrywałyby się w nie tak długo, że zwinęłyby się ze wstydu, rozsypały i odpadły od ściany. Minęłam boisko sportowe okupowane przez ptaki – kaczki, sroki, mewy – i bandę

zakapturzonych mężczyzn z brzuchami wylewającymi się z obszernych spodni i nogawkami zachodzącymi na adidasy. Kiedy zostawiłam za sobą boisko, przeszłam obok kilku niezamieszkanymi, zniszczonych przez wiatr domów z wyschniętymi ogrodami.

Wskazówki od June Watts były bardzo precyzyjne. Miałam pamiętać, aby nie pomylić wejścia A i B. Osoby wchodzące do A witał zły pies.

Duża, powolna kobieta w białych spodniach w niczym nie przypominała tej z moich wyobrażeń o żonie pana Watts. Nie przypuszczałam na przykład, że będzie miała na sobie koszulkę z napisem na piersiach. Brzmiał: „Uśmiechnij się”. Sądząc, że może tego oczekiwać od wszystkich, uśmiechnęłam się. Jej twarz pozostała niewzruszona.

Podejrzewam, że mój wygląd również ją zaskoczył. Swoje domysły oparła zapewne na wyraźnie australijskim akcencie, który usłyszała przez telefon. Bez wątpienia nie spodziewała się kogoś tak bardzo czarnego. Miałam też czarne buty, a podczas blokady zapuściłam długie włosy. Mama czasami straszyla, że chwyci mnie wpół i podrapie się moją czupryną w plecy tam, gdzie nie sięgała ręką.

June Watts zamknęła drzwi i zaprowadziła mnie do salonu. Okna były przesłonięte koronkowymi firankami, przez co w pomieszczeniu panował lekki mrok. Pani Watts klasnęła niespodziewanie w dłonie, a ja podskoczyłam ze strachu. Wielki szary kot z wyraźnym niezadowoleniem zszedł z fotela. Pani Watts dała mi znak, abym tam usiadła, a sama spoczęła na kanapie po drugiej stronie niskiego stolika. Na blacie leżała paczka papierosów. Sięgając po nią, podniosła wzrok i spojrzała na mnie spod przymrużonych powiek.

– Nie masz nic przeciwko temu, że zapalę? – spytała. – Z jakiego powodu jestem spięta.

– Nie ma powodów, żeby była pani spięta z mojego powodu, pani Watts – zaśmiałam się, aby pokazać, że jestem życzliwie nastawiona. – Dziękuję,

że pozwoliła mi pani dziś przyjść. Pani mąż wywarł na mnie wielki wpływ.

– Tom?

Mruknęła tak samo, jak podczas rozmowy telefonicznej. Zapaliła papierosa i wstała, aby otworzyć okno.

– Wyszłam za słabego mężczyznę, Matyldo – powiedziała. – Nie chcę być niemila, ale to prawda. Tom nie był odważnym człowiekiem. Powinien był mnie zostawić, a nie zwodzić.

Pani Watts zaciągnęła się i wydmuchnęła dym. Machnęła ręką, rozpędzając go na boki, i wróciła na kanapę.

– Ale wątpię, aby kiedykolwiek o tym wspomniał.

– Przepraszam, bo nie rozumiem, pani Watts. Nie wspomniał o czym?

Odwróciła głowę w stronę przedpokoju.

– Ta kobieta mieszkała obok nas. Pod A, gdzie jest pies, o którym wspomniałam przez telefon. Powinnam się była domyślić, że coś się święci. Kilka razy przyłapałam go z uchem przytkniętym do ściany. Pytałam go wtedy: „Tom, na litość boską, co ty wyprawiasz?”. Nie pamiętam jego kłamstw, było ich tak wiele. Ale przecież musiał się skutecznie wykręcać, ponieważ ani przez moment nie podejrzewałam, że coś między nimi jest. Nie domyśliłam się niczego, nawet gdy odwieziono ją do Poriruy, a on zaczął ją tam odwiedzać.

– Poriruy?

– Szpitala psychiatrycznego. Wariatkowa, rozumiesz?

Przerwała, aby zaciągnąć się papierosem.

– Jeżeli masz ochotę, mogę zaparzyć herbatę.

– Dziękuję, pani Watts. Bardzo chętnie się napiję – odparłam.

Na ścianie wisały fotografie. Próbowałam je ogarnąć jednym szybkim spojrzeniem. Nie chciałam, aby June Watts uznała mnie za wścibską. Byłam wścibska, ale nie chciałam się z tym zdradzić. Zapamiętałam tylko jedno zdjęcie – przedstawiało młodą parę. On miał ciemne włosy i ożywione

spojrzenie. Otwarte usta rozjaśniał różowo-biały uśmiech. W butonierkę wetknął sobie czerwony kwiat. Ona wyglądała młodo, ale miała zawzięty wyraz twarzy: jeszcze nie gniewny, ale tak na granicy. Była ubrana w bladoniebieską sukienkę i dopasowane do niej buty. Kiedy June Watts krzątała się w kuchni, ja wpatrywałam się w kwiatek w klapie marynarki pana Wattsa. Gdyby skończyły nam się tematy do rozmowy, mogłabym zapytać, jak się nazywa.

Poszłam do kuchni. June Watts poruszała się powoli. Miała chyba problemy z biodrem.

– Czy pan Watts kiedykolwiek zakładał czerwony nos klauna?

Opuściła torebkę z herbatą do filiżanki i przybrała zamyślony wyraz twarzy.

– Nie przypominam sobie. Ale nie zdziwiłabym się, gdyby coś takiego zrobił.

Czekałam, aż zapyta, skąd mi to przyszło do głowy.

Milczenie się przedłużało. Gdybym była psem, usiadłabym na łapach i wywiesiła język. Nie zapytała. Wyłączyła z prądu czajnik i nalała wodę do filiżanek.

– Mam jeszcze ciastka. Afgańskie.

– To bardzo miłe, pani Watts.

– Nieczęsto miewam gości – wyznała. – Wyszłam i specjalnie kupiłam ciastka afgańskie.

– Dziękuję, pani Watts. To bardzo miło z pani strony.

Poszłam za nią do salonu, niosąc tacę.

– Poznałam Toma w Urzędzie Normalizacyjnym. Oboje tam pracowaliśmy. Naszym zadaniem było opracowywanie standardów we wszystkich dziedzinach, jakie można sobie tylko wyobrazić. Proporcje cementu i wody we wszystkim. Byliśmy młodzi. W tamtych czasach wszyscy byli młodzi. Na to przede wszystkim narzekają starzy. Przestajesz

widywać młodych ludzi. Człowiek zaczyna się zastanawiać, czy jeszcze jacyś istnieją. A może młodzi ludzie istnieli tylko wtedy, kiedy sam był młody?

Odczekałam, aż odgryzła kawałek ciastka, po czym zrobiłam to samo.

– Rzadko rozmyślałam o Grace – powiedziała, łapiąc okruchy w dłoń. – Nie poświęcałam jej dostatecznie wiele uwagi. Cały czas się śmiała. – Pani Watts skrzywiła się. Cały czas się śmiała. Zrozumiałam, że mówiła to krytycznie. – Zupełnie jakbym miała za sąsiadkę kobietę, która nieustannie chodzi urznięta.

Sięgnęła po kolejnego papierosa i zapaliła zapałkę. Na jej twarzy pojawiło się skupienie.

– No to co słyhać u Toma? Stary głupol. Minęło sporo czasu. Widziałas go ostatnio?

Jej uwagę przykuł kot, który obdrapywał fotel. Nie zauważyła wstrząsu, jaki wywołało u mnie to pytanie. Szybko się opanowałam i podjęłam decyzję, jakiej odpowiedzi udzielić.

– Kiedy go ostatni raz widziałam, czuł się dobrze – powiedziałam. – Ale to było kilka lat temu, pani Watts. Mieszkam teraz w Brisbane.

– No cóż, dla mnie to już przeszłość. Było, minęło, prawda? Mam teraz inne problemy.

Przerwała, zapewne oczekując pytania, o jakie problemy chodzi, ale nie byłam tym zainteresowana. Ciekawiło mnie za to, czym pan Watts zajmował się w Urzędzie Normalizacyjnym.

– Tym samym, co reszta – wyjaśniła. – Praca biurowa i inne takie. Ja byłam sekretarką. Tom pracował w dziale wydawnictw.

– A wie pani może, co to jest jętka? – zapytałam zapewne z braku innych pomysłów.

Spojrzała na mnie zdumiona. Poczułam się w obowiązku wyjaśnić.

– Samica w postaci larwy leży w mule na dnie rzeki przez trzy lata. W końcu przekształca się w skrzydlatego owada i wylatuje nad powierzchnię, gdzie zostaje zapłodniona przez czekającego na nią samca.

Zmarszczyła brwi, jeszcze bardziej zdumiona.

– Pani mąż opowiedział nam, dzieciom, tę historię.

– Tom wam coś takiego opowiedział? No cóż, Tom zwykł opowiadać wiele historii. – Zerknęła na leżący między nami półmisek. – Zjedz ciastko. W kuchni mam jeszcze więcej.

Wiedziałam, że kiedy sobie pójdę, pani Watts pozwoli wielkiemu szaremu kotu wejść z powrotem do pokoju i razem będą oglądać telewizję. Była to jedna z rzeczy, do których musiałam przyzwyczać się po zamieszkaniu z tatą. Telewizja. Tata pokrzykiwał w stronę telewizora. Wskazywał różne rzeczy palcem. Klócił się z nim. Razem z telewizją się śmiali, kiedy ja próbowałam zasnąć w sąsiednim pokoju. Nie narzekałam, ponieważ miałam świadomość, że telewizja i tata są bliskimi przyjaciółmi.

Spojrzałam w stronę koronkowych firanek. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, że młoda stypendystka z naszej wyspy mieszka sama w sąsiednim mieszkaniu, w podobnym pokoju. Wyjrzałam przez okno. Na zewnątrz panowała dojmująca cisza. Pan Watts powiedział nam kiedyś, że cisza była pierwszym językiem, w który się wrodził. Żartobliwym tonem opowiadał, jak z nudów stawał na koszu na śmieci i walił w niego kijem od miotły. Miał pięć lat i atak na kosz nie przynosił żadnych rezultatów. Cisza ponownie wypełniła luki w strzaskanym świecie. Zrozumiałam, że pan Watts pochodził z miejsca, w którym nie żyły papugi. Nie słyszał krzyków dzikich zwierząt, które rozlegają się w najbardziej nieoczekiwanym momencie i sprawiają, że człowiekowi zamiera serce. Toczyło się tam bezbarwne życie; z latarni zwisały kwiaty, czekając na pełne podziwu spojrzenia, a psy krążyły po ulicach stęsknione za ludźmi.

Kiedy tak siedziałam w wypełnionym zatęchłym powietrzem salonie pani Watts, przyszło mi do głowy, że Grace musiała oglądać to samo niebo i te same przepływające nisko chmury. Musiała odczuwać tę samą grobową pustkę w sercu.

Wstałam, zbierając się do wyjścia.

– Przypuszczam, że wiesz o jego działalności teatralnej? – spytała szybko pani Watts.

To musiał być jej ostatni atut. Chciała zatrzymać mnie dłużej.

Przykucnęła na niesprawnym udzie i zaczęła szperać na dolnej półce biblioteczki. W końcu wyjęła stamtąd album. Uderzyła w niego ręką, strzepując kurz, po czym mi go podała. Album wypełniały programy teatralne, recenzje i zdjęcia pana Wattsa wcielającego się w różne postacie. Przejrzałam okładki programów: *Pan inspektor przyszedł*, *Pigmalion*, *Dziwna para*, *Śmierć komiwojażera*. Te zapamiętałam, ale było ich znacznie więcej. Towarzyszyło im mnóstwo zdjęć pana Wattsa w kostiumach. W oczywisty sposób były to produkcje amatorskiego zespołu teatralnego. Uniesiona ręka ściskająca sztylet, ozdobna peleryna, szaleńczy błysk w oku bohatera zazdrosnego, udręczonego, niebezpiecznego, mściwego – wszystkie tanie emocje, po które chętnie sięga teatr amatorski. Przeglądałam kolejne strony albumu.

– To Tom w *Królowej Saby* – wyjaśniła June Watts. – A to ona. Cholerna królowa Saby. Reżyser miał kilka zabawnych pomysłów. – W tym momencie obie zauważyłyśmy ten sam szczegół. – Popatrz. Pytałaś o to. Teraz sobie przypominam. Reżyser uznał, że Tom powinien założyć czerwony nos klauna i ciągnąć wózek z królową Saby. Miało to symbolizować spotkanie umysłów. Nie pytaj jak i dlaczego...

Pan Watts i Grace wyglądali niesamowicie młodo. Gdyby June Watts nie zwróciła mi uwagi na to zdjęcie, chybabym ich nie rozpoznała.

Najdziwniejsza w tym wszystkim była wszakże Grace. Uśmiechała się. Nigdy wcześniej nie widziałam jej uśmiechniętej.

Musiałam wyglądać na zbytnio zainteresowaną albumem, ponieważ pani Watts zaproponowała, abym go sobie wzięła.

– Dla mnie nie ma żadnego znaczenia – zapewniła, widząc moje wahanie.

– Jest pani pewna?

– A do czego niby miałyby mi się przydać?

– Bardzo dziękuję – powiedziałam.

Wzruszyła ramionami.

– Stał na półce i tyle. A teraz mieszkam tu tylko ja i pan Sparks.

Miała na myśli kota.

Zauważyła, że zerkam na zegarek.

– Musisz iść? Rozumiem – powiedziała i z wyraźnym trudem podniosła się z podłogi.

Zatrzymałam się przy drzwiach, żeby się pożegnać.

– Mój mąż był fantastą – powiedziała. – Nie wiedziałam o tym, kiedy za niego wychodziłam.

– Pani Watts, a wie może pani, co się przydarzyło Grace? Dlaczego trafiła do szpitala psychiatrycznego?

– Przez królową Saby. Nie potrafiła wyzwolić się z tej postaci – powiedziała. – Nie potrafiła. Nie chciała. Nie mam pojęcia.

Wyrzała na ulicę i spoważniała.

– Uważaj na siebie. Obedrą cię tu ze skóry za samo ubranie.

Spojrzałam na opustoszałą ulicę, ale nikogo nie dostrzegłam.

Podziękowałam za ciastka i album. Chciałam jak najszybciej wrócić do miasta, ale przypomniałam sobie, że mam jeszcze jedno pytanie.

– Pani Watts, zna pani może niejaką miss Ryan?

– Eileen Ryan. A co? Mieszkała na końcu ulicy.

Odwróciła się i wskazała na dom, po czym obrzuciła mnie badawczym spojrzeniem.

– A dlaczego pytasz?

Nie odpowiedziałam.

– Czy miała może rozległy ogród?

– Wiele lat temu. Owszem. Ale ona już nie żyje. Była ślepa. Eileen Ryan. – Spojrzała na mnie. – Skąd znasz to nazwisko? Tom kosił dla niej trawniki.

Dysponowałam jednym fragmentem. Aktorskim epizodem w życiu pana Watta. Co z tego wynikało? Zamiłowanie do aktorstwa uzasadnia tylko stawianie pytań o jego szczerść. Zwłaszcza gdy myślę o gestach, jakie wykonywał w klasie. Wpatrywanie się w tylną ścianę. Spojrzenie wędrujące na sufit. Wystudiowana poza człowieka zatopionego w rozmyślaniach. Czy to był pan Watts, czy aktor odgrywający rolę pana Watta nauczyciela. Kogo naprawdę widzieliśmy w klasie? Człowieka, który autentycznie uważał *Wielkie nadzieje* za najwspanialszą powieść najwybitniejszego angielskiego pisarza dziewiętnastego wieku? A może człowieka, któremu pozostał ostatni kęs i będzie twierdził, że to jest najlepszy posiłek życia?

Zapewne wszystko po trochu. Wejście w inną postać, a jednocześnie próba dotarcia do istoty własnego „ja”. Dostrzegamy tylko to, co widzimy. Nie mam pojęcia, jakiego człowieka znała June Watts. Ja poznałam mężczyznę, który nauczył nas, dzieci, przekształcać w wyobraźni świat, dostrzegać możliwość zmiany i akceptować jej nadejście. Statek może przyplłynąć po nas w każdej chwili, a jednocześnie przybrać najróżniejsze formy. Pan Jagers może się nawet zjawić w postaci kłody.

Spodziewałam się więcej po wizycie u pani Watts. Zapewne liczyłam na więcej informacji o nim. Dostałam album, który rozwiązał zagadkę

czerwonego nosa. W pozostałych aspektach pan Watts pozostał równie nieuchwytny, jak wcześniej. Był tym, czym musiał być, czego od niego oczekiwaliśmy. Być może życie innych ludzi przebiega w podobny sposób – dopasowują się do każdego miejsca, które dla nich przygotowaliśmy. Potrzebowaliśmy nauczyciela, więc pan Watts został nauczycielem. Potrzebowaliśmy sztukmistrza tworzącego dla nas inne światy, więc pan Watts został takim sztukmistrem. Kiedy potrzebowaliśmy wybawcy, pan Watts odegrał i tę rolę. Kiedy czerwonoskórzy zażądali życia pana Wattsa, oddał je.

Łatwiej przychodziło mi zrozumieć pana Dickensa niż pana Wattsa. Po pierwsze, dysponowałam opisem znacznej części jego życia. Biografie Dickensa i analizy jego dzieł zajmują całe półki w bibliotekach. Zainteresowanie Dickensem przynosi więcej satysfakcji od prób zgłębienia tajemnic życia pana Wattsa. Wszystkie zakamarki życia Dickensa zostały przetrząśnięte i dokładnie przejrane przez specjalistów, a ja wkrótce miałam zostać jednym z nich.

Przez długi czas o zmarłym pisarzu wiedziałam tylko tyle, ile powiedział nam pan Watts, oraz to, co mogłam sama wywnioskować z ukradkowego zaglądnania na tylną okładkę egzemplarza *Wielkich nadziei*. Pan Dickens wyglądał dokładnie tak, jak sobie tego życzyłam. Jego broda działała na mnie uspokajająco. Nie była schludna, ale podobnie jak różnorodne wersje brody wędrującego po plaży pana Wattsa miała wygląd nieuchronny, a przez to słuszny. Podobała mi się szczupła sylwetka opięta kamizelką. Miałam poczucie, że był sympatycznym człowiekiem. Przemawiało za tym między innymi ciepłe spojrzenie i kurze łapki w kącikach oczu. Podobnie jak jego liczne artykuły na temat biedoty i sierot, nad którymi ślęczałam w Bibliotece Brytyjskiej na Euston Road w Londynie.

Miałam przed sobą wszystkie fragmenty jego życia, które doprowadziły do powstania *Wielkich nadziei*. Niczym sroka przeglądałam kolejno jego osobiste zapiski. Analizowałam jego odręczne pismo. Patrzyłam na te same miejsca i rzeczy, na które on patrzył – zimne ulice, piętrzące się ambitnie budynki, włóczęgów, pijaków, błotniste podupadające nadbrzeża zamieszkałe przez ludzi, którzy nie mogli się wyrwać z obecnego życia. Wyobrażałam sobie, jak musiały wyglądać, kiedy on na nie patrzył.

Początkowo niemal każdego dnia winszowałam sobie, że trafiłam do miasta pana Dickensa. Uwielbiałam także przyjemne poczucie uprzywilejowania, które towarzyszyło mi zawsze, gdy pokazywałam legitymację znudzonemu strażnikowi w czarnym uniformie, siedzącemu za lśniącym kontuarem.

Wchodziło się do pomieszczenia z szeregiem długich biurków, wypełnionego światłem, które nie jest ani zbyt jasne, ani zbyt przyćmione, ale dokładnie takie, jak być powinno. Wszystko było takie, jak być powinno. Mój zachwyt budziło to, że mogłam zamówić cokolwiek – w moim wypadku czasopisma, książki i artykuły na temat Dickensa lub jego autorstwa – a w ciągu godziny ktoś odnajdywał je w czeluściach wielkiej biblioteki. Przez kilka pierwszych miesięcy byłam przeszczęśliwa.

Mimo to zdarzały się chwile, kiedy żałowałam, że nie mogę się z nikim podzielić swoimi odkryciami. Dickens, podobnie jak pan Watts, okazał się nieco innym człowiekiem, niż sądziłam. Niby tak wzruszająco i przejmująco opisywał los sierot, ale sam pragnął jak najszybciej wyprawić swoje dzieci z domu. Chce, by rozpoczęły samodzielne życie. Obawia się, że dom stłumi w nich ambicję. Uważa, że powinny same dojść do wszystkiego ciężką pracą.

Z tego powodu Walter zostaje wysłany do Indii jeszcze przed ukończeniem siedemnastego roku życia; umiera w wieku dwudziestu dwóch lat. Sydney traci życie podczas służby w marynarce jako dwudziestolatek. Francis wstępuje do bengalskiej policji konnej, ale ponieważ się jąka, ucieka, mieszka z dala od ludzi i umiera w Kanadzie w wieku czterdziestu dwóch lat.

Alfreda i „Plorna” Dickens wyprawia do Australii. Jego ulubieńcem jest Edward, „drogi Plorn”. „Musisz wiedzieć, że Kocham Cię bardzo i moje serce kraje się na myśl o rozstaniu. Ale życie składa się w połowie z rozstań

i człowiek musi umieć znosić ten ból”. Australia, uznaje ojciec, pomoże mu dojrzeć i wydobędzie z niego jego naturalne zdolności.

Pewnego dnia odłożyłam wizytę w Bibliotece Brytyjskiej, aby pójść do starego Founding Hospital na placu Brunswick. Obecnie znajduje się tam muzeum sierot. Placówka jest wyjątkowo okazała. Wchodzi się do niej po szerokich schodach. W środku można obejrzeć ściany pokryte malowidłami przedstawiającymi sceny z życia sierot; na niektórych widać matki stojące w kolejce, aby oddać własne dzieci. Przypomniałam sobie mamę, kiedy wyciągała do mnie rękę. Przypomniałam sobie powoli otwierające się i zamykające, pozbawione powietrza usta. Przypomniałam sobie rozdzierający ból. Tymczasem na twarzach matek uwiecznionych na malowidłach nie dostrzegłam najmniejszych śladów rozpacz. Podobne, lekko znudzone twarze można spotkać przy kasie w supermarkecie. Obrazy uczą nas, jak łatwo człowiek może oddać własne dziecko. W galerii na pierwszym piętrze znalazłam wierniejsze odzwierciedlenie tamtych czasów: gabloty wypełnione guzikami, żółdźkami, spinkami do włosów, monetami jednopensowymi z wywierconymi dziurkami – drobnymi, żalonymi pamiątkami, które matki zostawiały dzieciom, aby te o nich nie zapomniały. Było to całkowicie bezcelowe, ponieważ sierociniec od razu zmieniał dziecku nazwisko. W ten sposób jego dotychczasowe życie się kończyło, a zaczynało nowe. Pip mógł zostać Handelem.

Gravesend – tam właśnie umieściłabym zakończenie *Wielkich nadziei*. Gravesend. Odwiedziłam to miejsce pewnego chłodnego majowego dnia. Minęłam ławki, na których siedzieli milczący Hindusi w kolorowych turbanach o twarzach pokrytych grubą warstwą smutku. Zerkali na mnie ukradkiem – na młodą kobietę o skórze czarniejszej, niż kiedykolwiek widzieli. Widziałam ich zaintrygowane spojrzenia. O czym myśleli? Cóż ta

czarna dziewczyna o rozbieganych białych oczach może wiedzieć o tej okolicy?

Mogłabym im powiedzieć, że krajobraz z *Wielkich nadziei* już nie istniał, że na słynnych bagnach wybudowano autostrady i strefy przemysłowe. Mogłabym im powiedzieć, że kto inny sprawuje teraz pieczę nad opowieścią. Niegdyś strażnikami była gromada czarnych dzieci, które zapewne do dziś budzą się wcześniej rano i przypominają sobie czasy, kiedy dryfowały między wyspą a kuźnią położoną na angielskich bagnach z tysiąc osiemset któregoś roku.

Przy pewnym wysiłku można sobie wyobrazić, co widział Dickens. Statki z emigrantami to dziś duchy. Widok mężczyzn i kobiet z odkrytymi głowami machających chusteczkami z pokładu to już historia, a ich kości spoczywają na jakimś cmentarzu na drugim krańcu świata.

Teraz znajduje się tam ładny, wybrukowany bulwar, a jeśli pójdzie się w kierunku ujścia rzeki, którą odpływały dawniej statki z emigrantami, nie sposób o nich zapomnieć. Wyjedźcie. Odejdźcie. Zostawcie to miejsce. Zbudujcie sobie nowy świat.

Rzeka wskazuje wyjście z bagnistego świata. Mijając misję, gdzie statki z emigrantami podpływały do brzegu, aby mogli odmówić modlitwy za bezpieczeństwo morskiej podróży w nieznane, wróciłam myślami do chwil, kiedy po raz ostatni zostałam z panem Wattsem sam na sam.

Nie zastanawiałam się nad tą rozmową od lat. Prawdopodobnie wyparłam ją z pamięci – jak wiele innych spraw. Czy kiedy po rozmowie się odwrócił, nie podjął już decyzji, że opuści wyspę beze mnie? Kiedy teraz zastanawiam się nad tamtą chwilą, przypominam sobie ogarniające mnie poczucie, że się rozstajemy, że przekroczona została pewna granica. Używam słowa granica, choć pewnie lepiej byłoby mówić o kurtynie. Kurtyna rozdzieliła pana Watta i jego najwierniejszą widownię. On rozpocząłby nowy etap życia, a ja zwróciłabym się ku cmentarzysku postaci

z przeszłości. Z perspektywy łodzi pana Masoi, przewożącej go z jednego życia ku innemu, byłabym małą plamką na wielkiej wyspie. Wiedziałam, że tak by się stało, ponieważ sama tak postąpiłam. Opuściłam wyspę i już nigdy nie obejrzałam się za siebie.

Czekała mnie długa podróż powrotna na stację London Bridge. Z niewiadomych powodów byłam przygnębiona. Zupełnie jakbym zapadła się z powrotem w dawną siebie. Wróciłam myślami do chwil żałoby, zanim powódź wszystko wymazała. Wyglądałam przez okno wagonu. Nawet zieleniejące drzewa nie były w stanie wyrwać mnie z przygnębienia. Nawet podśpiewujący pod nosem konduktor nie zasłużył na mój uśmiech.

Z największym trudem wyszłam ze stacji na poziom ulicy. Słaniałam się ze zmęczenia. Skąd się wzięło? Znałam uczucie towarzyszące wspinaczkę po stromych górskich szlakach. Czymże było kilka poziomów zapaskudzonych schodów, na których siedzieli żebracy i cygańskie dzieci o oczach poruszających się szybciej od jakiegokolwiek ryby?

Wróciłam do domu, żałując, że nie mogę pójść w inne miejsce. Wdrapałam się po stęchłym chodniku wyściełającym schody pensjonatu, otworzyłam drzwi do mojej kawalerki i stanęłam na chwilę w progu, nie mogąc się przemóc, aby wejść do środka.

Pomieszczenie było pełne przedmiotów posiadających dla mnie symboliczną wartość – zdjęcie Dickensa na koniu, powiększony do rozmiarów plakatu artykuł, w którym zapowiedziano publikację *Wielkich nadziei* w formie książki. Znajdowało się tam biurko i sarta kartek papieru zwana pracą doktorską. Całymi dniami czekała, aż wrócę z Gravesend z nowymi materiałami; w przeszłości pan Watts czekał ze swoim sekretnym zeszytem na odzyskane przez nas fragmenty książki. Niestety tego dnia nie zdobyłam żadnych nowych informacji. Przytaszczyłam ze sobą jedynie

ociężałość, która tkwiła głęboko w moim wnętrzu, w kościach, i która ogarnęła mnie z szybkością nadciągającej nad miasto chmury burzowej.

Nie miałam siły na nic, więc położyłam się do łóżka. I już w nim zostałam.

Przez kolejnych sześć dni wstawałam tylko po to, żeby zaparzyć kawę, zrobić jajecznicę albo poleżeć w wąskiej wannie, wpatrując się w popękany sufit. Dni dłużyły się niemiłosiernie, godziny piętrzyły się na mnie, zalewając swą szarzyzną cały pokój.

Wśluchiwałam się w odgłosy skrzyni biegów autobusów, które przejeżdżały pod pensjonatem. Wśluchiwałam się w pisk opon na mokrej jezdni. Wśluchiwałam się w dobiegające z dołu odgłosy porannej krzątania. Wśluchiwałam się w szum prysznic i przenikliwy gwizd czajnika. Czekałam, aż usłyszę kroki sąsiadki idącej do pracy chodnikiem pod oknem. Kiedy mijała ta krótka chwila kontaktu z realnym światem, zamykałam oczy i błagałam ściany, aby pozwoliły mi z powrotem zasnąć.

Lekarz zdiagnozowałby u mnie depresję. Wszystkie moje późniejsze lektury poświęcone tej tematyce sugerują, że właśnie tak było. Problem w tym, że kiedy człowieka ogarnia depresja, zazwyczaj nie ma świadomości, co się z nim dzieje. Ani trochę. Siedzi się wtedy beczynie w ciemnej, straszliwie ciemnej norze. Kto ma szczęście, dostrzeże w oddali jasny punkcik, a jeśli ktoś ma prawdziwe szczęście, punkcik ten będzie się stopniowo powiększał, aż wreszcie pewnego dnia krawędź nory się rozchyli i człowieka ponownie otoczy jasność dnia. Tak było w moim przypadku.

Pewnego dnia zaraz po przebudzeniu zrzuciłam z siebie kołdrę. Wstałam wcześniej niż kobieta mieszkająca pode mną. Podeszłam do biurka. Miałam poczucie, że muszę w końcu zrobić coś, co zbyt długo odkładałam. Wzięłam kartkę papieru ze stosu „sieroty Dickensa”, odwróciłam ją na drugą stronę i napisałam: „Wszyscy mówili na niego Wytrzeszcz”.

To zdanie powstało sześć miesięcy temu. Od tego czasu napisałam całą resztę. Starłam się wiernie przedstawić to, co przydarzyło się mnie i mojej mamie na wyspie. Nie koloryzowałam. To samo mówi się o prozie Dickensa. Ludzie uwielbiają stworzone przez niego postacie, choć akurat we mnie coś się zmieniło. W miarę upływu lat przestałam darzyć je miłością. Są zbyt głośne, zbyt groteskowe. Ale kiedy zedrze się z nich maski, staje się jasne, że ich twórca był znawcą ludzkiej duszy oraz całego jej cierpienia i próżności. Kiedy opowiedziałam ojcu o śmierci mamy, wybuchnął płaczem. Właśnie wtedy dowiedziałam się, że upiększanie mimo wszystko ma sens. Tyle że zrealizowane przez życie – a nie literaturę.

Przed wyjazdem z Anglii chciałam coś jeszcze zrobić. Pojechałam do Rochester, miejscowości, która posłużyła Dickensowi za inspirację dla kilku elementów *Wielkich nadziei*.

Kto przyjeżdża do Rochester, ma poczucie, że powinien pokochać to miejsce. Dokładnie w ten sposób wyobraziłyby sobie typową angielską wioskę z tysiąc osiemset któregoś roku. Człowiek potyka się o kocie łby i dławi sentymentalizmem. Gdziekolwiek spojrzy, widzi Dickensa sklepikarza, restauratora, sprzedawcę staroci. Podróżny ma do wyboru kawiarnię U Fagina albo posiłek u Pani Brumbles lub w Smaku Dwóch Miast.

Nazwałem więc sam siebie Pipem i wszyscy zaczęli mnie tak nazywać to jedno z najbardziej ujmujących zdań w literaturze. Oto i ja: zaakceptujcie mnie, proszę, takiego, jaki jestem. Z takim nastawieniem sierociniec wysyła w świat wychowanków. Z takim nastawieniem emigranci schodzili ze statków na wybrzeżach Pacyfiku. O taką akceptację prosił rambosów pan Watts. Tyle że ja nie potrafiłam zaakceptować pierońskiego warzywniaka nazwanego od imienia Pip, jak ten w Rochester.

Miałam dwie godziny do następnego pociągu do Londynu, postanowiłam zatem przyłączyć się do wycieczki zwiedzającej okolicę. Pracowniczka Centrum Karola Dickensa mieszczącego się w Eastgate House zaprowadziła grupę do ratusza, a tam schodami do długiej sali, gdzie Pip został oficjalnie zapisany na termin do Joego Gargery'ego.

Z ratusza przeszliśmy na pobliskie wzgórze, a ja w pewnym momencie zorientowałam się, że idziemy tą samą trasą, którą pokonał Pip, zmierzając do domu miss Havisham. Trasą dobrze mi znaną, jako że przechodziłam nią jako zauroczony czytelnik na wyspie leżącej na drugim końcu świata.

Pracownica Centrum wskazała na dwupiętrową rezydencję – była to willa Satis. Wreszcie dowiedziałam się czegoś nowego. Pan Dickens podkradł nazwę i nadał ją większej, bardziej imponującej rezydencji leżącej obok browaru, gdzie umieścił miss Havisham i Estellę.

Po krótkim spacerze przez park zatrzymaliśmy się przy drodze odchodzącej w kierunku bramy – tej samej, przez którą Estella wprowadza Pipa podczas pierwszej wizyty i protekcyjnie nazywa go „chłopcem”. Obok nas zatrzymała się taksówka i wyskoczył z niej młody japiszon. Zerknął w naszą stronę, chyba dość poirytowany. Przewodniczka wyjaśniła, że dom miss Havisham podzielono na apartamenty.

Młody mężczyzna przeszedł przez bramę i ruszył ścieżką w stronę domu. Postawił na ziemi aktówkę i włożył klucz do zamka. Drzwi otworzyły się i zamknęły. Skierowaliśmy wzrok w inną stronę. Staliśmy tam przez chwilę, wodząc spojrzeniami po okolicy, wreszcie ktoś powiedział: „Ech...”.

Wycieczka wróciła z powrotem do Eastgate House. Weszliśmy schodami na piętro, gdzie natknęliśmy się na miss Havisham w białej sukni ślubnej. Stała za szybą, odwrócona tyłem do nas, turystów. Miała tam tkwić przez całą wieczność. Żałowałam, że nie może się odwrócić, choćby na moment, aby zobaczyć wpatrzoną w nią czarną kobietę.

Wycieczka zakończyła się w gabinecie pana Dickensa. Manekin autora siedział na skórzanym fotelu, z wyciągniętymi nogami i rękami złożonymi niedbale na oparciach. Zaspiane oczy były półprzymknięte. Pan Dickens akurat śnił na jawie. Za liną ograniczającą dostęp do dalszej części pomieszczenia stał mężczyzna. Musiał usłyszeć, jak wyszeptałam: „Spotkałam pana Dickensa, ale to nie jest przecież on”. Uśmiechnął się i odwrócił wzrok. Nie próbowałam go przekonywać, ale gdybym miała to zrobić, powiedziałabym coś takiego.

Pan Dickens, którego znałam, również miał brodę, szczupłą twarz i oczy, które chciały mu wyskoczyć z głowy. Ale mój pan Dickens chodził boso i w koszuli bez guzików. Tylko w szczególnych sytuacjach, na przykład kiedy nauczał w klasie, zakładał marynarkę.

Dopiero niedawno zdałam sobie sprawę, że nigdy nie widziałam go z maczetą w dłoni. W przetrwaniu pomagał sobie inną bronią – sztuką opowiadania. Dawno temu w bardzo trudnych okolicznościach mój pan Dickens wpoił nam, dzieciom, że głos każdego z nas jest wyjątkowy i że powinniśmy o tym pamiętać, ilekroć z niego korzystamy. Nie wolno nam zapomnieć, że cokolwiek przydarzy nam się w życiu, nikt tego głosu nam nie zabierze.

Na jakiś czas, niestety, zapomniałam o tej lekcji.

W pełnej uwielbienia ciszy uśmiechnęłam się na myśl o tym, o jak wielu innych rzeczach pozostali zwiedzający nie mają pojęcia. Historia Pipa była moją historią, mimo że kiedyś byłam dziewczynką o twarzy czarnej niczym lśniaca noc. Historia Pipa była moją historią, a ja zamierzałam dokonać tego, co jemu się nie udało. Zamierzałam wrócić do domu.

Podziękowania

Chciałbym podziękować Michaelowi Heywardowi i Melanie Ostell z wydawnictwa Text za ujmującą ufność i entuzjizm, jakie okazywali od chwili otrzymania manuskryptu *Mister Pipa*. Melanie jestem wdzięczny za wnikliwą lekturę tekstu i cenne uwagi. Michaelowi – za wyprowadzenie książki na światło dzienne.

Szczególne podziękowania chciałbym złożyć mojemu wydawcy z Penguin Books New Zealand i mojemu agentowi Michaelowi Gifkinsowi za ich nieustrudzoną pracę na rzecz *Mister Pipa*.

Grant przyznany przez Creative New Zealand pomógł mi w napisaniu tej książki, za co jestem niezmiernie wdzięczny.

-
- ¹ Charles Dickens, *Wielkie nadzieje*, tłum. Karolina Beylin, Prószyński i S-ka, Warszawa 2009, s. 5. Wszystkie przypisy w książce pochodzą od tłumacza.
- ² Ibidem.
- ³ Biblia poznańska, Rdz 1,1-3.
- ⁴ Charles Dickens, *Wielkie nadzieje*, op. cit., s. 5.
- ⁵ Ibidem, s. 159.
- ⁶ Ibidem.
- ⁷ Ibidem, s. 183.
- ⁸ Ibidem, s. 5.
- ⁹ Biblia poznańska, 1 Krl 10,2.
- ¹⁰ Ibidem, s. 316. W polskim tłumaczeniu słowo „nieświadomie” zostało akurat pominięte.
- ¹¹ Ibidem, s. 125.
- ¹² Ibidem, s. 6.

Przekład: Jacek Konieczny
Redakcja: Anna Adamiak
Korekta: Mariola Hajnus, Małgorzata Denys

Skład i łamanie: Tekst – Małgorzata Krzywicka

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
00-372 Warszawa, ul. Foksal 17
tel./fax (22) 646 05 10, 828 98 08
biuro@gwfoksal.pl
www.wab.com.pl

ISBN 978-83-7881-179-4

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Wydawnictwo W.A.B.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

VIRTUALO
Digital platform of tomorrow